

Anne Herries

Rycerz bez skazy



Rozdział pierwszy

Francja, Anglia, XII wiek

Alayne patrzyła na płytki strumień, przelewający się ze szmerem i bulgotem przez kamienie wygładzone nieubłaganym upływem czasu. W czystej wodzie widziała maleńkie stworzenia, przemykające po piaszczystym dnie. Z tyłu dobiegał śmiech i głosy dworek. Jedna z dziewcząt grała na lirze. Inne biegały w koło, chichocząc jak najęte. Pewnie znów wymyśliły jakąś głupią zabawę.

Za gorąco dzisiaj, żeby biegać, pomyślała Alayne. Westchnęła cicho i musnęła dłonią chłodną wodę. Dlaczego czuła się znudzona niezmiennie radosną atmosferą, panującą na Dworze Miłości? Taką nazwę nosił dwór w Poitiers w pieśniach trubadurów, którzy wiecznie marzyli o wielkiej *amour courtois*, chociaż tylko niektórym było dane jej zaznać. Alayne myślała nieraz, że „czysta” miłość jest fikcją. Prawdziwe życie wydawało jej się płaskie i pełne intryg. Lecz dokąd mogła teraz odejść? Tylko tu czuła się naprawdę spokojna i bezpieczna.

Lekki dreszcz przebiegł jej po plecach, kiedy przypo-

mniała sobie, co ją czeka za murami pałacu. Wolała już ustawiczną nudę i płoche przyjemności niż towarzystwo tych, którzy chcieli zawładnąć jej życiem. Cień smutku przemknął po twarzy dziewczyny. Przecież właśnie dlatego kiedyś uciekła z domu...

- Alayne! Alayne! Chodź do nas! - krzyknęła jedna z dworek. Zacerwieniona uciekała przed młodym rycerzem, gotowa do ostatka bronić się przed pocałunkiem. - Błagam, uwolnij mnie od tego rozpustnika!

Alayne uśmiechnęła się z lekkim pobłażaniem, ale zdecydowanie pokręciła głową. Nie była w odpowiednim nastroju do zabawy, a poza tym podejrzewała skrycie, że uciekające dziewczę z chęcią da się złapać rycerzowi, gdy dobiegną w ustronne miejsce. Pocałunki młodzieńca mogą być przyjemne, pomyślała Alayne. Szkoda, że jej życie nie było tak beztroskie, jak innych dziewcząt na tutejszym dworze.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej smutek wywarł niemałe wrażenie na kilku obecnych w ogrodzie rycerzach. Należała do kobiet, które odruchowo przyciągały wzrok mężczyzn - obojętnie, czy chciały tego, czy nie. Było w niej coś, co sprawiało, że mężczyźni lgnęli do niej niczym pszczoły do miodu.

Tymczasem Alayne błądziła myślami daleko od zielonych ogrodów w Poitiers. Wróciła wspomnieniami do mrocznej przeszłości. Już rok minął, kiedy w rozpaczę zwróciła się o pomoc do Eleonory Akwitańskiej, która była daleką kuzynką jej matki. Alayne zawsze podziwiała królową. Dwudziestoletnia Eleonora wzięła do ręki krzyż i po-

jechała na krucjatę u boku ówczesnego męża, francuskiego króla Ludwika VII. To małżeństwo jednak zostało anulowane i Eleonora poślubiła Henryka Andegaweńskiego, który teraz panował w Anglii jako Henryk II. Prawdę mówiąc, Alayne nie miała nikogo innego, kto dałby jej odpowiednią pomoc i ochronę.

- Skąd ta marsowa mina, pani? - rozległ się tuż przy niej głos barona Pierre'a de Froissarta.

Alayne gwałtownie uniosła głowę i uśmiechnęła się mimo woli. Baron cieszył się dobrą opinią na dworze. Inne dziewczęta uważały, że jest przystojny i czarujący. Miał wykwintne maniere i przemawiał przyjemnym, niemal śpiewnym głosem.

- Niechętnie zwierzam się ze swoich myśli, sir. - Alayne wydeła usta. Leciutko kpiący błysk w jej oczach sprawił, że rycerz poczuł dreszcz pożądania.

- Mogę spocząć tu, koło ciebie?

- Oczywiście, sir. Czuję się trochę znużona własnym towarzystwem.

Pierre de Froissart roześmiał się i usiadł na wyschniętej trawie. Na jego twarzy widniał wyraz rozbawienia. Lubił przebywać w pobliżu Alayne, choć jej nie adorował. Kilka dworek gubiło za nim oczy i wzdychało znacząco na jego widok. Alayne podejrzewała skrycie, że spotykał się z niejedną damą, chociaż te *affaires* pozostawały ścisłą tajemnicą.

Niepisana regułą było, że miłość dworska nie należy do publicznego świata. Trubadur wielbił lubą w sekrecie, przedkładając jej pieśni, wiersze lub dłuższe poematy.

ty, dając kwiaty albo kielichy kunsztownej urody. Dama zaś mogła przyjąć dowody uwielbienia albo też je odrzucić, zależnie od upodobania. Otoczka tajemnicy przydawała sprawie dodatkowego smaczku.

- Przecież zasiadłaś tutaj z własnego wyboru, pani - zauważył baron. - Moim zdaniem, bez trudu znalazłabyś rycerza, ale ty wolisz trzymać nas wszystkich na dystans.

Za dużo widział! Alayne szybko odwróciła wzrok i spojrzała w bystrzynę. Serce waliło jej jak młotem, a policzki zabarwił lekki rumieniec. Pierre de Froissart się nie pomylił. Rzeczywiście chciała dziś być zupełnie sama.

Była naprawdę piękna. Delikatny jedwab tylko częściowo skrywał kasztanowe włosy, spływające jej na ramiona spod srebrnego diademu. Ciemne oczy patrzyły z tajemniczą zadumą, okolone długimi, miękkimi rzęsami. Wystarczyło, żeby na moment przymknęła powieki, a już żywiej biły wszystkie męskie serca. Niejeden bard napisał hymn pochwalny na cześć jej urody. Była niewiastą rodem z marzeń, o kuszących karminowych ustach, zda się stworzonych do całowania. Co więcej, jej niewinny wygląd rozpałał pożądanie.

Od kilku tygodni ktoś przysyłał jej wiersze i małe wiązanki kwiatów. Nie wiedziała, kim jest tajemniczy adorator. Jak dotąd, żaden z obecnych na dworze rycerzy nie wyznał jej głębszych uczuć. Mimo to znajdowała podarki na swojej ulubionej ławce w głębi parku. Czasami przynosił je młody paź najwyraźniej związany przysięgą milczenia.

- Chciałam przez chwilę posiedzieć w zupełnej ciszy...

Z dala od zgiełku - odpowiedziała i uniosła wzrok. Napotkała czujne spojrzenie rycerza. - Żeby pomyśleć...

- Chętnie oddałbym jakiś fant, żeby móc poznać twoje myśli, pani - odezwał się de Froissart, kiedy znów zapadło niezręczne milczenie. - Nie lubię, gdy jesteś smutna.

- To niepotrzebne - szybko odparła Alayne. Młodzi rycerze chętnie oferowali fanty, żeby, na przykład, wygrać pocałunek od jakiejś ślicznotki. Ta zabawa ostatnio zyskała dużą popularność w Poitiers. - Nie zastanawiałam się nad niczym szczególnym. O tym, jak to przyjemnie tak posiedzieć w słońcu, chociaż... - Westchnęła nagle i urwała.

- Czy to możliwe, że tęsknisz za czymś więcej, lady Alayne? Za czymś pięknym i doskonałym, za intymnością rzadko spotykaną w życiu i prawie niedostępną dla małżonków?

Zerwał długie źdźbło trawy, z namysłem wsunął je w usta i spod oka popatrzył na Alayne, która nerwowo oblizwała wargi. Zrobiła to bezwiednie, nie zdając sobie sprawy, jak wiele drzemie w tym skrytego erotyzmu.

- Nie jest moją intencją ponownie wyjść za mąż - powiedziała i zgrabnym, śmigłym ruchem uniosła się z miejsca. Drażniły ją rozmowy o małżeństwie choćby dlatego, że jej ojciec, baron Francois de Robspierre, szukał dla niej drugiego męża. To właśnie przed nim uciekła pod opiekuńcze skrzydła królowej Eleonory. - Małżeństwo to sprawa sojuszu i wielkiej polityki. Niewiele ma wspólnego z prawdziwą miłością.

- Święte słowa - bez wahania przytaknął de Froissart. Alayne była cudowna, wzorem innych dworzan marzył,

aby kiedyś została jego kochanką. - Zażyłość, o której mówię, nie ma porównania. Od pewnego czasu podziwiam z daleka pewną damę. Sprawia mi to lubość, ale jednocześnie chciałbym ją poznać bliżej. Gdyby mnie przyjęła, poczułbym się jak w niebie.

Alayne spiekła raka. Czyżby to młody baron posyłał jej kwiaty? Z jego słów wynikało, że coś do niej czuje. Jednak ona nie była pewna swego serca. Owszem, wiele dobrego słyszała na ten temat od innych dam dworu, ale... czy naprawdę miała ochotę na *affaire*? W głębi duszy tęskniła za wielką miłością, tak słodko opiewaną przez licznych trubadurów, lecz zimny dreszcz przebiegał jej nagle po plecach, gdy pomyślała o bliższym kontakcie z mężczyzną.

- Alayne! Może coś zaśpiewasz? Jej królewska mość pragnie, żebyś do nas podeszła.

Alayne obejrzała się na dźwięk nowego głosu i zobaczyła młodą niewiastę, szybkim krokiem zmierzającą w ich stronę. Była to jedna z najpopularniejszych dam dworu, Marguerite de Valois. Zwykle otaczał ją tłum wielbicieli, lecz jak dotąd, żaden z nich nie zdobył jej serca. Niektórzy z nich, w nadziei na wygraną, spełniali najdziwniejsze zadania, poruczone im przez „dwór miłości” Marguerite pozostawała jednak niedostępna i pozdrawiała ich jedynie skinieniem głowy.

- Z chęcią! - zawołała Alayne i podbiegła do niej. Z ulgą uciekła od barona, bo już miała serdecznie dość tej rozmowy. De Froissart denerwował ją swoim zachowaniem. Sprawiał, że poczuła się zagrożona w swoich postanowieniach. Owszem, lubiła go jako przyjaciela, ale z niechęcią myślała o czymś więcej.

Marguerite zerknęła na jej zapłonioną twarz i pokręciła głową.

- Nie chcę się wtrącać, Alayne, ale na twoim miejscu uważałabym na tego de Froissarta.

- Nie przepadasz za nim? Wydawało mi się, że jest powszechnie lubiany na dworze.

- To prawda.

Marguerite wzruszyła ramionami. Jej długie jasne włosy okrywała srebrzysta chusta przytrzymywana małym diademem. Zielone oczy z namysłem patrzyły na Alayne.

- Jesteś bardzo piękna - powiedziała - i bogata. Wielu mężczyzn zrobiłoby wszystko dla takiej nagrody. Nie zaprzeczam, że de Froissart może się podobać. Uważam jednak, że nie można mu wierzyć.

- Przecież wiesz, że nie mam najmniejszego zamiaru ponownie wyjść za mąż.

- Słyszałam, że w małżeństwie nie byłeś szczęśliwa.

- Wolę o tym nie mówić - ucięła Alayne. - Ani nie pamiętać - dodała. Zmarszczyła brwi, bo mimo jej najszczerzych chęci niechciane wspomnienia złośliwie wpełzały z ciemnych zakamarków umysłu i serca. - Ojciec próbował zmusić mnie do nowego związku, bo widział w tym własną korzyść. Na szczęście wtrąciła się królowa. Dała mi uroczyście słowo, że wbrew woli na pewno nie wyjdę za mąż.

- W takim razie masz szczęście - zauważyła Marguerite. - Ja wiem, że dostanę męża, kiedy tylko skończę siedemnaście lat. Nikt nie będzie pytał mnie o zdanie.

- Taki jest los większości kobiet - zauważyła Alayne. - Mój ojciec wpadł we wściekłość, gdy dowiedział się, że szu-

kam pomocy u królowej. Uważał mnie za swoją własność. Ale ja nie dam się ponownie sprzedać! - Łzy zabłyśły w jej pięknych oczach, lecz mimo wszystko się nie rozpłakała. Noc poślubna była dla niej istnym koszmarem. Tylko rychła śmierć dużo starszego męża uchroniła ją przed dalszym poniżeniem.

Marguerite z ciepłym uśmiechem ścisnęła ją za rękę. Choćby z tego powodu, że tak wiele kobiet było zmuszanych do niechcianych małżeństw, „dwór miłości” pani Eleonory cieszył się rosnącym powodzeniem we wszystkich większych miastach Akwitanii i w całej południowej Francji. Ulotne pocałunki rycerskich kochanków sprawiały młodym damom dużo więcej radości niż niedźwiedzie zaloty podstarzałego męża.

Dwór czekał na piosenkę Alayne. Zajął honorowe miejsce opodal błyszczącego tronu królowej Eleonory. Uśmiechnęła się i zgodnie z etykietą głęboko dygnęła przed swoją panią i jej faworytem.

- Zaśpiewaj nam, lady Alayne - poprosiła królowa. - Zaśpiewaj coś słodkiego, co wywoła łzy w oczach i wzruszenie w sercu.

- Tak jest, wasza miłość - odparła Alayne.

Wzięła lirę z rąk innej damy i zagrała rzewną melodię. Czyste dźwięki przykuły uwagę wszystkich obecnych w ogrodzie pałacu w Poitiers, pewnego ciepłego popołudnia, Roku Pańskiego 1167.

Była to pieśń o niespełnionej miłości, o kochance, która pozostała sama, ze złamanym sercem. O uczuciu tak czystym, że oczy słuchaczy zaszyły mgłą rozrzewnienia.

Była to pieśń o rycerzu, który wolał umrzeć, niż skrzywdzić ukochaną. Ciekawe, czy w rzeczywistości są tacy na świecie? - zastanawiała się Alayne. Gdzie ich szukać? Podejrzewała, że to tylko wymysł bogatej wyobraźni wędrownych trubadurów.

- Jego królewska mość prosi mnie, abym odwiedził królową na dworze w Poitiers - powiedział sir Ralph de Banewulf do swojego kuzyna, Haralda z Wotten. Siedzieli w wielkiej sali dworu Banewulf. Kiedyś, w czasach Wilhelma Zdobywcy był to warowny zamek, ale ostatnimi czasy do dawnej wieży dostawiono nowy budynek, oferujący mieszkańcom twierdzy nieznane wcześniej wygody. - Chyba nie mogę odmówić zacnemu Henrykowi, chociaż Bóg wie, że nie przepadam za dworskim życiem.

- Dobrze ci zrobi, jak stąd wyjedziesz i trochę zmienisz otoczenie - odparł Harald z marsową miną. Jego zdaniem sir Ralph już za długo rozpaczał po zmarłej żonie, którą poślubił, gdy miał dziewiętnaście lat i stracił ponad rok później. Berenice zmarła w gorączce po wydaniu na świat syna Stephena. Chłopiec liczył teraz już pięć wiosen i rozwijał się nad podziw zdrowo. - Czas poza tym, abyś mi oddał Stephena na giermka. Już od roku powinien, wzorem innych chłopców, uczyć się rycerskiego fachu. Źle czynisz, chowając go między niewiastami.

Ralph milczał z ponurym wyrazem twarzy. Był człowiekiem, który budził strach wśród podwładnych, ale strach zmieszany z głębokim szacunkiem. Silny, odważny i o nieugiętych zasadach moralnych, zawsze wymagał od siebie

dużo więcej niż od innych. W chwilach spokoju mógł się podobać i emanować męskim czarem. Kobiety za nim gubiły oczy, ale on nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Powiadano, że jego serce umarło razem z młodą żoną. Kiedy przerwał milczenie, żeby odpowiedzieć na uwagę Haralda, mówił bardzo powoli, starannie dobierając słowa.

- Masz rację, kuzynie. Wiem o tym, że za bardzo rozpieszczam Stefana. Tymczasem chłopak jest na tyle duży, że bez przerwy wymyka się spod opieki niańki. Musi zostać giermkim, bo jak inaczej miałby nauczyć się wojaczki? Możesz go zabrać nawet dzisiaj, drogi przyjacielu. Proszę cię jedynie, abyś zadbał o niego przez wzgląd na pamięć matki.

- Nie musisz prosić. Szczerze miłowałem Berenice, chociaż była moją odległą kuzynką po kądzieli. - Harald się zawahał. - Na pewno nie spodoba ci się to, co powiem, Ralphie, ale... Chyba już najwyższa pora, żebyś znalazł sobie drugą żonę. Powinieneś mieć kobietę, która da ci dalszych synów.

- Przestań! - Ralph uniósł prawicę i mroczny cień przemknął po jego przystojnej twarzy. - Mój majątek jest wystarczająco duży. Nie zamierzam go powiększać. Mam też syna, który odziedziczy wszystkie moje ziemie. Czegoż potrzeba więcej?

Harald nie chciał mu robić przykrości, powstrzymał się więc od jedynej prawdziwej odpowiedzi. Dzieci zbyt często umierały w chorobie albo po wypadku. On sam miał pięciu synów i dwie córki, a ożenił się po raz drugi w pół roku po śmierci pierwszej żony. Tak to już było na tym świecie, że

kobiety czasami umierały w połogu. Żałoba nic tu nie pomoże. Życie musiało iść bez przerwy naprzód, a niewiasty - zdaniem Harald'a - w gruncie rzeczy niewiele różniły się od siebie.

- Wiem, że kochałeś Berenice, ale...

- Błagam! - Prośba Ralpa była raczej rozkazem. Policzek zadrgał mu nerwowo. - Porozmawiajmy o innych sprawach. Coś ci wiadomo o ostatniej sprzeczce, jaka ponoć rozegrała się między królem a sir Thomasem Becketem?

Harald od razu dał się na to nabrać i wygłosił płomienną tyradę, potępiającą spór z arcybiskupem. Ralph odetchnął z ulgą. Nie chciał rozmawiać o zmarłej żonie, kruchej i delikatnej - zbyt delikatnej na to, aby w pełni podołać trudom macierzyństwa. Odruchowo zacisnął pięści i poczuł znajomy ucisk w piersiach. Wciąż bolał nad niepotrzebnie zmarnowanym życiem pięknej Berenice. Jak mógł myśleć o nowej żonie, skoro wciąż miał nieznośne wyrzuty sumienia, że to on - swoją grzeszną chucią - zniszczył kwiat, który jeszcze w pełni nie zdołał się rozwinąć.

Lecz to nie wszystko. W głębi ducha dręczyło go poczucie winy. Owszem, pożądał Berenice, bo naprawdę była uroczym dziewczęciem, ale w rzeczywistości nigdy jej nie kochał. Okazała się jeszcze za młoda i naiwna, aby obudzić w nim prawdziwą miłość. Miał wrażenie, że obojętnością też przyczynił się do jej śmierci. Chyba wiedziała, że nie żywił wobec niej głębszych uczuć. To musiał być dla niej straszliwy cios, po którym straciła chęć do życia. Tak, myślał Ralph, zgrzeszyłem słowem i uczynkiem. Pięć lat spędzone w samotności uważał za część pokuty.

Podświadomie przystawał na to, by kobiety zajęły się Stephenem więcej niż potrzeba, bowiem syn był dla niego stałym przypomnieniem tragicznego losu Berenice. Niestety, ojcowska słabość obracała się przeciwko chłopcu. Stephen potrzebował silnej męskiej ręki. Musiał zostać giermkim i w miarę szybko rozpocząć rycerskie ćwiczenia. Bez tego przecież nie mógł nawet marzyć, by w przyszłości zasłużyć na pas i ostrogi. Harald z Wotten był dobrym i sprawiedliwym człowiekiem. Na pewno zająłby się chłopcem jak najlepiej. Stephen na każde święta wracałby do domu, żeby spędzić kilka dni z ojcem. Jedną część życia mieli już za sobą. Ralph nie mógł dłużej trzymać syna we dworze, musiał poważnie zadbać o jego przyszłość.

Król domagał się, aby natychmiast ruszył w podróż do Akwitanii i odwiedził królową Eleonorę. Ralph uważał to za niemały zaszczyt, ale jednocześnie za swój obowiązek, bo pas rycerski otrzymał z rąk samego Henryka.

Jego zdaniem król Henryk II był dobrym władcą Anglii. Nie tylko wyciągnął kraj z zamieszania, które nastąpiło za rządów króla Stefana, ale wprowadził też szereg niezbędnych reform. Ujarzmił Walię i odzyskał północne prowincje, zagarnięte przez Szkotów. Ustanowił prawo, które pozwalało postawić przed sąd duchownych - nawet najwyższych rangą. Wzbudziło to zdecydowany opór wielu wpływowych osób. Największym przeciwnikiem króla stał się Thomas Becket, uparty człowiek i stanowczy wróg wspomnianych „niesprawiedliwych” według niego zasad.

W tym momencie Ralph nie był jeszcze przygotowany,

żeby opowiedzieć się po którejś stronie. Uważał, że to sprawa pomiędzy królem i arcybiskupem. Oczywiście winien był wierność Henrykowi i królowej Eleonorze. Ich małżeństwo, początkowo szczęśliwe i pełne miłości, jakby trochę wyblakło przez minione lata. Do uszu Henryka dotarły złe plotki, budzące jego niechęć do żony. Ponoć zupełnie niepotrzebnie wtrącała się w sprawy stanu, spiskowała i podburzała synów przeciwko mężowi. Wreszcie, po jakiejś kłótni, wyjechała z Anglii. Henryk wciąż nie pochwalał jej postępowania. Ralph miał zawieźć listy króla do żony, do Poitiers, i we właściwym czasie dostarczyć odpowiedź.

Był zdecydowany wypełnić tę misję. Osobiste sprawy, ciągły niepokój ducha, smutek i poczucie pustki na razie od siebie odsuwał. Póki co, poświęcił całą uwagę temu, aby zapewnić byt synowi i swoim podopiecznym. W przyszłości będzie musiał znaleźć inne cele. Kiedy był młody i pełen ideałów, marzył, że pod znakiem krzyża wyruszy na krucjatę. Ale później swoim zachowaniem zabił Berenice... Teraz zdawał sobie sprawę, że nie jest godny nazwy świętego krzyżowca. Nie wiedział nawet, czy zasłużył na miano rycerza.

Dwór spędził cały dzień na polowaniu z sokołami na rozległej równinie po drugiej stronie lasu. Sokolica Alayne budziła powszechny zachwyt śmigłym lotem i prawdziwym instynktem drapieżcy. Zewsząd sypały się oferty. Wielu rycerzy próbowało kupić tak zwinnego ptaka, ale Alayne najwyraźniej nie chciała się z nim rozstawać.

- Uwielbiam moją Perlitę - powiedziała do pewnego

rycerza, który natarczywie ponawiał prośbę. - Nie oddam jej za złoto ani za klejnoty. Jest dla mnie zbyt cenna.

Usłyszeli to inni członkowie kompanii, jadący w pobliżu. Jeden z dworzan zapytał, pół żartem, pół serio, co zatem przyjęłaby zamiast złota.

- Nic, milordzie - odparła Alayne i w jej ciemnych oczach zamigotały przekorne iskierki. - Wiem, że Perlita nigdy mnie nie opuści, jeżeli sama jej tego wyraźnie nie nakazę.

- Zakład! Zakład! - rozległy się okrzyki.

- Zakładałam się, że lady Alayne chętniej odda swe serce niżli sokolicę! - zawołała jakaś dama i zanosła się śmiechem.

- Nic z tego! - zabrzmiał inny głos. - Jej nikt nie zdobędzie. Już wielu z nas wyruszało do niej choćby po jeden uśmiech, ale zawsze wracali ze smutkiem i przygnębieniem.

- Jesteś niesprawiedliwy, lordzie Malmont - wesoło odpowiedziała Alayne. - W każdej chwili mogę obdarzyć cię uśmiechem. Jednak ten, kto chciałby dostać mnie i Perlitę, pierwszej musi zdobyć moje serce.

- Wyznacz mi zatem najgorsze zadanie! - zapalił się Malmont i dramatycznym ruchem położył dłoń na piersi. - Chętnie je wypełnię, jeśli będę wiedział, że czeka mnie nagroda w postaci twej miłości i cudnej sokolicy.

- Żartujesz ze mnie, panie. Na pewno wyżej cenisz sokoła niż damę. - Alayne zmarszczyła się, udając, że czuje się obrażona. Doskonale wiedziała, że Malmont od dawna umizga się do innej dworki. - Nie wierzę, abym była zdol-

aa do miłości. Mam serce z kamienia. Nie pokocham nikogo.

- Ależ to wyzwanie! - wtrącił baron de Froissart. - Takiej deklaracji nie można pozostawić bez żadnej odpowiedzi! To już sprawa naszej rycerskiej ambicji.

Inni rycerze ze śmiechem przytaknęli jego słowom. Całe towarzystwo w wesołych nastrojach wróciło przez las do pałacu.

Na dziedzińcu powstało niewielkie zamieszanie, bowiem kilku młodzieńców z zapałem próbowało pomóc Alayne zsiąść z konia. Roześmiała się, widząc ich zapędy, a później wezwała młodziutkiego pazią, który stał w pobliżu. Rycerze zawrócili w ponurych nastrojach, utyskując na jej zachowanie.

- Nie tak łatwo mnie wygrać, moi drodzy panowie - powiedziała Alayne i wręczyła paziowi sokoła. Potem sama zręcznie zeskoczyła z siodła, bez niczyjej pomocy. - Na przyszłość musicie lepiej się postarać.

Ktoś zaraz spytał o jej warunki, lecz Alayne tylko pokręciła głową i z uśmiechem wkroczyła do pałacu. Powitały ją zimne kamienne mury i mrok chłodnego korytarza. Wzdrygnęła się mimo woli. Po rozświetlonej słońcem równinie wewnątrz budynku wydawało jej się ciemniejsze niż zazwyczaj. Rozejrzała się niespokojnie, choć przecież nie miała najmniejszego powodu do strachu. Niewinne żarty dworzan też nie poprawiały jej nastroju. Inne damy podchodziły do tego bez żenady i wyznaczały swoim adoratorom najtrudniejsze zadania, czasem wymagające prawdziwego hartu ducha i odwagi.

Niepotrzebnie się martwię, pomyślała Alayne. Jednak mimo wszystko uczucie niepewności ciągle nie mijało. Odwróciła się i zobaczyła mężczyznę, stojącego z dala od reszty towarzystwa. Częściowo zasłaniała go gruba kolumna, podpierająca łukowate sklepienie wielkiej sali. Mimo to rzuciło jej się w oczy, że był wysoki, barczysty i dobrze zbudowany, ubrany na angielską modłę, na czarno, z drobnymi srebrnymi akcentami. Ciemne włosy sięgały mu niemal ramion. Miał ostre, męskie rysy i zaciskał usta, jakby pogardzał wszystkim, co tutaj zobaczył.

Alayne była przekonana, że nigdy przedtem nie widziała go na dworze królowej Eleonory. Zerknął na nią przelotnie i naraz zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Szare oczy zdawały się spoglądać w głąb jej duszy. Miały srebrzysty poblask, a może tylko tak wyglądały w promieniach słońca, padających przez wysokie okno?

Alayne nagle poczuła przemożną ochotę, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o obcym rycerzu. Kim jest i dlaczego wywarł na niej tak wielkie wrażenie? Czyżby musiała się go obawiać? Dlaczego patrzył na nią w tak intensywny sposób? Przecież mogło się wydawać, że jej nie zauważa, że spogląda gdzieś w przestrzeń, głęboko zatopiony w myślach. Było w nim coś smutnego, jakby na dnie duszy skrywał mroczną tajemnicę.

W korytarzu rozległ się gwar wesołych głosów, śmiechy i echo wielu kroków. Alayne odetchnęła z ulgą. Natychmiast odzyskała poczucie bezpieczeństwa. Przecież królowa obiecała, że nikt - łącznie z rodzonym ojcem - nie zmusi jej do powtórnego ślubu. Nie musiała więc się

obawiać. Jak długo była pod skrzydłami **dobrej** królowej Eleonory, mogła zapomnieć o strachu.

- Ach, tu jesteś, lady Alayne! - zawołał na jej widok de Froissart. - A już myślałem, że nasze żarty zmusiły cię do ucieczki.

- Skądże, sir - odpowiedziała.

- Skoro nie chcesz wyznaczyć nam żadnego zadania, postanowiliśmy rozstrzygnąć to w inny sposób. Najlepsi z nas będą na turnieju walczyć o twoje względy - dodał. Na myśl o walce jego oczy zaślniły podnieceniem. - Zwycięzca zostanie twoim adoratorem.

- Mam zatem pełnić rolę trofeum, panie? - z udanym oburzeniem spytała Alayne, ale nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Niemal chłopięca radość w oczach de Froissarta sprawiła, że jej serce zabiło trochę mocniej. Baron naprawdę bywał czarujący i bardzo go lubiła, ale nie wierzyła, żeby nawet on zdołał skruszyć mur oddzielający ją od świata. Czasem podejrzewała, że jej uczucia już od dawna pozostają martwe, zamordowane przez brutala, który wziął ją do małżeńskiego łóża, kiedy była nieledwie dzieckiem.

- Mogę obiecać, że zwycięzca dostanie mały podarunek. Droga do serca jest dużo dłuższa.

- Zatem co mam zrobić, by cię zdobyć, pani?

- Nie wiem - szczerze przyznała Alayne. - Jeżeli mam kogoś pokochać, musi to być ktoś dzielny i nadzwyczaj prawy. Szlachcic w każdym calu. Silny, szczery, odważny, wierny... - Mimo woli spojrzała w tę stronę, gdzie jeszcze przed chwilą stał nieznajomy rycerz. Niestety, już go nie było. Nie

wiedzieć czemu zrobiło jej się smutno, szybko więc potrząsnęła głową, żeby odpędzić niespokojne myśli. - Miłości nie da się opisać ani wtłoczyć w za ciasne ramy. Przychodzi sama, najczęściej niespodzianie. Nie można kochać na zamówienie ani ku zadowoleniu innych. Poeci uczą, że największa miłość pozostaje nieodwzajemniona...

- Jesteś okrutna, pani! - zawołał de Froissart i jeszcze raz huknął się dłonią w piersi. - Lecz niech tak będzie. Staniemy w szranki, a zwycięzca zlegnie u twoich stóp bez najmniejszej nadziei, że go przyjmiesz.

Alayne odwróciła się, kryjąc uśmiech szczerego rozbawienia. Baron naprawdę był dobrym kompanem, umiał żartować i nie peszył jej swoim zachowaniem. Uznała jednak, że to nie on przysłał jej wiersze i kwiaty. To mógł być raczej któryś z młodych paziów. Jeden z nich rzeczywiście spozierał na nią ukradkiem z tęsknym wyrazem twarzy. Życie na królewskim dworze miewało swoje blaski i cienie. Alayne nieraz widywała chłopców, którzy płakali, myśląc, że są całkiem sami.

- Możesz walczyć o cokolwiek zechcesz, panie - rzuciła na odchodnym.

Baron jeszcze przez chwilę patrzył za nią.

- Okrutna czarodziejko! - krzyknął. - Zostawiasz mnie ze złamanym sercem!

Bezskutecznie czekał na odpowiedź. Zatopiona w myślach Alayne chyba nawet go nie dosłyszała. Weszła na kręte schody i po chwili zniknęła na piętrze, kierując się w stronę baszty, w której miała swoją komnatę.

Przez to, że uwielbiała samotne spacerować po ogrodzie,

sporo wiedziała o tym, co działo się na dworze królowej Eleonory. Czasem dostrzegła szybki pocałunek lub potajemną schadzke między damą i jej ukochanym. Nie mówiła o tym nikomu. W jej oczach zapłakany paź niczym się nie różnił od dumnego rycerza. Raz pewnemu chłopcu dała swoją szarfę, żeby go pocieszyć po kilku kuksańcach, które dostał od pana. Może to właśnie on od tamtej pory przysyłał jej te miłe dowody miłości?

W zamyśleniu wspinała się coraz wyżej na wieżę. Wprawdzie baron de Froissart nie zrywał dla niej kwiatów, lecz wyraźnie zabiegał o jej względy. Co miała odpowiedzieć, gdyby pewnego dnia zupełnie otwarcie wyznał jej miłość? Owszem, mogła zezwolić na kilka pocałunków... i pieszczot. Przecież to zawsze miło być adorowaną. Ale... co będzie, jeśli zacznie domagać się więcej?

Małżeństwo nauczyło ją, że mężczyźni potrafią być brutalni zwłaszcza wtedy, kiedy dochodzą swoich „niezbywalnych” praw lub czują się zagrożeni. Wprawdzie niektóre damy z zachwytem mówiły o „czystej” miłości, ale kto wie, ile było w tym prawdziwych doznań, a ile konceptu wziętego ze słodkich pieśni trubadurów? Małżeństwo Alayne - jeśli w ogóle można to nazwać małżeństwem - nie pozostawiło w niej nic, oprócz utajonego strachu i odrazy.

W tej samej komnacie co Alayne mieszkała Marguerite de Valois. Właśnie się przebierała. Zdażyła zdjąć ciężką wełnianą tunikę - dobrą do konnej jazdy - i włożyła lekką srebrzystą suknię z granatowym okryciem. Z uśmiechem popatrzyła na wchodzącą przyjaciółkę.

- Widziałas może sir Ralpa de Banewulfa? - spytała

Marguerite. Alayne przecząco pokręciła głowę. Ciemne włosy zatańczyły jej na ramionach. - Ojciec wspominał, że powinien dotrzeć tu najpóźniej dzisiaj. Ponoć przywiezie listy od króla Anglii dla jej królewskiej mości.

- Owszem, na dole był ktoś nowy - z namysłem odparła Alayne. - Dosyć wysoki, ciemnowłosy, o ponurym spojrzeniu. .. - Urwała, przypominając sobie ostry wzrok rycerza.

- To chyba on. Jego matka była kuzynką mego ojca. Sir Ralph owdowiał przed pięcioma laty. Jego żona zmarła zaledwie w kilka tygodni po tym, jak powiła pierworodnego syna. Podobno była bardzo piękna. Od tamtej pory sir Ralph nie może otrząsnąć się ze smutku.

- To bardzo przykre - powiedziała Alayne. Rzeczywiście, rycerz, którego widziała na dole, miał w sobie coś z żalobnika. W jego spojrzeniu kryła się posępna tajemnica. - Bardzo rzadko się zdarza, aby któryś wdowiec tak długo przechowywał w sercu pamięć o zmarłej żonie.

- Masz rację. - Marguerite westchnęła. - Większość z nich od razu rozgląda się za drugą. Chcą mieć wielu synów. Moim zdaniem, sir Ralph ją naprawdę kochał. To takie romantyczne... Miłość rodem z pieśni naszych trubadurów.

- Na to wygląda - zgodziła się Alayne, wciąż mając przed oczami smutną twarz rycerza. To przynajmniej w części tłumaczyło jego zachowanie. - Na ogół mężczyźni nie żenią się z miłości. Tak było w moim przypadku. Lenno mojego męża graniczyło z naszym. Ojciec zaaranżował ślub „dla wspólnego dobra” obu rodzin. Powiedział, że przez to staniemy się sil-

niejsi i łatwiej obronimy się przed niebezpieczeństwem z zewnątrz. Mój syn miał we właściwym czasie odziedziczyć cały majątek. Ojciec był bardzo zły, że nie dałam mu oczekiwanego wnuka.

- Przecież twoje małżeństwo trwało zaledwie kilka tygodni.

- To prawda. Mąż... miał dzień po ślubie niewielki wypadek. Był tak pijany, że spadł ze schodów. - Alayne szybko zamruwała powiekami, żeby odpędzić łzy, które cisnęły jej się do oczu. - Skręcił kark, ale nie umarł tak od razu. Opiekowałam się nim przez kilkanaście dni, zanim w końcu wyzionął ducha.

Odwróciła się, nie chcąc okazywać emocji. Baron Humbolt znieważał ją niemal każdym słowem. Winił ją za to, że nie mógł być prawdziwym mężem. Przykuty do łoża aż do chwili śmierci, całymi dniami dawał upust nienawiści. W najohydniejszy sposób lżył i przeklinał młodą żonę. To było nawet gorsze niż jego zachowanie w noc poślubną, na kilka godzin przed wypadkiem.

Nie chcę... Nie będę o tym myśleć! - nakazała sobie w duchu Alayne. Już dawno poprzysięgła sobie, że nikt więcej nie zdoła obrazić jej w ten sposób.

- Przepraszam - powiedziała Marguerite. - Wcale się nie dziwię, że z niechęcią myślisz o ponownym związku. Mój ojciec także dał mi do zrozumienia, że już najwyższa pora, abym wyszła za mąż... - Umilkła na krótką chwilę i dodała z westchnieniem: - Mam nadzieję, że znajdzie dobrego kandydata.

- Nie pytał cię o zdanie?

- Nie, chociaż... wydaje mi się, że już kogoś wybrał. Nie jestem zupełnie pewna.

Alayne domyśliła się, co naprawdę trapiło jej przyjaciółkę.

- Spodziewasz się, że przychylnym okiem spojrzeł na kuzyna? Że to sir Ralph de Banewulf?

Marguerite się zaczerwieniła.

- Być może... ale naprawdę nie wiem. O takich rzeczach zawsze raczej się nie rozmawia. Co będzie, jeśli sir Ralph odrzuci prośbę ojca?

- A ty nie wolałabyś kogoś innego? Nie podoba ci się żaden młodzieniec?

Policzki Marguerite pokraśniały jeszcze bardziej. Milczała przez chwilę, ale nie mogła uciec przed pytającym spojrzeniem Alayne.

- Chyba... tak, ale on nie jest rycerzem. Ojciec nie pozwoli mi wyjść za zwykłego giermka.

- Kochasz go? - zaciekała się Alayne. Coś jej podpowiadało, że Marguerite nie powiedziała całej prawdy. Może to jednak nie był giermek? Więc kto? - A on cię kocha?

- To nie ma nic do rzeczy - odparła Marguerite i w jej pięknych oczach na krótką chwilę zagościł smutek. - Muszę słuchać ojca.

- Tak. Z pewnością.

Alayne dobrze zdawała sobie sprawę, że jej przyjaciółka nie ma innego wyboru. Nawet ona, choć już była wdową i dysponowała niemałym majątkiem, musiała szukać schronienia u królowej. Niestety, Marguerite nie mogła pójść w jej ślady.

- Ufam, że będziesz miała szczęście - powiedziała to-

nem pocieszenia, choć sama nie do końca wierzyła w swoje słowa. - A teraz chodź. Jesteś już gotowa? Królowa na pewno czeka.

Marguerite skinęła głową i uśmiechnęła się, jakby chciała odpędzić złe myśli.

- Mam nadzieję, że spotkamy sir Ralpa.

Alayne znów pomyślała o czarnym rycerzu, którego widziała na dole w wielkiej sali. Wydawał jej się chłodny, niemal lodowaty. Ale dlaczego? Był rzeczywiście zły na to, co tu zobaczył, czy raczej smutny, pochłonięty myślami o utraconej żonie?

Rozdział drugi

Wieczór upływał wszystkim w wesołym nastroju. Dworzanie wciąż nie szczędzili uwag pod adresem Alayne, przeciągając się w wymyślaniu coraz trudniejszych zadań dla potencjalnych kandydatów do jej serca. Dziewczyna z trudem powstrzymywała się od śmiechu, kiedy obserwowała ich zapędy. Z poważną miną oświadczyła jednak, że zwycięzca turnieju otrzyma puchar z jej ręki. Aż tyle i tylko tyle. Na miłość trzeba zasłużyć.

- Wybacz im te naiwne żarty - powiedziała Eleonora. Kilka minut temu wezwała ją do siebie i zapytała, skąd wziął się pomysł turnieju. Ruchem ręki kazała jej zająć miejsce na miękkim taborecie. Rzadko kto miał przywilej siedzieć w obecności królowej. - Nudzą się na dworze i tęsknią za wojaczką. Rozpiera ich energia. Gdyby nie turnieje, część z nich już by uciekła.

- Dlaczego mężczyźni tak bardzo lubią walczyć? - spytała szczerze zdziwiona Alayne. - Mój ojciec ciągle kłóci się z sąsiadami, a jego zbrojni stale są skłonni do bitki.

- Taka już ich natura - zauważyła z westchnieniem kró-

lowa. - Prawdziwy rycerz musi sprawdzić się w bitwie. Od lat podziwiam Saladyna, chociaż jest poganinem. To szczerzy człowiek i dzielny żołnierz. Jednak większość mężczyzn rzadko dotrzymuje składanych obietnic. Musisz o tym pamiętać, moja droga Alayne. Tylko władza daje namiastkę szczęścia, zwłaszcza gdy jest się królową.

Alayne wyczuwała złość swojej władczyni, chociaż nie miała pojęcia, co mogło ją zdenerwować. Zanim jednak zdążyła o to spytać, zobaczyła, że zmierza ku nim rycerz. Był to ten sam mężczyzna, którego widziała przed zmierzchem, tuż po powrocie z polowania. Nisko pokłonił się królowej i spojrzał na nią z szacunkiem zmieszonym z uwielbieniem.

Eleonora Akwitańska mogła się podobać. Była ładną szatynką o żywych ciemnych oczach, lecz jej urok nie polegał wyłącznie na urodzie. Mądra, inteligentna, dumna i energiczna, lepiej radziła sobie na tronie od niejednego króla. Alayne słyszała nieraz, że interesowała się sprawami stanu, i to nie tylko we własnej prowincji, ale także w Anglii. Podobno namawiała synów do buntu przeciw Henrykowi. W tym momencie jej oczy ciskały błyskawice. Ze sposobu, w jaki spojrzała na rycerza, Alayne domyśliła się, że to on był po części przyczyną jej gniewu.

- Jak tam, sir Ralphie? - ze zjadliwą słodyczą spytała Eleonora. - Mam nadzieję, że na nic tu u mnie nie narzekasz? Dostałeś własną komnatę?

- Ależ tak, wasza królewska mość - odparł Ralph. - Otrzymałem o wiele więcej, niż bym się spodziewał. Mam skromne potrzeby. Wystarczy kąt do spania, nawet przy

kominku tutaj, w wielkiej sali. Zabawię w Poitiers zaledwie kilka dni, nie dłużej.

- Mój królewski małżonek zadał mi w liście parę ważnych pytań - szorstkim tonem odpowiedziała Eleonora. - Może upłynąć tydzień albo nawet dłużej, zanim odpowiem na nie tak, jak bym tego chciała. Tymczasem jako poseł króla możesz korzystać z wszelkich atrakcji dworu. Czuj się tu jak u siebie w domu, sir. Jak widzisz, wygod nam nie brakuje. Strawy jest w bród, a i rozrywka na pewno się znajdzie. W rzeczy samej, moi rycerze wkrótce planują turniej o względy tej damy. Lady Alayne będzie Królową Dnia, okaż jej więc należny honor. Może przyłączysz się do igrzysk? Miałybyś co robić, zamiast beczynn timer czekać na moją odpowiedź.

Sir Ralph skłonił się ponownie i zmrużył szare oczy; gdy zerknął na Alayne. Przez chwilę nic nie mówił. Dziewczyna poczuła, że rumieniec z wolna zabarwił jej policzki. Rycerz wciąż uparcie taksował ją wzrokiem. Chyba nie był zadowolony z tego, co zobaczył, bo na jego twarzy pojawił się wyraz dezaprobaty. Alayne dumnie uniosła głowę. Nikt nie miał prawa spoglądać na nią w ten sposób!

- Dużo słyshałem o tej damie - przemówił sir Ralph miękkim i głębokim głosem, który sprawił, że rozkoszny dreszcz przebiegł po plecach Alayne. - Mówiono mi, że ma serce z kamienia i że nikt nie zyska jej względów, biorąc udział w turnieju.

Alayne bez zmrużenia oka patrzyła mu prosto w twarz. Domyślała się, że musiał słyścić jej wcześniejszą rozmo-

wę z baronem de Froissartem. Stąd ten wyraz dezaprobaty, który już wtedy gościł na smagłej twarzy. Zapewne uznał ją za lekkomyślną dziewczkę, która każe rycerzom ryzykować życie lub utratę zdrowia dla płochej uciechy. Wszak nieraz się zdarzało, że podczas turnieju rycerz wysadzony z siodła ginał pod kopytami rozpędzonego rumaka. Niejeden stracił oko, nogę albo ramię. Nie brakło wypadków, nawet gdy walczono tylko „dla zabawy”.

- Obiecałam, że wręczę nagrodę zwycięzcy. Nic więcej - wyjaśniła spokojnie.

Nie zdawała sobie sprawy, że gniewne błyski w oczach czynią ją jeszcze piękniejszą. To był element czarów, które nieświadomie rzucała na mężczyzn.

- Nie był to mój pomysł - dodała. - Od nikogo nie żądam, aby o mnie walczył, mój panie rycerzu, najlepiej więc zrobisz, jeżeli zrezygnujesz z udziału w turnieju. To niemądry wybryk.

- Dzięki za dobrą radę, pani - odparł i skłonił się ponownie, choć tym razem z drwiną. Tak myślała Alayne, bo skąd miała wiedzieć, że jej widok wywarł na nim ogromne wrażenie? Ralph poczuł coś, o czym niemal zapomniał przez minione lata. Był zły, ale na siebie. Ganił się w duchu za słabość.

- Od wielu lat nie brałem udziału w rycerskich potyczkach - dorzucił po chwili milczenia. - Marny ze mnie wojownik. Musisz mi więc wybaczyć.

Uklonił się królowej i odszedł. Alayne odprowadziła go zdumionym wzrokiem. Kim jest, że zachował się względem niej w ten sposób? Miała wrażenie, jakby chlusnął

jej w twarz zimną wodą. Czuła się obrażona. Postanowiła w duchu, że nie chce mieć z nim więcej do czynienia.

- Angielskie maniery - kwaśno zauważyła królowa. - Nie przejmuj się nim, Alayne. Anglicy zawsze są bezczelni i zbyt pewni siebie. Podczas pobytu w Anglii spotkałam wielu takich jak ten Banewulf. Odpychający jak ich pogoda. Chociaż przyznaję, że poznałam też kilku porządných. Jeśli tylko w coś wierzą, są lojalni do bólu, ale damom nie zawsze dotrzymują wierności.

To właśnie niewierność króla Henryka II skłoniła Eleonorę do wyjazdu do Francji.

Alayne siedziała z zamyśloną miną.

- Słyszałam, że sir Ralph już pięć lat boleje po stracie *młodej żony*.

- Tak, wiem o tym - odparła królowa. - Chyba nawet pamiętam tę jego Berenice. Była wraz z ojcem na dworze. Szalenie miła, nieśmiała i bardzo delikatna. Podejrzewam, że lepiej byłoby jej w klasztorze niż w małżeństwie z sir Ralphem.

- Dlaczego? - mimo woli spytała Alayne. - Jest aż taki okrutny?

- Ależ nie - zaprzeczyła Eleonora. - Lecz pod pozornym chłodem kryje się namiętna natura. Nie daj się zwieść, Alayne. Sir Ralph jest zmysłowy, a takiemu potrzeba równie zmysłowej żony. Berenice była zbyt krucha. Zniszczył ją nieświadomie. Biedne dziecko... Miała czternaście lat, kiedy się pobrali, piętnaście, jak urodziła syna. Poród tak ją wyczerpał, że już nigdy potem nie doszła do siebie. Jakiś czas później dostała gorączki i zmarła, podobno w straszliwych boleściach.

Alayne się przeżegnała.

- Biedna dusza... Obawiam się, wasza królewska mość, że za dużo kobiet umiera z tej samej przyczyny. Ciężki poród... gorączka...

- Zdarza się to najczęściej, kiedy położnica jest szczupła i delikatna. Dla silnej niewiasty to żaden wielki wyczyn. Mam kilku synów, Alayne, i wciąż żyję. Ty też nie powinnaś się niczego obawiać. A może to dlatego wzdragasz się wyjść za mąż?

Alayne spiekła raka i pokręciła głową.

- Nie, wasza królewska mość. Znasz moją historię. Chętnie dałabym syna mojemu mężowi, gdyby... gdyby tylko on sam był trochę inny...

- Dobrze, już dobrze. Nie chciałam wprawić cię w zakłopotanie - przerwała jej Eleonora i pogładziła Alayne po policzku. - Przecież wiesz dobrze, że nie pozwolę, abyś wbrew swojej woli ponownie wyszła za mąż. Kłopot w tym, że pewnego dnia sama zmienisz zdanie. Wtedy z wielką ochotą oddam cię człowiekowi, którego wybierzesz sobie na małżonka.

- Taki dzień nie nadejdzie, najjaśniejsza pani.

- Nikt nie poruszył twego serca?

- Nikt, kogo chciałabym nazwać moim mężem.

- W takim razie powinnaś pomyśleć o kochanku. -

Eleonora wybuchnęła śmiechem, widząc spłoszoną minę Alayne. - Nie będę ci już dokuczać. Możesz odejść. Dołącz do kompanii i przyślij mi tu Marguerite. Mam jej coś do powiedzenia.

Alayne dygnęła wdzięcznie i odeszła na bok, by poszu-

kać przyjaciółki. Przekazała Marguerite polecenie królowej, a potem rozejrzała się po wielkiej sali pełnej rozbawionych dam i rycerzy. Kilka zasłuchanych dworek otaczało kręgiem młodego trubadura, który śpiewał im pieśń o miłości. Wyglądały jak w transie. Inne plotkowały, wsparte gdzieś pod ścianą, sadowiąc się na ławach lub drewnianych krzesłach. Sztuka konwersacji zawsze była w cenie na dworze Eleonory. Alayne przez chwilę zastanawiała się, czy nie dołączyć do jakiejś grupy, ale po namyśle wybrała samotną przechadzkę.

Lubiła spacerować wieczorem po ogrodach. O tej porze roku ciemność zapadała stosunkowo późno, a do pierwszych chłódów było jeszcze daleko.

Najpierw wyszła na mały ukryty dziedziniec. W nozdrza uderzył ją zapach kwiatów. Z przyjemnością wzięła głębszy oddech. Wąski strumyk z pluskiem przelewał się przez głązy, tworząc sztuczny wodospad. Tuż obok połyskiwały wody małego stawu, w którym pływały drobne rybki. Alayne obserwowała je przez chwilę. Nagle usłyszała obok siebie szelest. Odwróciła głowę i zobaczyła stojącego opodal rycerza. Patrzył na nią. Serce zabiło jej w piersiach, chociaż wcale się go nie bała... jak czasami innych.

- Nie powinnaś absolutnie wychodzić o tej porze sama, lady Alayne.

- Zwykle chadzam sama, także wieczorami. Dopóki pozostaję pod opieką królowej, nie muszę nikogo się obawiać.

- Są ludzie, dla których nawet słowo króla nic nie znaczy - zauważył sir Ralph. - A gdy chodzi o damę, są zdolni

do wszystkiego. Widziałem tutaj takich nie dalej jak przed chwilą. Masz cięty dowcip, pani, lecz na twoim miejscu nie stwarzałbym pokusy.

- Co to ma znaczyć, panie? - Z trudem się powstrzymała, żeby nie przycisnąć ręki do kołającego serca. Czyżby ją oskarżał, że z premedytacją prowokowała mężczyzn do groźniejszych czynów? - Czy ty... - zachłysnęła się w połowie zdania, widząc, że sir Ralph zaciska twarde pięści.

- Nie, lady Alayne - odpowiedział cicho. - Nie musisz się mnie obawiać. Nie skrzywdzę żadnej damy, niezależnie od tego, czy byłaby niewinna, czy wredna jak diabli.

Znów na jego twarzy pojawiło się coś na kształt dezaprobaty. Alayne się wyprostowała.

- Wygląda na to, że mnie krytykujesz, panie. Uważasz mnie za wredną, bo nie zwracam uwagi na adoratorów?

Była piękna, gdy tak stała z błyszczącymi oczami i uniesioną głową. Zapewne ktoś młodszy i mniej zgorzkniały od Ralpha natychmiast by ją zdusił w namiętym uścisku. Jednak on pogrzebał niewczesne uczucia, prowadzące jedynie do nieszczęścia i smutku.

- Jak mam cię oceniać, pani, skoro się nie znamy?

- Dziś po południu słyszałeś, co mówił do mnie baron de Froissart. Znasz też moją odpowiedź. Wiesz zatem, że nie robiłam mu nadziei. Nie zachęcałam innych. Tak już jest na tutejszym dworze, że sprawy sercowe są przedmiotem żartów.

Sir Ralph pochylił głowę. Czy ta kobieta była naprawdę niewinna? Nie mógł w to uwierzyć. Przecież miała męża, choć trochę więc musiała zdawać sobie sprawę z władzy, ja-

ką los dał jej nad mężczyznami. Znów nabrał ochoty, by zamknąć ją w objęciach i obsypać pocałunkami. Chyba oszalał! Była nie dla niego.

- Jeśli poczułaś się dotknięta moimi słowami, lady Alayne, to pokornie błagam cię o wybaczenie - powiedział oficjalnym tonem bez śladu najmniejszej skruchy. - Jestem tu obcy i życie dworu to w zasadzie nie moja sprawa.

-Właśnie. Choćby dlatego nie masz prawa osądzać mnie, milordzie.

Bez cienia strachu wytrzymała jego chłodne spojrzenie, choć nie nawykła do takich rozmów, zwłaszcza w Poitiers, gdzie wszyscy wokół - zwłaszcza rycerze - obsypywali ją komplementami. I pomyśleć, że do tej pory traktowała ich słowa z lekkim pobłażaniem.

- Słusznie, pani - przytaknął Ralph i z wolna skinął głową. Lekki uśmiezek błąkał się na jego ustach. Na krótką chwilę Alayne zapomniała o całym świecie. Ciekawe, jak on całuje? - przebiegło jej przez głowę. Nie! - skarciła się w duchu. Skąd te niedorzeczne myśli? - Obraziłem cię, choć to wcale nie było moim zamiarem. Mimo to powtórzę wcześniejsze ostrzeżenie. Tak młoda i piękna dama nie powinna wychodzić bez opieki, czy to za dnia, czy wieczorem.

Uklonił się i odszedł. Alayne spoglądała za nim gniewnie. Uznała go za zimnego gburę, choć musiała przyznać, że nie był głupcem. Znał swoją siłę i autorytet. Co więcej, umiał je wykorzystać. A jednak pod tą zimną powłoką wyczuwała silne emocje. Sir Ralph intrygował ją w przedziwny sposób.

Nie, nie... Zupełny nonsens! - pomyślała Alayne. Po prostu zaciekawił mnie swoim zachowaniem. To człowiek z charakterem. Nie tak łatwo go rozgryźć jak tutejszych dworzan, którzy przecież nie kryją swoich uczuć. Przed czym ją ostrzegał? Mówił prawdę? Co jej mogło grozić?

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Przecież przebywała na dworze w Poitiers! Tutaj słowo królowej stanowiło prawo. Nikt nie mógł zlekceważyć jej rozkazów. Na tych, którzy pogwałciliby rycerski kodeks, ustanowiony przez Eleonorę, czekały najsurowsze kary.

Do tej pory Alayne była święcie przekonana, że gdzie jak gdzie, ale w Poitiers jest całkiem bezpieczna. Teraz zdawało jej się, że dokoła czyha na nią zagrożenie. Szybko wróciła do wielkiej sali, do migotliwych świateł, gwaru i donośnych śmiechów.

- Ach, tu jesteś, pani! - zawołał na jej widok baron de Froissart, zanim wmieszała się w tłum dam dworu. - Wszyscy zastanawiali się, gdzie zniknęłaś. Sir Jonquil napisał nowy wiersz dla ciebie. Zechcesz posłuchać?

- Och tak! Posłuchajmy! - odezwało się naraz kilka żeńskich głosów. - Posłuchajmy wiersza!

Alayne się uśmiechnęła. W atmosferze ogólnej zabawy zapomniiała o wszelkich zmartwieniach i szybko odzyskała dawną pewność siebie. Była głupia, że uwierzyła w ponure majaczenia przybysza z odległej Anglii.

Po rozstaniu z lady Alayne sir Ralph nie poszedł od razu do pałacu. Z ulgą stwierdził jednak, że posłuchała jego

rady i wróciła do swoich przyjaciół. Z posepną miną myślała o niedawnej rozmowie. Po jakie лихо się odzywał? Co go podkusiło, żeby ją zagadnąć? Mogła robić, co chciała. Skoro wybrała się na samotną przechadzkę... Kiedyś miała męża, musiała więc wiedzieć, na co się naraża.

Chociaż z pewnością jej oburzenie nie było udawane. Tak... Miała w sobie coś, co sprawiało, że nawet on nie potrafił minąć jej obojętnie. Czy to za sprawą magii, czy samego diabła, na jej widok krew szybciej pulsowała w żyłach. Zaręczała, że jest niewinna. Niewiele brakowało, a nawet on, Ralph de Banewulf, ugiąłby się pod jej dumnym spojrzeniem. Na szczęście był nieczuły na kobiece fochy. Pierwsza przekonała się o tym biedna Berenice. Tylko że Alayne była całkiem inna. Biada temu, kto dałby się złapać na jej wdzięki! Pewnie niejeden już żałował tej znajomości.

Ralph wiele słyszał o słynnym „dworze miłości” i rządzących na nim regułach. Takie bzdury są dobre dla naiwnych dziewcząt, pomyślał. Zwłaszcza tych, które wciąż wierzą w czystość męskich intencji. On swoje wiedział. Nie wolno bez opieki podchodzić zbyt blisko do bestii uspięonej w ciele każdego mężczyzny. Niewiele brakowało, aby sam zapragnął spijać miód ze słodkich ust lady Alayne. Była tak kusząca... To nie rycerski honor, ale gorzkie wspomnienia odwiodły go od grzechu. Pamięć łez innej kobiety...

Cichy głos wyrwał go z zamyślenia. Nadstawił ucha - ktoś rozmawiał w cieniu.

- De Froissart chce ją mieć dla siebie. Gdyby wszystko szło po jego myśli, już dawno byłby jej kochankiem.

- Zbyttnio się bawi. Ona nie podda się tak łatwo. Nawet

nie spojrzysz w moją stronę. Nie przywiązuje wagi do prezentów. Postanowiła, że nie wyjdzie za męża, i na razie się tego trzyma.

Rozmowa stała się ostrzejsza; zaczęła przypominać kłótnię. Ralph zorientował się, że chodzi o Alayne.

- A jeśli nagle zmieni zdanie? - zapytał pierwszy. - Będzie Królową Dnia podczas turnieju. Wiesz przecież, jakie są niewiasty. Wystarczy odrobina ruchu, męskich zabaw i atmosfery podniecenia... Z łatwością może stracić głowę. De Froissart na pewno wygra. Nikt z nas mu nie dotrzyma pola. Będzie miał prawo, by ją wielbić, a jeśli ona mu ulegnie...

- Myślisz, że rodzic będzie domagał się ślubu?

- Baron de Robspierre ciągle goni za władzą i fortuną. De Froissart jest dość bogaty i znany na wielu dworach. Podobno cieszy się łaskami angielskiego króla. Sam powiedz, który ojciec pogardziłby taką partią?

- Prędeż go zabiję!

- Kogo? De Froissarta? Najpierw go pokonaj. To da ci dostęp do Alayne. Niech cię polubi. Damy wysoko cenią dzielnych wojowników. Niejedna padła mi w ramiona zaraz po zakończonej walce. Bierz ją, póki gorąca! A kiedy będzie twoja, na pewno znajdziesz sposób, żeby ją wytreścić.

- Nigdy nie wygram z de Froissartem. Z innymi, owszem. Z nim to się nie uda. To znakomity rycerz.

- Jeżeli stchórzysz, stracisz najlepszą szansę.

- Mam pewien plan...

Głosy rozbrzmiewały coraz ciszej. Mężczyźni odeszli.

Ralph nasłuchiwał jeszcze przez długą chwilę, ale nie usłyszał już nic więcej. Nie poznał rozmówców. Dowiedział się jedynie, że chciwość popychała ich do najgorszej zbrodni.

Już wcześniej trochę wypytywał o łady Alayne. Mówiono mu, że jest zamożna; była też jedynaczką i dodatkowo miała odziedziczyć cały majątek ojca. A to znaczyło, że zagraża jej o wiele więcej, niż się spodziewał. Jej uroda, zniewalający uśmiech, ciepłe spojrzenie i otaczająca ją subtelna aura erotyzmu - z której wyraźnie nie zdawała sobie sprawy - czyniły z niej ponętne trofeum dla mężczyzn. Dla wielu nie musiała nawet mieć pieniędzy.

Słowa ostrzeżenia, które rzucił w gniewie - chociaż bardziej był zły na siebie niż na nią - okazały się wyjątkowo trafne. Alayne rzeczywiście znalazła się w niebezpieczeństwie. Już nie chodziło tylko o jej ufność do reguł rządzących dworem. Stawką była jej wolność, a może i życie. Dla dwóch łotrów, ukradkiem spiskujących w ogrodzie, stała się pionkiem w rozgrywce o władzę.

Ralph poczuł, że buntuje się przeciwko takiej możliwości. Nie pozwoli jej skrzywdzić! Póki sił mu starczy... Chwilę później roześmiał się z goryczą i pokręcił głową nad własną naiwnością.

Czym Alayne była dla niego? Przecież wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie powinien liczyć na najmniejsze względy. Po prostu go nie lubiła. Z gniewem odrzuciła wszelkie ostrzeżenia. Ba, obraziła się, zamiast go wysłuchać. Gdyby powiedział jej o spisku, najwyżej by się roześmiała. A poza tym tak naprawdę niewiele wiedział.

Przypadkowo podsłuchiwał rozmowę o turnieju. Nawet

nie widział twarzy spiskowców. Pewnie niejeden rycerz rozważał dziś swoje szanse i niejeden marzył, że to on weźmie nagrodę z rąk pięknej Alayne. Jednak tu chodziło o coś znacznie bardziej niebezpiecznego. Tajemniczy dworzanin chciał mieć Alayne dla siebie przez wzgląd na jej majątek, rozległe ziemie ojca i spadek po mężu. Baron de Robspierre bez wątpienia zamierzał połączyć swoje lenno z posiadłością zięcia. Później dobra przeszłyby w całości w ręce synów Alayne. Na razie nie miała dzieci i to z tej przyczyny była łakomym kąskiem dla intrygantów. Drugi mąż przejąłby prawa do majątku. Po śmierci de Robspierre'a stałby się dziedzicem. Alayne utraciłaby wszystko. Byłaby tylko zabawką w rękach wszechwładnego męża. Na samą myśl o tym Ralph się wzdrygnął. Przystanął i ponurym wzrokiem spojrzął w ciemność.

W głębi duszy pogardzał chciwością, ale jasno zdawał sobie sprawę, że to potężna siła, skłaniająca ludzi do najgorszych czynów. Sam ożenił się z całkiem innego powodu, a jednak nie dał nic biednej Berenice, prócz bólu i cierpienia. W gruncie rzeczy nie różnił się od innych mężczyzn, choć próbował być lepszy, miał wyrzuty sumienia i jeszcze nie odzyskał szacunku do siebie.

Nie mógł siedzieć bezczynnie, wiedząc że Alayne jest w niebezpieczeństwie. Gdyby jej się coś stało, byłby równie winny jak za śmierć Berenice. Szkoda, że pięć lat temu nie umiał jej wysłuchać. Że nie rozumiał żony. Nic już nie przywróci życia Berenice, lecz Alayne jeszcze można uratować.

Mam pomówić z królową o tym, co słyszałem? Eleonora

była mocno zagniewana tonem listów, które jej przywiózł od Henryka. Bez wątpienia wiedziała o wszystkim, co działo się na angielskim dworze, i nie pochwałała niewierności męża. W tych okolicznościach królewski posłaniec nie bardzo mógł liczyć na jej zrozumienie. Tym bardziej że nie miał dowodów na potwierdzenie swojego oskarżenia.

Nie ma co nawet próbować. Ralph bił się z myślami. Na dobrą sprawę nie był opiekunem Alayne. Nawet jej dobrze nie znał. Co z tego, że obudziła w nim dawne uczucia, od lat już pogrzebane pod kopczykiem smutku i wstydu.

Powinien cichcem przesiedzieć w Poitiers, cierpliwie czekając, aż Eleonora skreśli list do męża. Jednak to mogło potrwać parę dni, tygodni lub miesięcy. Pewnie zanudziłby się na śmierć, gdyby nie miał nic do roboty. Postanowił zatem rozejrzeć się za spiskowcami, którzy czyhali na Alayne. Gdyby zdobył namacalny dowód tej intrygi, mógłby śmiało udać się z tym do królowej.

Jeszcze przed godziną był święcie przekonany, że to baron de Froissart stanowi największe zagrożenie dla młodej pięknej wdowy. Wszak mu się podobała. Prawił jej słodkie słówka i był gotów popełnić każde głupstwo, żeby ją uwieść. Inni snuli dużo groźniejsze plany. Chcieli ukraść to, czego im odmawiano. Żaden prawy rycerz nie mógł przejść obojętnie obok takiej zbrodni. Ralph czuł się związany uroczystą przysięgą, że będzie zwalczał zło i bronił słabszych, nawet za cenę życia.

Postanowił zatem pomóc lady Alayne, choćby wbrew jej woli. Wiedział, że naraża się na niechęć z jej strony, ale po

części robił to także dla siebie. Uciśniona niewinność, tak pomyślał o niej, bo była niewinna mimo groźnej miny i zalotnych uśmiechów. Uratuję cię, obiecał sobie w duchu. Może w ten sposób chociaż w części spłacę dług zaciągnięty wobec Berenice.

Alayne i Marguerite pomagały sobie nawzajem przy rozbieraniu. Co prawda, każda z nich miała służącą, lecz wieczorem zazwyczaj radziły sobie same. Dziewkom kazały chodzić wcześniej spać. Robiły to ze współczucia. Los panien służebnych na królewskim dworze był nie do pozazdroszczenia. Od świtu do zmierzchu ciężko harowały nawet bez jedzenia, jeśli nie liczyć tego, co uszczknęły w kuchni z resztek na talerzach zabranych od pańskiego stołu. Musiały również znosić niewybredne zaloty pachółków, lokajów, a czasem i gości. Wiele z nich samotnie wychowywało dzieci, na ogół ukrywane gdzieś w kącie pałacu do czasu, aż któreś nie podrosło na tyle, żeby pomagać w kuchni albo stajni.

- Sir Ralph ze mną rozmawiał! - paplała Marguerite. Jej piękne oczy błyszczały wyraźnym podnieceniem. Zdjęła diadem z głowy Alayne i położyła go na dębowej skrzyni, stojącej pod wąskim oknem. Na zewnątrz było zupełnie ciemno, bo jakaś chmura przesłoniła księżyc. - To naprawdę wspaniały rycerz. Łagodny, lecz odważny. Poznałaś go?

-Tak. Królowa mi go przedstawiła - odpowiedziała Alayne. Doszła do wniosku, że najlepiej będzie nie wspominać o późniejszym spotkaniu w ogrodzie. - Mówił raczej niewiele. Wspomniał tylko, że nie przystąpi do turnieju.

- Sam król Anglii pasował go kiedyś na rycerza - zachwycała się Marguerite. - Słyszałam, że przed ślubem był jednym z faworytów na dworze. W imieniu króla walczył ze zbuntowaną szlachtą. Mam nadzieję, że nie uważasz go za tchórza. Co z tego, że odmówił udziału w turnieju?

- Masz rację - odparła Alayne. Wciąż pamiętała, jak sir Ralph ostrzegał ją przed samotnym wieczornym spacerem. - Dla mnie taka zabawa to zwykła strata czasu. W dodatku niebezpieczna. Jeżeli ktoś chce walczyć, powinien to uczynić w słusznej sprawie.

Zdjęła suknię i w samej koszuli, bosopodbiegła do łóżka, żeby czym prędzej wsunąć się pod ciepłą kołdrę. Nawet latem w kamiennych murach pałacu panował chłód, a zimą wszyscy spali pod stosem futer narzuconych na pościel z wierzchu.

Marguerite zgasiła kaganek i dołączyła do przyjaciółki.

- Niech Bóg nas pobłogosławi i pozwoli szczęśliwie dotrwać do rana - powiedziała i się przeżegnała. - Chyba polubię sir Ralpa - dodała, układając się wygodniej do snu.

Alayne uśmiechnęła się w ciemności. Podejrzewała, że Marguerite już uwierzyła, że jej ojciec wysłał swatów do Anglika. Chyba nie miała nic przeciwko temu, choć jeszcze dzisiaj zaręczała, że jej serce należy do kogoś zupełnie innego.

Oczywiście musiała posłuchać rodzica. Alayne też nie wybierała sobie męża. Chociaż pod kołdrą było bardzo ciepło, zimny dreszcz nagle przebiegł jej po plecach. Wciąż pamiętała, z jakim przerażeniem przyjęła wiadomość, że ma poślubić człowieka w wieku jej ojca. Jeszcze większym

strachem napawało ją lubieżne spojrzenie przyszłego ob-lubieńca. Wreszcie w noc poślubną, kiedy zamknęła oczy i zebrała się w sobie, by nie zacząć krzyczeć, wyszło na jaw, że jej „pan i władca” nie potrafi spełnić małżeńskich obo-wiązków.

Łza załśniła jej w kąciку oka. Baron Humbolt po pew-nym czasie zaprzestał daremnych wysiłków, zaklął szpet-nie i tak mocno uderzył w twarz młodą żonę, że przeciął jej dolną wargę. Alayne zapłakana wtuliła się w podusz-ki. Mąż, złorzecząc, wstał z łóżka i wyszedł z komnaty. Jak później się dowiedziała, przez całą noc pił mocne wino. Rankiem przyszedł do niej zupełnie pijany i znów niemra-wo próbował miłosnych igraszek. Pobił ją przy tym jeszcze mocniej.

Wreszcie z rykiem wściekłości wybiegł na korytarz i spadł głową w dół z kamiennych schodów, wiodących do wielkiej sali. Szkoda, że nie zabił się przy tym na miejscu. Złamał kręgosłup i przez następne dni, aż do śmierci, cier-piał straszliwe katusze, Alayne starała się nim opiekować, gdyż dokuczało jej poczucie winy. Początkowo była prze-konana, że to jednak przez nią podstarzały baron nie mógł zaznać rozkoszy małżeńskiego łoża. Sam zresztą nazwał ją „zimną suką”, która nie ma w sobie „nic z kobiecości”.

Przeklinał ją całymi dniami, zmuszając do najgorszych posług, aż w końcu pewnej nocy umarł we śnie. Alayne po-dziękowała Bogu, że uwolnił ją od poniżenia, lecz następ-nego dnia ze zgrozą dowiedziała się od ojca, że za pół roku znowu wyjdzie za męża.

- Za młoda jesteś, żeby być wdową - oznajmił baron de

Robspierre. - Przy odrobinie sprytu twoje drugie małżeństwo wyjdzie nam na dobre. Wprawdzie ziemie Valmonta leżą trochę dalej, ale wystarczająco blisko, by wziąć je pod uwagę. Zawsze też pozostaje de Bracey...

- Nie! - krzyknęła blada jak ściana Alayne. - Nigdy! W głowie się nie mieści, że możesz mi to proponować, ojczy! Ten człowiek... - Aż jej tchu zabrakło ze zdenerwowania. - Ten człowiek mnie przeraża. A poza tym wciąż się z nim kłócisz o zagarnięte dobra.

- W takim razie tym bardziej powinnaś go poślubić - odparł ojciec. - Twoi synowie odziedziczą wszystko, Alayne. Pomyśl tylko... Pomyśl o fortunie, którą przekażesz kiedyś w ręce swoich dzieci.

Alayne nie chciała o tym pamiętać. Wydawało jej się, że najgorsze chwile miała już za sobą, ale spotkanie z młodym angielskim rycerzem przywołało niemiłe wspomnienia. Przed czym ją ostrzegał? Znała chciwość mężczyzn niejako „z pierwszej ręki”, widząc postęпки ojca i zmarłego męża. Ojciec też ją uderzył, kiedy powiedziała, że ponownie nie stanie na ślubnym kobiercu. Usiłował ją zmusić, by zmieniła zdanie, ale zdołała umknąć i od kilku miesięcy cieszyła się spokojem na dworze w Poitiers. Mimo to nie pozbyła się wszystkich dawnych obaw. Baron de Robspierre potrafił być bardzo uparty, zwłaszcza gdy w grę wchodziły sprawy majątkowe. Alayne wiedziała, że tak łatwo nie zrezygnuje ze swoich planów.

Zamknęła oczy i próbowała odpędzić złe myśli. Jednak nie mogła zasnąć. Ciągłe widziała urodziwą twarz angielskiego rycerza. Żaden inny mężczyzna, nawet de Froissart,

nie budził u niej tak przedziwnych uczuć. W jej sercu zagnieździła się tęsknota... za czym? Nie potrafiła na to odpowiedzieć. A wszystko przez króciutkie spotkanie w ogrodzie.

Dlaczego wciąż mnie dręczysz? - zapytała w myślach. Byłam tak spokojna przed twoim przyjazdem. Nagle coś się zmieniło. Co? Tego nie wiedziała, i to chyba było dla niej najgorsze.

Rozdział trzeci

Do obowiązków Alayne należały poranne spotkania z królową. Po przebudzeniu Eleonora wypijała kubek słodkiego wina. Potem Alayne pomagała jej się ubrać, uczesać i przygotować na spotkanie nadchodzącego dnia.

- Zezwoliłam na turniej - oznajmiła królowa. Służąca upiła łyk wina i dopiero wtedy podała jej kubek. Eleonora opróżniła go niemal jednym haustem. - Zaczniemy w przyszłym tygodniu. Dzisiaj jest sobota, a jutro Dzień Pański, zatem najprędzej pojutrze. Roześlemy heroldów po całej okolicy, żeby ludzie przybyli oglądać widowisko. Niechże to będzie dzień zabawy i festynu.

- Nasi rycerze nie mogą się doczekać, kiedy staną w szranki - odparła Alayne. - Muszę pomyśleć o nagrodzie.

- To może być jedynie szarfa lub puchar - zaznaczyła królowa. - Dobrze wiesz, że i tak liczą na coś więcej.

- Chyba się przeliczą. - Alayne westchnęła. - Jednak nie chcę, żeby walczyli o szarfę. Zwycięzca otrzyma coś wartościowego, na przykład moją złotą bransoletkę, którą dostałam w dniu ślubu od ojca.

- Tę w rzymskim stylu, z grawerowanym pnączem winorośli?

- Właśnie - żywo przytaknęła Alayne, ciesząc się, że Eleonora pamięta takie drobiazgi. - Najjaśniejsza pani, czy sądzisz, że to wystarczy,?

- Piękna robota - zauważyła królowa. - Jesteś pewna, że chcesz się z nią rozstać?

- O tak - bez wahania odpowiedziała Alayne. Bran-
soletka nie miała dla niej zbyt wielkiej wartości, bowiem przypominała wydarzenia, których nie chciała pamiętać.

Wolę inne.

- Niech zatem tak będzie. Mamy już nagrodę. - Eleonora dostojnie pokiwała głową. Potem jednak westchnęła i zmarszczyła brwi, jakby przypomniała sobie coś przykre-
go. - Znowu wygra de Froissart? To staje się nudne. Wolałabym jakiegoś nowego czempiona. To wstyd, że rycerz o takich umiejętnościach nie wstąpił do templariuszy i nie walczy o dużo większą sprawę.

- Słyszałam, wasza królewska mość, że baron de Frois-
sart jako młody chłopiec wziął udział w krucjacie.

- To prawda. Byłam tam i widziałam, jak odbierał naj-
wyższe honory z rąk mojego pierwszego męża. Miał jedenaście lat i pełnił rolę pazia, a walczył nie gorzej od giermka. Rycerskie ostrogi zdobył jako siedemnastolatek. Nikt nie nazwie go tchórzem. Taka jego wola, że chce siedzieć tutaj, chociaż dużo bardziej przydałby się gdzie indziej.

Alayne uśmiechnęła się, lecz nic nie powiedziała. Królowa lubiła mieć koło siebie silnych i odważnych mężczyzn. Na pewno nie życzyła sobie wyjazdu de Froissarta. To nie

z tego powodu była w nie najlepszym humorze. Alayne domyśliła się, że przyczyniła się *do* tego lektura listów od męża, Henryka II. Szeptano, że król Anglii nieraz zdradzał żonę i że dlatego królowa osiadła we Francji.

Eleonora Akwitańska była potężna i bogata. Liczni książęta, a także królowie czynili zakusy na jej ziemie, ale ona broniła ich jak lwica i kłóciła się o nie nawet z mężem, który żądał części majątku.

Po zakończeniu porannej toalety zaprosiła kilka dam dworu na spacer po ogrodach. Alayne także znalazła się w tym gronie. Szła w promieniach słońca, gawędząc z przyjaciółkami. W głębi duszy wciąż jednak myślała o niedawnej rozmowie z królową. De Froissart... Wygrał ostatnie trzy turnieje, nic więc dziwnego, że tak bardzo palił się do walki. Na pewno liczył na coś więcej niż złota bransoletka. Mimo to Alayne nie była całkiem pewna własnych uczuć względem przystojnego barona.

Owszem, kiedy odezwał się do niej miłym słowem, czasami jej serce biło trochę mocniej niż zazwyczaj. Zdarzało się, że „przypadkowo” pogłodził ją po rękę. Dwa razy pomógł jej zsiąść z konia. Wyczuwała, że pragnął ją pocałować. Domyśliła się, że gdy rozwodził się nad „czystą miłością”, przywoływał scenerię z pieśni trubadurów: powłóczyście spojrzenia, ukradkowy uścisk, skradziony pocałunek. .. Na jak długo mogło mu to wystarczyć?

Na więcej Alayne nie zamierzała mu pozwolić. Zgodnie z zasadami szlachtetnej miłości, dama decydowała o tym, czy dojdzie do *affaire*. To był jej przywilej. Pocałunki, umizgi i namiętne wzdychania - na to mogła się zgodzić,

nic przy tym nie tracąc. Dla innych dworek podobne czułości stanowiły zaledwie wstęp do prawdziwego romansu. Nie, to raczej nie dla mnie, uznała Alayne.

- Czym tak się martwisz, pani?

Podskoczyła jak oparzona. Rycerz, o którym właśnie przed chwilą myślała, wyszedł z bocznej alejki i zrównał się z nią krokiem. Rozejrzała się szybko. Pograżona w zadumie, nie zauważyła wcześniej, że królowa wraz z całym fraucymerem zdążyła już zawrócić w kierunku pałacu.

- Tylko trochę rozmyślałam - bąknęła Alayne i w pomieszczeniu nawet się nie opierała, kiedy wziął ją za rękę i złożył delikatny pocałunek na jej dłoni.

De Froissart obdarzył ją ciepłym spojrzeniem, które sprawiło, że przyjemny dreszczyk podniecenia przebiegł jej po plecach. Miło być adorowaną przez rycerza tak pełnego galanterii, oceniła. Gdyby nie złe wspomnienia z krótkiego okresu małżeństwa, młody baron bez większego trudu znalazłby drogę do jej serca.

- Słyszałam, że dopiąłeś swego, panie. W przyszłym tygodniu odbędzie się turniej. Jesteś zadowolony?

- Tutaj chodzi tylko o rywalizację - odparł i na moment z powagą popatrzył jej prosto w oczy. - Nie obawiaj się, że zażądam więcej, niż jesteś skłonna mi ofiarować, pani. Owszem, podziwiam twą urodę i chcę, byś mnie pokochała, ale umiem dotrzymać słowa. Jeśli wygram, nie dostanę nic, czego bym nie miał do tej pory.

Alayne słuchała tych słów z bijącym sercem. De Froissart umiał pięknie mówić i był czarujący, a mimo to trak-

towała go z pewną rezerwą. Nie budził w niej takich uczuć, jak młody przybysz z Anglii...

- Nagrodą będzie moja bransoletka. Rzecz w *tyra*, że jeszcze jej nie zdobyłeś, panie - powiedziała pół żartem, pół serio. Przyjemnie było w tak słoneczny dzień gawędzić z czarującym adoratorem. - Co będzie, jeśli ktoś zrzuci cię z konia?

- Nawet bym się ucieszył - z westchnieniem odparł de Froissart i Alayne po raz pierwszy dostrzegła w nim człowieka, jakim był naprawdę, a nie za jakiego chciał uchodzić. - Prawdę mówiąc, nudzę się na tutejszym dworze, Gdyby nie ty, lady Alayne, dawno bym wyjechał.

- Czemu tego nie zrobisz? - zapytała. - Dokąd cię najbardziej ciągnie?

- Do Anglii - odparł. - Słyszałem, że część szlachty znowu się buntuje. Ofiarowałbym swoje usługi królowi.

- A nie myślisz o tym, by ponownie stanąć pod znakiem krzyża?

- Byłem już w Ziemi Świętej. Spłaciłem dług wobec Kościoła. Po prawdzie, miałem całkiem inne plany... - Urwał i pokręcił głową. - Nie pora na takie rozmowy. Wybacz mi, pani. Wiem, że to cię drażni.

Alayne popatrzyła na niego z zaskoczeniem. De Froissart zachowywał się inaczej niż zwykle. Do tej pory uważała, że chciał być jej kochankiem, a tu okazało się, iż miał nieco poważniejsze zamiary. Odwróciła się szybko i poszła w tę samą stronę, w którą przedtem podążył cały orszak królowej.

- Gdzie byłaś? - zagadnęła ją Marguerite. - Jej królewską mość zamierza po południu popracować w ogrodzie

nad nowym gobelinem. Chce, żebyś pomogła jej dobierać nici. Podobno masz najlepsze oko do kolorów. Ostatnim razem musiała spruć część roboty, bo podałam jej niewłaściwy odcień błękitu.

Alayne pokiwała głową. Dobrze, że będzie miała zajęcie, które pozwoli jej oderwać się od niepokojących myśli. Przede wszystkim chodziło jej o de Froissarta. Niewinny flirt to co innego, lecz gdyby zechciał ją poślubić... Nie, to niemożliwe. Nie chciała zostać jego żoną. Nie chciała być własnością żadnego mężczyzny!

- Popadłam w zadumę - odpowiedziała na pytanie przyjaciółki. - Potem spotkałam de Froissarta. Nawet nie zauważyłam, kiedy zawróciłyście do pałacu.

Obejrzała się w drzwiach. Na ścieżce nie było nikogo. Baron de Froissart zniknął. Po chwili dostrzegła Anglika, który wyłonił się zza rozłożystych krzewów i ze zmarszczonymi brwiami spoglądał w jej stronę. Dlaczego zawsze na mój widok robi marsową minę? - zastanawiała się Alayne. Co zrobiłam, żeby go rozgniewać?

Serce waliło jej jak oszalałe i z trudem łapała oddech. Odniosła wrażenie, że wzrok sir Ralpha wnika w głąb jej duszy i umysłu... Że stoi przed nim całkiem naga i bezbronna. Doszła do wniosku, że chyba nie podobało mu się to, co w niej zobaczył. Jednak powiedzmy sobie całkiem szczerze: co mnie to obchodzi?

Wcale nie muszę o nim myśleć. Ale czy potrafię?

Ralph rzucił ostatnie spojrzenie na znikającą w pałacu Alayne, a potem energicznym krokiem poszedł za de Frois-

sartem. Nie zamierzał podsłuchiwać ich rozmowy, lecz po tym, co niechcący dotarło do jego uszu, nabrał przekonania, że Alayne nie powinna bać się barona. Źle go ocenił. De Froissart zamierzał prosić o rękę pięknej Alayne. Gdyby tylko go zechciała, mogłaby liczyć na dostatnie i wygodne życie. Za jednym zamachem zdobyłaby dobrego męża i odprawiła z kwitkiem podstępnych „zalotników”, czyhających jedynie na jej majątek. Wyglądało na to, że de Froissart kochał ją zupełnie szczerze i miał dość pieniędzy, żeby nie myśleć o posagu.

Bez wątpienia był dobrą partią dla Alayne. Potrzebowała żelaznej dłoni w jedwabnej rękawicy, bo choć na pozór wydawała się skromna i nieśmiała, płonął w niej ogień wielkich namiętności. Zakochany baron zapewniłby jej opiekę i na pewno ochronił przed złem tego świata. Ralph wrócił myślami do innej rozmowy, którą przypadkowo usłyszał w ogrodzie. Podejrzewał, że ktoś zechce przed turniejem usunąć de Froissarta. Postanowił go ostrzec.

Odszedł już dosyć daleko od pałacu i znalazł się na skraju lasu. Nagle usłyszał przed sobą krzyki i wyraźne odgłosy walki. Napad! Wprawdzie Ralph - tak jak większość dworzaków - nie miał na sobie zbroi, ale na szczęście nie zwykł rozstawać się z mieczem. Zabierał broń za każdym razem, gdy nawet na chwilę wychodził z pałacu.

Pobiegł w kierunku walczących. Tak jak podejrzewał, chodziło o de Froissarta. Baron zmagął się z bandą groźnych przeciwników. To nie byli rycerze, ale silne draby w przebraniu pachołków. Ciężkimi pałkami tłukli de Froissarta, jakby chcieli go zabić. Ralph krzyknął z obu-

rzenia na widok takiej zdrady. Wyciągnął miecz i rzucił się w wir walki. Napastnicy unieśli głowy i jak niepyszni uciekli do lasu.

Ralph ich nie gonił. Zajął się de Froissartem, który leżał na ziemi i od czasu do czasu jęczał. Baron miał ranę na głowie i plamy krwi na prawym rękawie kaftana.

- Wybacz mi, panie, że nie przyszedłem wcześniej - powiedział Ralph i pomógł mu się dźwignąć z trawy. Baron zacisnął zęby i głucho jęknął z bólu. - Co ci zrobili? Widzę, że jesteś ranny w rękę. Coś jeszcze?

- Kilka siniaków i dziura w głowie - wyszczał de Froissart. - Najgorzej z ręką. Obawiam się, że jest złamana - dodał.

Pozwolił Ralphowi dokładnie obejrzeć pokiereszowane ramię. Ralph ostrożnie podwinął mu rękaw kaftana i obmacał kości. Potem pokiwał głową.

- Solidnie obita, ale nie strzaskana. Za twoim przyzwoleniem, panie, odprowadzę cię do pałacu i wezwę cyrulika. Podejrzewam jednak, że minie trochę czasu, zanim porządnie wydobrzejesz. Na pocieszenie powiem ci jednak, że widywałem już gorsze rany.

- Dzięki za pomoc - powiedział de Froissart. Zachwiał się lekko i Ralph musiał go podtrzymać. - Gdyby nie ty, pewnie by mnie zabili.

- Niestety, dopiero dzisiejszego ranka w pełni zdałem sobie sprawę z grożącego ci niebezpieczeństwa - odparł Ralph. - Wiem, że ktoś za wszelką cenę chce wygrać turniej i ubiegać się o rękę lady Alayne, jednak do głowy mi nie przyszło, że przedtem wezmą się za ciebie, panie.

- Mów dalej! - zawołał de Froissart i popatrzył na niego rozognionym wzrokiem. - Twierdzisz, że zostałem napadnięty po to, abym nie mógł wziąć udziału w turnieju?

- Chyba tak - odpowiedział Ralph. - Właśnie szedłem, żeby cię ostrzec. Widziałem z dala, że rozmawiasz z lady Alayne. Ktoś czyha na jej majątek i nie cofnie się przed niczym, żeby usunąć ze swojej drogi wszystkich potencjalnych rywali.

- Cóż to za łotr? Własnoręcznie zaszlachtuję go jak świnie! - krzyknął de Froissart i zatoczył się z nagłego bólu. Przytknął dłoń do zranionej ręki. - Lecz dopiero jak wyzdrowieję...

- Nie znam jego nazwiska. Zeszłego wieczoru słyszałem tylko, jak szeptał w ogrodzie. - Ralph uśmiechnął się, widząc bezsilną złość de Froissarta. - Początkowo nie domyśliłem się, o co chodzi, a potem było już za późno, żeby ich dogonić. Przyjdzie pora, że na pewno pomścisz tę zniwagę, panie - dodał - lecz w najbliższym czasie nie staniesz w turniejowe szranki.

- Właśnie o to chodziło spiskowcom - burknął de Froissart i skrzywił się, gdy próbował poruszyć prawą ręką. - Jeżeli mnie zabraknie, to ktoś inny wywalczy sobie prawo do lady Alayne. Pewnie będzie to syn barona de Bracey, Renaldo. Ojciec pożąda ziemi, syn zaś pięknej dziedziczki. To znana para złoczyńców, syn gorszy od ojca. Tylko oni są zdolni do perfidnej intrygi.

- Rzeczywiście było ich dwóch - z namysłem powiedział Ralph. - Jeden jakby się wahał, lecz drugi go przekonał. Powiadasz: de Bracey? Niewykluczone, że masz ra-

cję... Nie znam żadnego z nich. Każ swojemu giermkowi, by mi ich pokazał. Będę miał na nich oko.

- To stanowczo za mało - powiedział de Froissart. Zrobił jeszcze kilka powolnych kroków, zatrzymał się i wbił spojrzenie w Ralpa. - Musisz stanąć w szranki i pokonać de Braceyę. Gdyby wygrał, co najmniej na parę godzin stałby się rycerzem lady Alayne. Nie dowierzam temu łotrowi. Bez wahania skorzystałby z okazji.

- Jak rozumiem, zależy ci na tej damie, panie?

- Tam do kata! - wybuchnął de Froissart. - A cóż cię to obchodzi, panie! - Zaraz jednak się opamiętał. - Jeśli chcesz wiedzieć, to najchętniej jeszcze dziś bym ją poślubił. Niestety, jej szchwany ojciec na dobre zraził ją do małżeństwa. Wyobraź sobie, że wydał ją za człowieka, który mógł być jej dziadkiem! Nie zaznała miłości od męża. Musiało tam wydarzyć się coś bardzo złego, chociaż lady Alayne nie chce o tym mówić. Wiem od królowej, że była ogromnie nieszczęśliwa. Od tamtej pory straciła zaufanie do mężczyzn. Już dłuższy czas delikatnie próbuję jej schlebiać, ale wciąż nie wiem, czy kiedykolwiek zdoła mnie pokochać. Mimo to zrobię wszystko, czego ode mnie zażąda.

- Musisz ją chronić - odrzekł Ralph. - Bardziej niż przedtem potrzeba jej dobrego przyjaciela. Należy wymyślić coś, co nie pozwoli, aby młody de Bracey wygrał turniej. Nie znasz nikogo, kto poza mną mógłby walczyć w twoim imieniu?

W odpowiedzi de Froissart zmrużył powieki.

- Słyszałem, że jesteś bitnym rycerzem, de Banewulf. Bij

się za mnie i uratuj tę damę przed nieszczęściem. Sam tego nie dokonam z obolałą ręką.

- Już od dawna nie brałem udziału w turniejach - broił się Ralph. Nie tęsknił za tą formą rycerskiej rozrywki. Widział zbyt wielu rannych przy podobnych okazjach. Jeżeli już miał dobyć miecza, to tylko w słusznej sprawie. - Owszem, ciągle ćwiczę, bo to jedyny sposób, żeby zachować pełną sprawność ciała i umysłu. Turniejów nie lubię. W ostatnim, w którym walczyłem, przyczyniłem się do śmierci przyjaciela. Co gorsza, zrobiłem to pod wpływem złości. Od tamtej pory obiecałem sobie, że użyję broni jedynie za króla i ojczyznę.

- Wszyscy skrywamy mroczne tajemnice... Takie, o których lepiej byłoby zapomnieć - odparł de Froissart, zaintrygowany wyznaniem sir Ralpa. - Chciałeś go zabić?

- Nie. Próbował mi powiedzieć coś, czego nie zamierałem słuchać. Rozgniewał mnie tym. Stanęliśmy do walki i w pewnym momencie rzuciłem go na ziemię. Upadł tak nieszczęśliwie, że rozbił sobie głowę o żelazne kowadło. W zacierzewieniu żaden z nas nie zauważył, że zbliżyliśmy się do kuźni. Pękła mu czaszka. Bezskutecznie próbowaliśmy go ratować. Przed śmiercią przyznał, że specjalnie sprowokował mnie do walki. W ten sposób chciał mnie wyrwać ze smutku i odrętwienia. Potem uśmiechnął się i skonał.

- Co sprawiło, że cię rozgniewał?

- Upierał się, że dziecko, które przychodzi na świat, w konsekwencji uśmierciło mi żonę, nie jest moje, lecz jego. - Twarz Ralpa pociemniała ze smutku. - Kłamał...

Dobrze wiedziałem, że kłamię. Bardziej byłem zły na siebie niż na niego. Zamordowałem ją swoją wyniosłością, a jego zabiłem w gniewie. Przez pewien czas zastanawiałem się, czy nie pojechać na krucjatę, aby odpokutować za nieczne czyny. Pomyślałem jednak, że nie jestem tego wart. obrońca wiary, rycerz Boga, musi być bez skazy.

- Wiem, co czujesz. - De Froissart poważnie pokiwał głową. - Mam na sumieniu podobny czyn i dlatego porzuciłem myśl o ponownej wyprawie do Ziemi Świętej. Niepostrzebenie się oskarżasz, de Banewulf. Nie ty pierwszy i nie ostatni... To nie najgorszy z grzechów.

- Mimo to nie potrafię sobie wybaczyć.

- W takim razie potraktuj ten turniej jako pewną formę pokuty. - De Froissart postanowił rzucić mu wyzwanie. - Jeżeli czujesz, że jesteś coś winny zmarłej żonie i druhowi, doładź miecza także w ich imieniu. Bardzo się boję, że bez twojej pomocy lady Alayne stanie się krzywdą.

Ralph przez długą chwilę spoglądał w milczeniu na barona. Wreszcie skinął głową. Wprawdzie będzie musiał złać najświętszą przysięgę, ale postanowił pomówić z kapłanem i poprosić go o rozgrzeszenie.

- Zgadzą się, lecz nie mogę obiecać zwycięstwa. Jak już wspominałem, co dzień wraz z moimi ludźmi staję na placu ćwiczeń, ale w turnieju nie walczyłem od czasu, gdy z mojej ręki zginął Christian Payton.

- Kiedy tylko cyrulik trochę mnie połata, przypatrzę się, jak sobie radzisz z kopią i mieczem - rzekł de Froissart - a potem zobaczymy...

- Powinieneś leżeć w łóżku.

- Nie jestem mięczakiem - zachnął się de Froissart i znowu jęknął z bólu. - Niech no tylko opatrzą mi rękę i dadzą kubek mocnego wina, a nie będziesz miał werniejszego sojusznika ode mnie. Będę najgłośniej wiwato- wał, gdy wrócisz zwycięzcą. Bić łotrów!

Ralph się uśmiechnął. Poczuł, że trochę polubił de Frois- sarta.

- Dzięki za dobre słowo. Mam cichą nadzieję, że nie za- wiodę twego zaufania.

Alayne słyszała plotki krążące w pałacu. Cały dwór mó- wił niemal wyłącznie o napadzie na barona de Froissarta. Większość uważała to za haniebną zdradę i niecny pod- stęp, bo podejrzewano, że w ten sposób ktoś chciał pozbyć się najgroźniejszego uczestnika turnieju. Nikt nie wątpił, że po tej przygodzie de Froissart nie będzie mógł stanąć w szranki.

- To ohydne! - oburzyła się Marguerite. - Kto mógłby się dopuścić tak karygodnego postępku?

- Nie mam pojęcia. - Alayne znów ogarnęło przeczucie, że wydarzy się coś złego, zupełnie jak tamtego dnia na po- lowaniu, gdy po raz pierwszy usłyszała o turnieju.

Królowa była bardzo zagniewana. Początkowo chciała odwołać turniej, ale dworzanie błagali ją, żeby nie pozba- wiała ich tak długo oczekiwanej rozrywki. De Froissart, który, spóźniony, wprost od cyrulika, przyszedł na wiecze- rzę, przyłączył się do ogółu.

- Pokornie proszę waszą królewską mość, aby turniej odbył się tak, jak zaplanowano - powiedział głośno, żeby

wszyscy go dobrze słyszeli. - Ten, kto to uczynił, niech nie myśli, że zdradziecko wygra, bo będzie miał do czynienia z moim czempionem!

- Co takiego?! - Słuchacze ze zdumieniem patrzyli po sobie. Każdy chciał wiedzieć, kogo de Froissart uczynił swoim zastępcą. - Któż to, szlachetny panie? Ktoś znany na tutejszym dworze?

- Jest z nami od kilku dni - odpowiedział de Froissart i uśmiechnął się do stojącego tuż za nim Ralpa. Bolało go, bo wychylił jedynie kielich wina i nie wypił kojącej ziołowej mikstury, podsunętej mu przez medyka. Wytłumaczył się, że i tak nie będzie mógł spokojnie zasnąć, dopóki nie zmaże plamy na honorze. - To sir Ralph de Banewulf.

Słyszając pomruk zdziwienia, uniósł zdrową rękę, by nakazać ciszę.

- Sir Ralph uratował mi życie, kiedy nieopatrznie poszedłem bez broni aż na sam skraj lasu, gdzie czyhali na mnie zaczajeni bandyci. Gdyby nie on, pewnie bym już dzisiaj nie żył, a jak sami widzicie, raczej niespieszno mi do śmierci.

Alayne zachłysnęła się, słuchając de Froissarta. Przecież Anglik nie chciał brać udziału w turnieju. Dlaczego zmienił zdanie?

Królowa Eleonora spojrzała na rycerza.

- Czy to prawda, sir Ralphie? Rzeczywiście zamierzasz walczyć za barona?

- Tak, gdyż poprosił mnie o to i czuję się związany nakazem honoru.

Władczyni z zadowoleniem skinęła głową.

- A zatem dzień zapowiada się bardzo ciekawie - powiedziała. - Moi zacni panowie, skoro jest to dla was honorowa sprawa, nie ma powodu, aby turniej się nie odbył. Mimo to zarządzam zmianę. Będziecie walczyć o złotą bransoletę i prawo do zajmowania miejsca u boku lady Alayne przy wysokim stole podczas uczyty, do której zasiądziemy zaraz po igrzyskach. Do tej pory słyszałam płocze androny o miłości i adoracji... Tego stanowczo zabraniam. Bransoleta i ucztą, to cała nagroda. - Powoli powiodła wzrokiem po zgromadzeniu. - Zgadza się, panowie rycerze?

Zewsząd rozległy się potakiwania, ale Ralph dostrzegł w tłumie kilka ponurych twarzy. Pochylił się i szepnął co do ucha de Froissarta. Baron spojrzał w stronę stojących obok siebie mężczyzn. Z daleka było widać, że są spokrewnieni, chociaż ojciec miał ociężały wygląd, ziemistą cerę, grube ręce i nalaną twarz. Ralphowi wydawało się, że zauważył parę blizn po ospie na jego policzkach. Czyżby to on chciał zdobyć lady Alayne? Dla siebie czy dla syna? Młodszy z mężczyzn wyglądał nieco zdrowiej, ale miał wąskie usta okrutnika.

Nie, zdecydował Ralph, na pewno jej nie dostaniecie. Przyrzekł sobie w duchu, że póki mu starczy sił, nie pozwoli, aby któryś z nich za bardzo zbliżył się do Alayne. Nie byli warci nawet jej spojrzenia. Myśleli, że ją skradną baronowi sprzed nosa? Chcieli go zamordować i pewnie do tego by doszło, gdyby Ralph nie podsłuchiwał ich sekretnej rozmowy.

- Przykro mi, że zostałeś ranny, panie.

Ralph odwrócił się na dźwięk łagodnego kobiecego

głosu i zobaczył, że lady Marguerite rozmawia z de Froisartem.

- To tylko zwykłe zadrapanie - lekceważąco odparł baron, choć niezupełnie zgodnie z prawdą.

- Powinieneś teraz odpocząć, panie. To prawdziwe zrządzenie losu, że sir Ralph akurat znajdował się w pobliżu.

- Mam mu za co dziękować - przyznał baron.

Ralph przestał ich słuchać i czujnie rozejrzał się po sali, szukając Alayne. Spozstrzegł ją stojącą nieco na uboczu, z dala od innych dam, z mocno przygnębioną miną. Dlaczego była taka smutna? Co ją mogło zmartwić? Uznał ją za młodą trzpiotkę; za kusicielkę, która cieszyła się, że ma tak wielką władzę nad tłumem adoratorów. Teraz ujrzał tę urodziwą pannę w momencie, gdy myślała, że nikt na nią nie patrzy. Nie był to pocieszający widok.

- Chyba przeproszę was na moment - rzekł do de Froisarta i chciał odejść, lecz w tej samej chwili królowa wstała, żeby przemówić do zgromadzonych.

- W gruncie rzeczy nie wiemy, czy na pana barona napadli zwykli bandyci, czy wynajęte zbiry - zaczęła poważnym tonem. - Jeżeli jednak wyjdzie na jaw, że była to z góry zamierzona próba wyeliminowania go z turnieju...

- Zawiesiła głos, po czym podjęła: - Sprawcy zostaną natychmiast skazani na banicję, a ich dobra skonfiskowane. To samo dotyczy wszystkich, którzy planowaliby w podobny sposób usunąć sir Ralpha de Banewulfa.

Przez tłum przebiegł pomruk wyrażający zdumienie, bo kara była rzeczywiście sroga, a nikt w Poitiers nie słyszał, żeby królowa Eleonora w tak oschły i stanowczy sposób prze-

mawiała do rycerzy. Zatem wypadek de Froissarta naprawdę musiał ją rozgniewać. Chyba nikt z jej otoczenia nie ryzykowałby banicji i konfiskaty lenna. Utrata zbroi - którą przegrany zgodnie ze zwyczajem oddawał zwycięzcy - była zaledwie fraszką w porównaniu z groźbami królowej.

- Ktoś chciał twej krzywdy, panie? - spytała Marguerite i z niepokojem spojrzała na de Froissarta. - Ależ to straszne... Nie do pomyślenia...

- Być może nigdy nie poznamy prawdziwej przyczyny - odparł poblady baron. - Dziękuję, pani, za czułe słowa, lecz jednak pójdę za twoją radą i położę się już do łóżka.

Marguerite wyglądała na szczerze zatroskaną.

- Ależ oczywiście... Może ci pomóc, panie?

- Mój przyjaciel zrobi to na pewno lepiej. Obawiam się, że byłbym dla ciebie za ciężki, piękna pani. - De Froissart uklonił się niezgrabnie i syknął do Ralpha: - Zabierz mnie stąd jak najszybciej!

- Tak kończy się niepotrzebna fanfaronada - rzekł Ralph i podtrzymał mdlejącego barona.

De Froissart poruszał się z najwyższym trudem, a mimo to chciał być obecny na wieczerzy. Ralph na moment zapomniał o Alayne i zajął się rannym.

- Chodź, odprowadzę cię do łóżka. Chyba najlepiej będzie, jeśli wypijesz wywar przygotowany przez medyka i postarasz się jak najszybciej zasnąć. Jutro rano na pewno bardziej mi się przydasz. Chcesz, żebym przegrał turniej? Obawiam się, że w takim wypadku zwycięzca zażąda dużo więcej od Alayne, i nawet nasza dobra królowa nie zdoła mu w tym przeszkodzić.

- Musisz wygrać! - zaperzył się de Froissart i popatrzył na niego spode łba. Ręka bolała go jak diabli, ale pod wpływem złości zupełnie o tym zapomniał, co było zresztą zgodne z intencjami Ralpa. - Musisz wygrać - powtórzył - i na pewno wygrasz pod warunkiem, że włożysz w to nieco więcej serca. Przecież nie jesteś głupcem, de Banewulf. Nie spraw mi wstydu. Jeśli zawiedziesz, to jak wydobrzeję, będziesz miał ze mną do czynienia.

Ralph roześmiał się, chociaż wiedział, że de Froissart mówił jak najbardziej poważnie. Rozumieli się doskonale i już pomiędzy nimi zawiązała się przyjaźń. Baron był prawnym, uczciwym rycerzem i dobrym kandydatem na męża dla Alayne. Wprawdzie Ralph mimo woli wzdragał się na myśl, że piękna panna miałaby wybrać innego, ale postanowił trzymać się swoich zasad. Wszak przyrzekał kiedyś, że już nigdy w życiu nie weźmie żony.

Alayne patrzyła za nimi, kiedy wychodzili z sali. Była przerażona wieścią o napadzie na de Froissarta. Podejrzała, że chodziło nie tylko o turniej. To zapewne ma też coś wspólnego ze mną, pomyślała. Ale kto mógłby się dopuścić tak ohydneho czynu? Ktoś z dworu? To wydawało się niemal niemożliwe, chociaż po namyśle musiała przyznać, że było kilka osób, którym do końca nie ufała. Były i takie, których starała się unikać.

Potoczyła wzrokiem po sali. O właśnie... Baron de Bracey i jego syn Renaldo. Dziwne, że właśnie dzisiaj przybyli na wieczerzę. Ciarki przebiegły jej po plecach. Tym razem nie potrzebowała dobrych rad sir Ralpa, by zrezygnować z samotnej przechadzki po ogrodzie.

Nie wiedziała, który de Bracey budził w niej większą odrazę. Baron był najzwyczajniej wstrętny i jeśli wierzyć plotkom, cierpiał na jakąś przewlekłą chorobę. Syn wydawał się o wiele gorszy. Wciąż pamiętała go jako małego chłopca, który wraz z ojcem odwiedził kiedyś posiadłość de Robspierre'ów. W pewnej chwili Alayne zastała go w kuchni. Znęcał się nad kociętami. Skrzyzczała go, ale on tylko się roześmiał.

- Pewnego dnia wstaniesz rano i zobaczysz, że już ich nie ma - powiedział zjadliwym tonem.

Oczywiście nic takiego się nie stało, ale przez kilka tygodni budziła się ze strachem.

A teraz ojciec chciał wprowadzić ją do ich rodziny! Nigdy prawdziwie jej nie kochał, ale jak mógł być tak okrutny?! Dobrze, że de Bracey rzadko bywał w Poitiers. Chyba wiedział, że nie cieszy się popularnością na tutejszym dworze. Po co dzisiaj przyjechał? Pogodził się z de Robspierre'em? Alayne jasno zdawała sobie sprawę, że ojciec będzie chciał zmusić ją do małżeństwa, które przyniosłoby mu korzyść. Prędzej umrę, niż przyjmę nazwisko de Bracey, obiecała sobie solennie.

Odwróciła wzrok i odetchnęła głęboko, próbując zapanować nad zdenerwowaniem. W tej samej chwili zobaczyła, że królowa ją wzywa. Szybko podeszła do Eleonory, dygnęła wdzięcznie, wzięła do ręki lirę i zgodnie z życzeniem władczyni zaśpiewała dla całej kompanii. Pomyślała ze smutkiem, że powinna zawczasu wziąć przykład z Marguerite i przynajmniej zamienić dwa słowa z rannym de Froissartem. Zawsze był dla niej miły,

choć dzisiejszego ranka trochę ją wystraszył swoimi planami. Owszem, lubiła go jako przyjaciela, ale małżeństwo. .. Nie, wydawało jej się całkiem niemożliwe. Nie wierzyła, że spotka takiego mężczyznę, którego kiedyś zechciałaby nazwać mężem.

W tej samej chwili oczami duszy ujrzała urodziwą twarz sir Ralpa. Przypomniała sobie, jak na nią spozierał podczas pamiętnego spotkania w ogrodzie. Z jednej strony wydawał się jej jakby gniewny, z drugiej... No właśnie. Najlepszym określeniem byłoby „spragniony”. Czego? Głębszych uczuć? Najdziwniejsze, że wcale jej to nie przeszkadzało. Nie drażnił jej jak inni dworzanie, zachowujący się w podobny sposób.

Coś przyciągało ją do Ralpa de Banewulfa. To niemożliwe, żeby się zakochała... A może jednak?

Nie, nie... Po przykrych małżeńskich doświadczeniach na pewno nie była zdolna do miłości. Cóż więc sprawiało, że długo przed zaśnięciem przewracała się w łóżku z boku na bok? A gdy wreszcie zapadała w sen, śniła o jego pocałunkach, tak słodkich, że serce śpiewało jej z radości.

Niedziela była Dniem Pańskim. Alayne czterokrotnie brała udział we mszy w królewskiej kaplicy. W pozostałe dni dwór rozbrzmiewał muzyką i śmiechem, lecz w niedzielę królowa wymagała od wszystkich powagi i zadumy.

Damy spędzały ten czas na modlitwie lub przy robotkach. Mężczyźni najczęściej wybierali konne przejażdżki. Alayne podejrzewała, że niektórzy z nich jeździli do wiejskiej oberży, aby napić się wina i poweselić trochę

z miejscowymi dziewczkami. Oczywiście nie wszyscy - byli bowiem tacy, co służbę Bogu przedkładali nad wszelkie przyjemności.

Dopiero po wieczerzy, którą w tym dniu królowa spożywała we własnej komnacie, a nie w wielkiej sali, Alayne znalazła chwilę, żeby porozmawiać z Marguerite.

- Słyszałam, że sir Ralph spytał najjaśniejszą panią, czy może dzisiejszą noc spędzić na czuwaniu w kaplicy - powiedziała jej przyjaciółka.

Powoli zmierzały do swojej komnaty. Wszyscy udali się wcześniej na spoczynek, bo nazajutrz o pierwszym brzasku miał rozpocząć się turniej.

- Podobno kiedyś złożył przysięgę, że już nigdy nie stanie w szranki - ciągnęła Marguerite. - Kapelan królowej dał mu rozgrzeszenie, ale nakazał również pokutę. Sir Ralph musi do rana przeleżeć krzyżem przed ołtarzem.

- Skąd ta przysięga? - zapytała Alayne. W zamyśleniu zmarszczyła brwi. - Myślisz, że popełnił jakąś zbrodnię?

- Mój ojciec uważa, że to dobry człowiek - odpowiedziała Marguerite. - Rzecz jasna, o każdym krążą różne plotki, ale nie wydaje mi się, by sir Ralph był zdolny do niegodziwości. Ciągłe myśli o zmarłej żonie. Ponoć nagle odeszła z tego świata, powalona gorączką.

- Myślałam, że zmarła w połogu.

- Ojciec mi mówił, że doszła do siebie, ale po pewnym czasie znów zachorowała. Sir Ralph ma poczucie winy, że ją zaniedbywał. Aż trudno w to uwierzyć, nie sądzisz, Alayne?

- Być może... Nie znam go na tyle, by wyrażać zdecy-

dowany osąd, ale nie wydaje mi się, żeby bardzo zgrzeszył - odparła Alayne, unikając wzroku przyjaciółki. Peszyła ją rozmowa o angielskim rycerzu, postanowiła więc szybko zmienić temat. - Słyszałaś, co się dzieje z baronem de Froissartem? Nie widziałam go od wczoraj. Pytałam lady Angelicę, lecz powiedziała tylko, że spędził dzień w łóżku.

- Tego nie wiem. Ojciec podobno widział go z samego rana na placu turniejowym. Przez trzy godziny obserwował ćwiczenia sir Ralpa.

Alayne pokiwała głową i spojrzała na nią z zaciekawieniem.

- A jak twoje małżeńskie plany? - zagadnęła.

- Hm... Ojciec wspomniał tylko, że niedługo zabierze mnie do Anglii. Mój stryj Godolphin jest w łaskach u króla. Ponoć cioteczka Isabelle też bardzo chce mnie widzieć. Mam kilku kuzynów w wieku sposobnym do żeniaczki.

- Zapewne jeszcze trochę potrwa, zanim twój ojciec się zdecyduje - zauważyła Alayne. - W tym czasie giermek zostanie rycerzem...

- Och, nie - przerwała jej szybko Marguerite. Czerwona jak burak, odwróciła głowę. Była wyraźnie zakłopotana tym, że kiedyś, w przyływie słabości, wyznała prawdę o swoich uczuciach żywionych do młodego giermka. - To tylko głupie marzenia. Chłopak jeszcze nie dorósł na tyle, by się żenić. Poza tym starsi mężowie są na pewno lepsi.

- Byle nie za starzy - cierpko zauważyła Alayne. - Możesz mi wierzyć, Marguerite, że to niedobre rozwiązanie. Sir Ralph i baron de Froissart są w podobnym wieku...

- Baron jest starszy o trzy lata - palnęła Marguerite

i znów spiekła raka, widząc zdumione spojrzenie Alayne.
- Wiem to od ojca - wyjaśniła. - Mówił mi, że sir Ralph jest rówieśnikiem mojego brata Eduarda. De Froissarta zaś znam nie od dzisiaj, bo w przeszłości bardzo się przyjaźnił właśnie z Eduardem.

- Nic mi o tym nie wspominałaś - zauważyła Alayne. Sir Ralph sprawiał wrażenie starszego. Zawsze taki poważny i zrównoważony. - Sądziłam, że nie bardzo lubisz de Froissarta.

- Nie o to chodzi, że go nie lubię - odparła Marguerite.
- Po prostu źle się wyraziłam. Kiedyś, gdy Pierre de Froissart i Eduardo byli giermkami, doszło pomiędzy nimi do niewielkiej sprzeczki. Chyba przejęłam się tym bardziej, niż powinnam. Eduardo dopiero niedawno powiedział mi, co naprawdę się stało. Był zły, bo Pierre naskarżył na niego do mistrza szermierki. Później, gdy Pierre wyjechał na krucjatę, Eduardo musiał zostać w domu. Miał dopiero trzynaście lat i nie mógł mu towarzyszyć.

- Wszystko jasne - odparła Alayne. Zauważyła przy okazji, że Marguerite była mocno zdenerwowana i że kilkakrotnie w wyraźnie familiarny sposób wymieniła imię de Froissarta. - Zatem uważasz, że to człowiek na pewno godzien zaufania?

- Jak każdy rycerz - odpowiedziała Marguerite, wchodząc do komnaty. Ziewnęła i zaczęła się rozbierać. Wyraźnie chciała zmienić temat rozmowy.

- Jestem ogromnie zmęczona - poskarżyła się. - Jutro trzeba wstać wyjątkowo wcześniej.

- Tak, to prawda - zgodziła się z nią Alayne.

Zaczęła podejrzewać, że jej przyjaciółka o wiele bardziej interesowała się de Froissartem, niż chciała się do tego przyznać. Może wymyśliła historię o giermku? Dlaczego jednak ukrywała prawdziwe uczucia? Chyba nie podejrzewa, że chciałabym de Froissarta zatrzymać dla siebie? - pomyślała Alayne. Czyżby była zazdrosna?

- Dobranoc, niech Bóg czuwa nad nami do rana - powiedziała.

Marguerite leżała z zamkniętymi oczami pod ciepłą pościelą. Alayne powoli wsunęła się do łóżka, przymknęła powieki i spróbowała zasnąć. Nie bardzo jej to wychodziło. W głowie miała gonitwę myśli. Wyglądało na to, że Marguerite ma te same kłopoty, co ona. Tyle tylko, że lepiej znała de Froissarta. Skoro baron przyjaźnił się kiedyś z jej bratem, to obie rodziny były bardzo zżyte. Musieli się spotykać...

Coś ją jeszcze męczyło, ale nie potrafiła do końca rozwiązać tej zagadki. To już teraz nieważne, pomyślała z westchnieniem przed samym zaśnięciem. Jutro turniej, a wraz z nim nowe emocje i zmartwienia. Ciekawe, kto wygra.

Przyśnił jej się zwycięzca. Stał i patrzył na nią, a ona mu wręczała obiecaną nagrodę.

Od samego rana mnóstwo ludzi ściągnęło na plac turniejowy. Rozgadany tłum mężczyzn, kobiet i dzieci zajmował miejsca na pobliskich błoniach. Najmłodsi dokazywali niczym małe psiaki. Dziewczynki czepiały się matczynych spódnic, prosząc o słodczyce sprzedawane przez wędrow-

nych kupców. Zanim zjawiła się królowa w otoczeniu dam dworu, wokół placu trudno już było o wolne miejsce. Kupcy i ich połówice w odświętnych ubraniach siedzieli obok steranych życiem rzemieślników, zadowolonych, że niespodziewane święto pozwoliło im oderwać się od warsztatu. Zebracy błagali o parę miedziaków, czujnie łypiąc okiem, czy przypadkiem nie uda się niepostrzeżenie pochwycić czyjejs sakiewki. W powietrzu rozbrzmiewały okrzyki sprzedawców, oferujących napitki i łakocie. Panowały podniecenie i nastrój oczekiwania.

- Czyż to nie wspaniałe? - szepnęła Marguerite do Alayne. - Och, spójrz! Tam jest połykacz ognia! Ależ to musi boleć, prawda?

- Przypuszczam, że to zwykła sztuczka - odparła Alayne. - Niania mówiła mi, że wędrowni kuglarze stosują różne triki, bezczelnie żerując na naiwności widzów. - Uśmiechnęła się na widok rozczarowania widocznego na twarzy przyjaciółki. - Popatrzeć warto. Mnie to nie przeszkadza.

Poczuła nagły dreszcz emocji, kiedy przy dźwiękach fanfar herold poprowadził ją do podwyższenia, na którym wzniesiono tron przykryty połyskliwym jedwabiem. Damy dworu z przejęciem szeptały do siebie, gdy ogłaszano Alayne gospodynią turnieju i zarazem Królową Dnia. Niektóre chyba zazdrościły jej tego wyróżnienia, inne cieszyły się z dobrej zabawy.

Wśród wiwatów tłumu Alayne zasiadła na tronie. W ciągu tego dnia jej słowo było najwyższym prawem dla dzielnych rycerzy, z których jeden w nagrodę miał zasiąść u jej

boku podczas wieczornej uczty. Zgodnie z ustalonym od lat przywilejem, zgromadzeni gromkim okrzykiem powitali nową Królową Młodości i Urody, a dopiero później złożyli stosowny pokłon prawowitej władczyni.

Alayne była zakłopotana i speszona, bowiem po raz pierwszy w życiu siedziała nieco wyżej od królowej Eleonory. Zawahała się chwilę, lecz królowa z uśmiechem skinęła głową.

- Taki jest zwyczaj, moja droga - powiedziała. - Rządź mądrze i pamiętaj, że dziś wszyscy musimy spełniać twoje rozkazy.

- Chyba nie jestem godna aż takiego zaszczytu, najjaśniejsza pani - odparła Alayne.

Rozejrzała się. Po jednej stronie widniały namioty i sztandary rycerzy, którzy brali udział w turnieju. Giermkowie pracowali przez całą noc, żeby przygotować wszystko dla swoich panów. Każdy chciał, aby jego rycerz wypadł jak najlepiej, nosił najbardziej błyszczącą zbroję i dosiadał najpiękniejszego rumaka.

- Posłuchaj, Alayne - odezwała się królowa - zaraz się zacznie.

Trębacze odegrali wspaniałą fanfarę, a herold z namaszczeniem odczytał nazwiska wszystkich rycerzy, którzy wpisali się na listę uczestników. Tłum wiwatował na cześć ulubieńców. Zakuci w zbroje jeźdźcy na bojowych rumakach, buchających kłębami pary w zimnym porannym powietrzu, przejechali przed główną trybuną przeznaczoną dla dworu. Każdy z nich stawał na chwilę, żeby się pokłonić Królowej Dnia i Eleonorze. Wów-

czas pochylał kopię na znak swego oddania i deklarował głośno gotowość do walki.

Nie jeden z nich nosił przyczepioną do zbroi szarfę lub rękawiczkę, ofiarowaną mu przez damę serca. Niektórzy z nadzieją patrzyli na Alayne, ale ona tylko się uśmiechała. Nikogo nie wyróżniła, choć serce jej zabiło szybciej, kiedy przed jej tronem stanął sir Ralf de Banewulf. Zauważyła, że na jego czarno-srebrnej zbroi nie było żadnych ozdób. Wyglądał poważniej niż zwykle. Próżno szukała śladu emocji na jego twarzy jak wykutej z kamienia.

- Chciałabym, żeby wygrał - szepnęła Marguerite. - Niestety, ma przeciwko sobie wielu znakomitych mężów, a słyszałam plotki, że od lat nie brał udziału w bitwie, o turnieju nie wspominając. Mówią, że nie przetrzyma nawet pierwszej rundy.

- Modłę się, żeby tylko nie odniósł rany - odparła Alayne i spostrzegła nagle, że ścisza własne dłonie. Dlaczego tak się martwiła o tego Anglika?

- Jeszcze was czymś zaskoczy - wtrąciła się królowa. Oczywiście błyszczały skrywanym podnieceniem. Udział angielskiego rycerza sprawił, że turniej stał się bardziej atrakcyjny.

- Co teraz? - zapytała Alayne i mocno zacisnęła pięści, żeby nikt przypadkiem nie zauważył, jak bardzo drżały jej ręce.

Królowa Eleonora wyjaśniła, że turnieje można rozgrywać w różny sposób. Czasem wszyscy rycerze spotykali się w polu, podobnie jak w bitwie, i walczyli z przypadkowo dobranym przeciwnikiem. Jeżeli ktoś

runął z konia, to mógł walczyć pieszo tak długo, jak tylko utrzymał się na nogach.

- Ten, kto wytrzymał do końca, mógł zachować zbroję - dodała królowa - ale przegrany tracił ją na rzecz zwycięzców.

- Mam nadzieję, że nikt dzisiaj nie poniesie bardziej dotkliwej straty. - Alayne westchnęła, lecz tak cicho, że usłyszeli ją tylko ci, którzy siedzieli najbliżej.

Wiedziała, że niejedynemu rycerz spadał z konia i więcej się nie podnosił. Ciężko rannych i umierających wierni giermkowie wynosili z pola. Nie chciała, aby coś takiego przytrafiło się sir Ralphowi. Zbroję można jeszcze odzyskać, ale życie?

Tego dnia rycerze mieli walczyć z sobą pojedynczo. Upadek z konia oznaczał przegraną i skreślenie z listy uczestników. Wielu poprzestawało na tym, zwłaszcza wtedy, gdy przy okazji udało im się załatwić prywatne porachunki. Zwycięzca mógł wrócić na pole walki i potykać się dalej, aż do końca turnieju. Zadaniem heroldów było ustawienie pierwszych par dnia. Właśnie ogłaszano kolejność pojedynków. Alayne wyciągnęła szyję, żeby lepiej słyszeć.

- Sir Renaldo de Bracey stanie w szranki z sir Jonquilem de Fontainebleau! - zawołał herold. - Lord Malmont spotka sir Henry'ego...

- Och... Biedny sir Jonquil - szepnęła Marguerite, lecz Alayne nie odpowiedziała, słuchając kolejnych nazwisk. Serce zabiło jej gwałtowniej, kiedy padła zapowiedź, że angielski rycerz walczący w imieniu barona de Froissarta będzie walczył z sir Williamem Renardem.

- Sir William dobrze radzi sobie z kopią? - zapytała cicho Alayne. Niemal mdliło ją ze zdenerwowania. Odetchnęła z ulgą, widząc, że Marguerite nieznacznie pokręciła głową. Do tej pory nie dbała o to, kto będzie zwycięzcą turnieju. Teraz całym sercem była po stronie sir Ralpa.

- De Banewulf z łatwością da sobie z nim radę - odpowiedziała Marguerite.

Alayne znów zaczęła swobodniej oddychać.

Rycerze kolejno wyjeżdżali w szranki. Pozostali cierpliwie czekali na swoją kolej. Pierwsza para starła się z niesłychaną furją, przy wtórze dudniących kopyt i sapaniu ciężkich rumaków. Dał się słyszeć trzask kopii trafiającej w tarczę. Tłum jęknął głucho, gdy jeden z rycerzy potoczył się po ziemi, wysadzony z siodła. Zaledwie kilka pojedynczych okrzyków zabrzmiało na cześć zwycięzcy.

- Och, biedny sir Jonquil! - ponownie zawołała Marguerite, zobaczywszy, że ulubieniec dworu padł już przy pierwszym starciu z Renaldem. - Chyba jest lepszym poetą niż jeźdźcem.

- Spodziewam się, że nie został ranny. - Alayne z niepokojem patrzyła na plac boju, bo sir Jonquil był miłym i układnym człowiekiem, który już dawno zaskarbił sobie jej sympatię. - Nie, już wstał. - Pokonany rycerz, wsparty na ramionach giermka i pazia, odszedł w stronę namiotów, serdecznie żegnany przez widzów. Lubili go, czego nie można było powiedzieć o zwycięzcy. - Wieczorem będzie potwornie obolały.

- Obawiam się, że jego próżność ucierpiała nie mniej

niż ciało. - Marguerite się roześmiała. Najwyraźniej cieszyła się turniejem. Inne damy też gorączkowo zagrzewały do boju swoich faworytów. - Odpadł na samym początku. To wstyd dla każdego.

- Moim zdaniem, w ogóle nie powinien startować.

- Zrobił to zapewne dla swojej bogdanki.

- Biedny sir Jonquil. Mam nadzieję, że nie dostanie bury za dzisiejszą porażkę.

- To ty nic nie wiesz? - Marguerite spojrzała na nią ze zdumieniem. - Sir Jonquil należy do twoich najwierniejszych wielbicieli. Wszystkie jego pieśni i wiersze są skierowane do ciebie. A kiedy patrzy z dala...

- Nie, nie - przerwała Alayne. Ciemny rumieniec zabarwił jej policzki. Na szczęście w tym momencie rozmowa się urwała, bo zabrzmiały trąby i herold wezwał następną parę.

Kolejna walka trwała trochę dłużej. Przeciwnicy połamali kopie, lecz żaden nie spadł z siodła. Rozstrzygnięcie zapadło dopiero przy drugim nawrocie. Jeden z rycerzy legł ciężko na ziemi. Nie podniósł się sam. Giermek z pomocą dwóch paziów wyniósł go z placu boju.

- Myślisz, że odniósł groźną ranę? - z niepokojem zapytała Alayne.

- Widziałam, że dostał w bok końcem włóczni - odpowiedziała Marguerite. - Zapewne tylko stracił oddech. Zbroja powinna go ochronić.

Wszyscy rycerze nosili kolczugę pod tuniką i niewielkie okragłe misiuirki, chroniące głowę.

Przeszło pięć rund czekała Alayne na walkę, którą chcia-

ła i jednocześnie bała się oglądać. Jeszcze kilku rycerzy wyniesiono z pola, lecz poszła wieść, że żaden z nich nie jest ciężko ranny. Alayne była trochę spokojniejsza. Aż wreszcie sir Ralph stanął w szrankach.

Wzięła głęboki oddech i znów zacisnęła spocone dłonie. W pierwszym odruchu zamierzała zamknąć oczy, ale nie mogła oderwać wzroku od Anglika. Przyciągał ją niczym magnes. Miał na sobie białą tunikę z wizerunkiem czarnego lwa na piersiach. Tarczę czarną, inkrustowaną srebrem. Na tarczy ten sam herb, co na piersiach, ale zwieńczony maleńkim rysunkiem niedźwiedzia.

- Dlaczego herb na tarczy jest odrobinę inny? - zaciekała się Alayne.

- Niedźwiedź to jego osobiste godło - odpowiedziała Marguerite i wychyliła się, żeby krzyknąć słowa otuchy do sir Ralpha. - Znak rycerza, który wykazał się wyjątkowym męstwem podczas bitwy. Niewielu może nosić coś takiego.

Alayne chciała jej przypomnieć, że sir Ralph wcale nie palił się do turnieju, lecz w tej samej chwili rycerze ruszyli do boju.

- Bóg z tobą, panie - szepnęła, kiedy przeciwnicy zbliżali się do siebie dudniącym galopem. Zgrzytnęły obie kopie, ale tylko jeden z walczących utrzymał się w siodle. Drugi upadł jak ścięty. Alayne westchnęła z ulgą, widząc, że zwycięzcą okazał się de Banewulf. Jego przeciwnik zdołał się pozbierać i z pomocą przyjaciół odszedł do namiotu.

- Wygląda na to, że sir Ralph jest zręczniejszy, niż się spodziewano - z triumfalnym uśmiechem powiedziała

Marguerite. - Świetnie, panie rycerzu! Wyśmienite starcie!

Kilka dam przyłączyło się do jej okrzyków, ale siedzący na trybunie dworzanie pospuszczali nosy na kwintę. Wyglądało na to, że de Froissart znalazł sobie godnego zastępcę. Sir Ralph z wolna stawał się bohaterem dnia - przynajmniej wśród niewiast.

Ale cóż to? Anglik zatoczył koniem i podjechał do siedziska Alayne. Zasalutował kopią i zawołał donośnym głosem:

- Wyzywam wszystkich, którzy chcieliby się ze mną zmierzyć! Będę walczył w imieniu barona de Froissarta, lady Alayne i mojej zmarłej żony, lady Berenice! Jeśli ktoś spadnie z konia, lecz nie zejdzie z pola, mogę się z nim dalej potykać pieszo!

Alayne z bijącym sercem spojrzała na królową.

- Może to uczynić? - zapytała. Nigdy dotąd nie słyszała takiego wyzwania. Zwykle zwycięzcy pierwszej rundy musieli stoczyć jeszcze ze dwie, trzy walki, zanim ogłoszono ostateczny koniec turnieju.

- To zależy od ciebie, wasza królewska mość - z uśmiechem odparła Eleonora. - Dzisiaj ty dzierżysz władzę. Jeśli się zgodzisz, to paru z nich na pewno zrezygnuje z ponownego starcia. Do walki przystąpią tylko ci, którzy przyjmą wyzwanie de Banewulfa. Pozostali zachowają honor, i, oczywiście, zbroje.

- Rozumiem - powiedziała Alayne.

Doszła do wniosku, że w ten sposób oszczędzi kilku uczestnikom niepotrzebnego bólu i kontuzji. Udowodnili,

że są odważni, bo przebrnęli przez pierwszą rundę. Teraz mogli bez wstydu odejść. Sir Ralph był doprawdy szlachetnym rycerzem, który wysoko cenił swoich przeciwników. Alayne z uśmiechem wstała z tronu i wyciągnęła przed siebie szarfę. De Banewulf pochylił kopię. Dziewczyna zawiązała szarfę tuż poniżej stęzionego grotu.

- Czynię cię moim czempionem - powiedziała. - Ten, kto chce wygrać turniej, wpiery musi pokonać angielskiego rycerza, Ralfa de Banewulfa!

- To dla mnie zaszczyt, pani - odparł, pozdrowił ją ruchem kopii i odjechał.

Alayne przycisnęła rękę do piersi. Sir Ralph zadbał o innych, ale jednocześnie sam narażał się na większe niebezpieczeństwo niż dotychczas. Teraz musiał walczyć z każdym po kolei, kto wyszedł mu naprzeciw. Po co się zgodziłam? - poniewczasie zadała sobie w duchu pytanie Alayne. Wiedziała jednak, że miał swoje powody, aby właśnie tak postąpić.

- Dumny i dzielny rycerz - z niekłamanym przejęciem zauważyła Marguerite. - Wątpliwe, żeby znalazł wielu przeciwników.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Wśród widzów zapanowało wyraźne podniecenie, bo turniej nagle przybrał całkiem nową formę. Przedtem rycerze potykali się jak równy z równym. Teraz do głosu doszły odmienne emocje. Anglik udowodnił, że urnie władać kopią, choć jak sam twierdził, od dawna nie walczył w turniejach. Na jego wyzwanie mogli odpowiedzieć tylko najdzielniejsi z francuskich rycerzy.

Minęło kilka minut, zanim po raz kolejny rozległy się fanfary i herold ogłosił, że dwaj zacni mężowie podjęli rękawicę rzuconą przez sir Ralpa. Byli to lord Malmont i sir Renaldo de Bracey. Lord Malmont miał spróbować sił jako pierwszy.

Po chwili obaj przeciwnicy ruszyli na siebie. Lord Malmont skruszył kopię na tarczy sir Ralpa, ale nie spadł z konia. Zatoczył szerokie koło, wziął nową kopię z rąk giermka i powrócił do walki. Tym razem miał mniej szczęścia. Wyszadzony z siodła, upadł ciężko na plecy i leżał, głośno dysząc, zanim się podźwignął.

- Walczymy dalej, panie? - zapytał sir Ralph, ale Malmont uniósł ręce i pokręcił głową.

- Nie. Pokonałeś mnie, mój przyjacielu. Oddaję ci zwycięstwo. .. - Urwał i z cichym westchnieniem zatoczył się i zleął na murawie. Giermek już nadbiegał, żeby go stamtąd zabrać.

- Twój rycerz dzielnie się spisuje. - Eleonora z błyskiem w oku nachyliła się do Alayne. - Chyba się pomyliłam. Jest dużo lepszy, niż wszyscy początkowo sądzili.

- Przecież powiedział tylko, że nie chce stawać do turnieju, najjaśniejsza pani - odparła Alayne, wiedziona potrzebą, żeby za wszelką cenę bronić honoru sir Ralpa. - Nie udawał niemocy.

- Słusznie, że stoisz za nim - oznajmiła królowa. Leciutki uśmiezek zawitał na jej ustach, lecz zaraz spoważniała. Ten turniej sprawiał jej więcej przyjemności niż zazwyczaj.

Znów upłynęło kilka minut i herold zawołał, że na plac

wjeżdża sir Renaldo de Bracey. Rycerze popatrzyli na siebie z daleka i nagle atmosfera stała się napięta. Inne walki toczono głównie dla rozrywki, z zacięciem, ale w duchu braterskiej rywalizacji. De Bracey z wyraźną niechęcią odnosił się do Anglika. Nie był lubiany na dworze, lecz wszyscy przyznawali, że umiał sobie radzić i z mieczem, i z kopią. Bez wątpienia był trudnym i groźnym przeciwnikiem.

- Teraz de Bracey... - Królowa wychyliła się w przód, by lepiej widzieć. - Zobaczymy, z jakiej gliny jest ulepiony Anglik.

Alayne wstrzymała oddech. Nie mogła nic powiedzieć, bo słowa nie przechodziły jej przez ściśnięte gardło. Boże, nie pozwól, aby sir Ralph przegrał! Nie wiedziała, czy bardziej modli się za niego, czy za siebie. Za nic w świecie nie chciała, żeby to de Bracey siedział tuż koło niej przez całą wieczerzę.

Wystartowali. Kopie zgrzytnęły o tarcze, lecz obaj pewnie tkwili na koniach. Po nawrocie znowu ruszyli na siebie. Widzowie zamarli. Znowu zgrzyt i kopia sir Ralpa pękła przy samym końcu. Rzucił złomek na ziemię i chwycił nową z rąk giermka. Trzeci nawrót. Tym razem de Bracey dostał silne pchnięcie w sam środek tarczy. Zachwiał się, ale zdołał utrzymać równowagę.

Wokoło panowała głucha cisza. Wszyscy czekali na dalszy ciąg walki. Rzadko się zdarzało, żeby przeciwnicy po trzech starciach nadal siedzieli na koniach. Odpoczywali chwilę, a potem de Bracey rzucił propozycję:

- Weźmy się raczej do mieczy, de Banewulf!
- Wedle życzenia, panie - odpowiedział sir Ralph.

Alayne odruchowo zatarła spocone dłonie. Co tam się działo? Instynktownie wiedziała, że obu przeciwników czeka groźniejsza próba niż walka na kopie. Byli sobie niechętni. Z postawy de Braceya przebijała wyraźna wrogość.

- Co się święci? - szepnęła do królowej. - Czuję coś niedobrego.

Eleonora ledwie mogła usiedzieć z podniecenia.

- Czeka nas prawdziwy pojedynek. To już sprawa honoru, nie tylko nagrody.

Alayne była niemal chora ze zdenerwowania. Nagle wszystko zupełnie się zmieniło. Drżała ze strachu, że angielski rycerz może zostać poważnie ranny albo nawet zginąć.

Sir Ralph podjechał do swojego giermka i zsiadł z konia. De Bracey zrobił to samo. Tłum wstrzymał oddech, gdy obaj przeciwnicy wrócili na środek placu. Nagle rozległy się okrzyki, po chwili podjęte przez setki innych gardeł. Widzowie zagrzewali swojego ulubieńca. Słysząc było wyraźnie, że tylko parę głosów skandowało bojowe zawołanie de Braceya.

Początkowo rycerze krążyli wokół siebie, szukając luki w obronie przeciwnika. Nagle de Bracey skoczył w stronę Ralpha i zadał mocny cios w jego tarczę. De Banewulf zachwiał się, ale błyskawicznie odzyskał równowagę i odpowiedział nie mniej potężnym cięciem. Teraz to de Bracey musiał się dobrze starać, żeby ustać na nogach. Znowu mierzyli się wzrokiem, a potem jednocześnie ruszyli do ataku, zasypując się gradem uderzeń.

- Dobry cios! Piękna obrona!

Okrzyki królowej w niczym nie umniejszały zdenerwowania Alayne. Była przerażona. Nigdy przedtem nie oglądała takiego widowiska.

- Boże, ratuj Anglika - szepnęła. - Nie pozwól mu umrzeć...

Nikt nie słyszał jej szeptu, ale ci co przypadkiem spojrzeli na nią, uśmiechali się ze zrozumieniem.

Cięcie, obrona, uderzenie i unik. De Bracey zdobył chwilową przewagę i zepchnął Ralpha do defensywy. Anglik zręcznie usunął się w bok i kolejny cios de Bracey'a ze świstem przeciął powietrze. De Bracey z furją ponowił atak. Sir Ralph jakby nagle stał się kimś zupełnie innym, wciąż czujnym, ale szybkim i pełnym energii. W porównaniu z nim de Bracey wydawał się niezgrabny i ociężały. Żaden z jego kolejnych ciosów nie sięgnął celu. W zamian otrzymał tak potężne uderzenie, że zatoczył się na chwiejnych nogach.

- Tak! - krzyknęła królowa. - Och, cudowny rycerz! Teraz go masz! Skorzystaj z tej przewagi... Bij, bij mocniej, panie! Nie pozwól mu uciec!

Twarz Alayne była biała jak kreda. Dziewczyna miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Przez chwilę myślała, że to sir Ralph przegra, że zostanie ranny. To było nawet gorsze niż wizja wieczoru spędzonego w niemiłym towarzystwie de Bracey'a.

- Niech cię diabli, panie! - zawołał de Bracey, kiedy Anglik przeszedł do gwałtownego ataku. Sir Ralph był niby dokuczliwy insekt, doskakiwał, ciął i natychmiast wracał, nigdy nie stawał dłużej w jednym miejscu, aby przyjąć na tarczę cios przeciwnika. - Stań i walcz jak mężczyzna!

De Bracey musiał się bronić. Wyraźnie tracił siły, uderzał coraz słabiej. Był cięższy od sir Ralpa i szybciej się zmęczył. Tymczasem Anglik ciągle wirował wokół niego w jakimś obłądnym tańcu, grożąc mieczem... De Bracey niczym ogłupiały wodził za nim wzrokiem.

Nagle nastąpił silniejszy cios i broń, wirując, z brzękiem wypadła z dłoni de Braceya. Chwilę później tarcza mu pękła na dwoje, rozszczepiona potężnym uderzeniem z góry. Oszołomiony i bezbronny, był całkowicie zdany na łaskę sir Ralpa.

- Już możesz przerwać walkę - szepnęła królowa do Alayne. - Ogłoś Anglika zwycięzcą.

Dziewczyna natychmiast zerwała się na równe nogi. Czujni trębacze pośpiesznie odegrali fanfarę, żeby zwrócić uwagę walczących i widzów. Alayne donośnym głosem oznajmiła koniec turnieju.

- Jako Królowa Dnia ogłaszam zwycięzcą sir Ralpa de Banewulfa! - zawołała. - Wszyscy dzielni rycerze, którzy dzisiaj stanęli w szranki, dostarczyli nam dobrej rozrywki i zadowolenia. Teraz czas na zabawę. Taka jest moja wola. Na dziś koniec walki.

Sir Ralph spojrział na nią, skłonił się i oddał należne honory Eleonorze. Alayne z uśmiechem wyciągnęła rękę, chcąc wręczyć mu nagrodę, kiedy głośny jęk tłumu ostrzegł ją, że jeszcze nie wszystko skończone. Sir Ralph odwrócił się szybko, jakby wiedziony szóstym zmysłem. Zobaczył, że de Bracey podniósł z ziemi szczątek ułamanej kopii i szykował się do ataku. Zanim jednak zdążył zamachnąć się wysoko, sir Ralph ciął go mieczem w ramię. Ostrze prze-

biło kolczugę i ugrzęzło w ciele. De Bracey wrzasnął z bólu i szybko odskoczył. Krew trysnęła na jego rękę. Królowa Eleonora wstała w całym majestacie.

- Renaldzie de Bracey! Niniejszym skazuję cię na wygnanie z dworu! Turniej dobiegł końca, a ty chciałeś podstępnie powalić przeciwnika! - zawołała. Jej piękne oczy ciskały błyskawice. - Pogwałciłeś rycerskie prawa i musisz ponieść karę. Odejdź stąd i niech cię więcej nie oglądam. Jeżeli wrócisz, to dasz głowę pod topór.

Tłum z zadowoleniem przyjął ten surowy wyrok. Na nieszczęsnego rycerza posypały się nadgryzione jabłka, patyki, kamienie i co tam kto miał pod ręką. Przyciskając do siebie zakrwawione ramię, chwiejnym krokiem, pod osłoną giermka, chyłkiem wyniósł się z placu boju.

- Wybacz, że na moment przejęłam twoją rolę - powiedziała królowa Eleonora do Alayne, zanim z powrotem zajęła swoje miejsce. - Dużo złęgo słyszałam o tym właśnie człowieku, a ty i tak nie miałaś prawa wyrzucić go z pałacu.

- Rada jestem, że to zrobiłaś, najjaśniejsza pani - odparła Alayne. Ciągle drżała na myśl o tym, co by się stało, gdyby sir Ralph w porę nie zdał sobie sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa. - Jeśli jest na tym świecie ktoś, komu nie ufam i kogo bardzo nie lubię, to bez wątpienia chodzi o Renalda de Bracey.

Królowa uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Nie będzie nam już sprawiał kłopotów - powiedziała.
- A teraz musisz wręczyć nagrodę zwycięzcy.
- Z największą przyjemnością. - Alayne wstała z tronu

i kiedy sir Ralph zbliżył się do podwyższenia, zbiegła ze schodów i podała mu złotą bransoletkę. - Prawdziwie dzisiaj wygrałeś, mój panie rycerzu. Nagroda jest twoja.

- Walczyłem za barona de Froissarta - przypomniał jej Ralph. Popatrzył na nią z nieprzeniknioną miną. - Dziękuję zatem w jego imieniu, lady Alayne.

Spojrzała mu w oczy i nagle posmutniała. Uleciała z niej cała radość. Czym sobie zasłużyłam na takie traktowanie? - pomyślała. Dlaczego on tak bardzo mnie nie lubi? Odniosła wrażenie, że wylano na nią kubeł zimnej wody. To było bardzo przykre...

- Tak... Oczywiście. Wiem o tym - powiedziała.

Wyprostowała się urażona i wręczyła mu bransoletkę. Nagle poczuła, że z tą samą zręcznością, którą przejawiał podczas walki, sir Ralph zamknął jej dłoń w swojej dłoni i pozornie bez najmniejszego wysiłku pociągnął ku sobie. Alayne znalazła się tak blisko, że niemal czuła bicie jego serca. Ich spojrzenia spotkały się na krótki moment. Sir Ralph zbliżył usta do ręki Alayne i delikatnym pocałunkiem musnął koniuszki jej palców.

- Mi... milordzie? - odezwała się szeptem, słyszalnym tylko dla niego.

- Moja nagroda - odpowiedział chyba nie głośniejszym głosem. - To wszystko, czego od ciebie żądam, słodka pani.

Puścił jej rękę. Alayne odruchowo przycisnęła dłoń do falującej piersi. Serce waliło jej jak oszalałe z nagłego podniecenia. Sir Ralph skłonił się głęboko i odszedł wśród okrzyków i wiwatów tłumu. Co to było? - zastanawiała się Alayne. Nie mogła się uspokoić. Nic już z tego nie

rozumiała. Sir Ralph na pozór jej nie lubił... Nie, to przecież niemożliwe. Przez chwilę wydawało jej się, że w jego oczach widzi coś na kształt pożądania.

Teraz był już daleko, obstąpiony przez giermków i paziów, którzy gratulowali mu zwycięstwa. Dookoła wciąż rozbrzmiewał głośny aplauz rozentuzjasmowanego tłumu. Kilku rycerzy, walczących w porannej rundzie, także wyszło ze swoich namiotów, aby przyłączyć się do ogólnej fety. Wyglądało na to, że szczerze cieszyli się z porażki de Bra-ceya. Dźwięki fanfar oznajmiły widzom, że za chwilę każdy będzie mógł najeść się do syta. I to za darmo! To wystarczyło, żeby skierować uwagę tłumu w inną stronę.

Woły już się piekły nad wielkim ogniskiem. Alayne poczuła smakowity *zapach* mięsiwa i przypomniała sobie, że jest bardzo głodna. Razem z resztą dworu przeszła do pałacu, gdzie czekała na nich wystawna uczta.

Ale co potem? - pomyślała. Sir Ralph wyzwiał wszystkich uczestników turnieju. Zwyciężył i w nagrodę wziął jedynie przelotny pocałunek. A co będzie, jeśli pewnego dnia zażąda więcej?



Rozdział czwarty

Zgodnie z tradycją, Alayne została wniesiona na salę w lektyce, wśród triumfalnych okrzyków zgromadzonych gości. Młodzi rycerze oczekiwali drobnych przywilejów. Przecież Królowa Dnia, gdyby tylko chciała, mogła nakazać jakiejś pannie usiąść na czas biesiady przy pięknym młodzieńcu. Mało tego, mogła mu zezwolić, żeby pocałował powabną towarzyszkę. W przeszłości nieraz się zdarzało, że inne królowe wykorzystywały jednodniową władzę do żartów lub drobnych złośliwości. Alayne zrezygnowała z tego. Powiedziała tylko, że najbardziej pragnie, aby wszyscy dobrze się bawili w jej obecności.

W porównaniu ze skąpanym w słońcu placem turniejowym wielka sala wydawała się ciemna i ponura. Było w niej chłodno mimo ognia buzującego w kominku. Nic więc dziwnego, że kielichy z winem żwawiej krążyły pośród biesiadników. Niektórym gościom już się kurzyło z głowy, zanim wniesiono pierwsze potrawy.

Alayne zasiadła u szczytu stołu na honorowym miejscu. Była zdumiona, kiedy obok niej usadowił się baron de Frois-

sart. Bezsukutecznie wypatrywała sir Ralpa. Przez cały czas była święcie przekonana, że to on zajmie krzesło po jej pracy. Tymczasem wcale nie przyszedł! Poczwała się rozczarowana. Po chwili jednak zobaczyła go w pewnym oddaleniu, między królową Eleonorą a Marguerite. Zaczzerwieniła się, ponieważ patrzył na nią z namysłem. Speszona Alayne przeniosła uwagę na de Froissarta.

- Jak widzę, wydobrzałeś panie przynajmniej na tyle, aby wziąć z nami udział w dzisiejszej wieczerzy - powiedziała. Nie zjawiał się na turnieju, przypuszczała więc, że wciąż leży w łóżku, złożony boleścią.

- Tak, czuję się znacznie lepiej, pani - odparł de Froissart. - Dziękuję. Moi przyjaciele troskliwie się mną zajęli, a i rana okazała się raczej powierzchowna. Żal tylko, że nie wziąłem udziału w dzisiejszym turnieju.

- Twój Czempion godnie cię zastąpił, panie.

- Owszem, sprawił się bardzo dzielnie. Widziałem, jak wspaniale walczył.

- Byłeś tam? Nie zauważyłam...

- Większość czasu spędziłem w namiocie sir Ralpa. Śledziłem jego pojedynek z de Braceyem.

- Och... - Dlaczego tak dziwnie na nią patrzył? W jego uśmiechu było coś takiego, że wzdrygnęła się mimo woli. Przypomniała sobie, że podczas ostatniej walki ani na chwilę nie spuszczała wzroku z sir Ralpa. Przez cały czas drżała o jego bezpieczeństwo, a bystry obserwator mógł bez trudu wszystko wyczytać z jej twarzy.

- Zatem wiesz, że Renaldo de Bracey został wygnany z dworu? - spytała.

Zaczerwieniona wlepiła wzrok w kielich z winem. De Froissart nie odpowiedział od razu na jej pytanie. Kiedy uniosła głowę, zobaczyła, że przypatrywał jej się ze zmarszczonymi brwiami.

- Rozkaz królowej nie załatwia sprawy, bowiem wyгнаła tylko syna. Baron de Bracey może nadal być gdzieś w pobliżu, w samym Poitiers. Koniecznie powinnaś uważać na Renalda, pani. Tacy jak on diabelnie nie lubią przegrywać.

- Nie musisz mnie ostrzegać przed tą rodziną, panie...
- zaczęła Alayne, lecz urwała, słysząc pierwsze takty słodkiej melodii.

- Jako zwycięzca powinieneś zatańczyć z Królową Dnia, mój panie.

- Wybacz, milady, ale obawiam się, że stan zdrowia jeszcze mi na to nie pozwala. Mój Czempion jednak mnie zastąpi. Tuszę, że w tańcu jest równie zręczny jak w bitwie. - De Froissart wstał i powiódł wzrokiem po stole. Sir Ralph właśnie roześmiał się, usłyszawszy coś od Marguerite. Baron skinął na niego.

- Podejdz tu, sir Ralpie. Chcę bowiem cię prosić, abyś nadal był moim tak dzielnym zastępcą, jakim byłeś dotychczas. Wyręczysz mnie w tańcu? Nie jest moją intencją uchybiać tradycji, ale dalibóg, klnę się, że nie mogę skakać.

Sir Ralph zawahał się, lecz wstał zaraz i podszedł do Alayne, której gwałtownie zabiło serce. Sir Ralph zatrzymał się przed nią i pochylił głowę w ukłonie. Był potężnym mężczyzną. Pod cienką tuniką przeżyły się wyraźne węzły twardych mięśni. Urodziwa twarz nie miała w sobie nic ze

zniewieściałości, czasami cechującej rysy innych dworzan. Nagle uśmiechnął się i spojrzenie szarych oczu poweselało. Alayne miała wrażenie, że padł na nią promień słońca. Przyjemny dreszcz przeszył jej całe ciało, aż po czubki palców.

- Uczynisz mi ten zaszczyt, pani? - zapytał sir Ralph.
- Skoro baron każe...

- Jesteś godnym zastępcą, sir - odparła Alayne. Udało jej się zachować pozory spokoju. - To dla mnie wielki honor móc z tobą zatańczyć.

Anglik wziął ją za rękę i poprowadził na środek sali. Chyba wyczuł drżenie jej dłoni, bo zerknął spod oka i powiedział z kojącym uśmiechem:

- Nie musisz się mnie obawiać. Błagam o wybaczenie, jeżeli kiedyś uraziłem cię zbyt szorstkim słowem. To nie był sąd nad tobą, lecz zwykłe ostrzeżenie.

- Niepotrzebnie przepraszasz, panie. Wiem, że mówiłeś prawdę. Póki baron de Bracey wciąż pozostaje w Poitiers, powinnam całkiem zrezygnować z wieczornych spacerów.

Skinał głową i już z poważną miną rozpoczął skomplikowany ceremoniał dworskiego tańca. Był to zestaw raczej powolnych ruchów, przeplatanych ciągłymi ukłonami i wybijaniem rytmu końcem stopy. Alayne z przyjemnością patrzyła na swojego partnera. Jak na tak potężnego męża, poruszał się z niezwykłą gracją. Wydawało się, że ciągle ćwiczył, aby być w jak najlepszej formie.

- Tańczysz tak, jak walczysz, panie - powiedziała Alayne, gdy muzyka przestała grać. Po chwili zabrzmiały nieco weselsze dźwięki i część biesiadników utworzyła

koło, biorąc udział w żywszej zabawie. - We wszystkim starasz się być najlepszy?

Nie usłyszała odpowiedzi, bo taneczny krąg rozbił się na pary i trafiła w ręce innego partnera.

Sir Ralph chwilę potem skorzystał z okazji, aby wrócić do stołu. Zatrzymał się, żeby zamienić dwa słowa z de Frois-sartem, a później zniknął. Alayne straciła go z oczu.

Chyba w ogóle wyszedł z sali, pomyślała z pewnym rozczarowaniem, bo miała nadzieję na kolejną rozmowę po skończonych tańcach. Nie mogła jednak opędzić się od adoratorów. Co i rusz wyrastał przed nią nowy partner. Niektórzy byli już lekko podchmieleni. Raz czy dwa usłyszała miłosne wyznania od młodzieńców, których widziała po raz pierwszy. Odmówiła stanowczo, choć z łagodnym uśmiechem.

Baron de Froissart wyszedł, zanim uczta dobiegła końca. Alayne musiała jednak wytrzymać dużo dłużej, bo w tym dniu jako królowa miała nie tylko przywileje, ale i pewne obowiązki. Zrobiło się już po północy, kiedy wreszcie pożegnała całe towarzystwo i udała się do swojej komnaty.

Przed wyjściem rozglądała się za Marguerite, lecz nigdzie jej nie mogła znaleźć. Zauważyła, że niewiele dam tak długo pozostało w wielkiej sali. Mroczny korytarz wydał jej się ciemniejszy niż zazwyczaj, kręty i ponury. Szła już całe wieki, a jeszcze nie dotarła do podnóża wieży. Wzdrygnęła się i odruchowo przyspieszyła kroku. Z tyłu wciąż słyszała głośne śmiechy i odgłosy zabawy, lecz w pobliżu nie było nikogo. Chociaż... Wbiła wzrok w ciemność poza jasnym kręgiem rzucanym przez pochodnię. Podświadomie czuła, że tam coś się czai.

Zerknęła za siebie.

- Kto tam?! - zawołała. - Kto tu jest?!

Odpowiedziała jej jedynie cisza. Alayne próbowała otrząsnąć się ze strachu. Głupia jesteś, pomyślała. Kto mógłby cię skrzywdzić w królewskim pałacu? Ale wyobrażnia ciągle płatała jej figle. Niemal biegiem dopadła krętych kamiennych schodów, wiodących na górę, do komnaty, którą dzieliła z Marguerite. Nagle jakiś cień zamajaczył tuż przed nią. Stała się jak wryta. Wyczuwając groźbę, próbowała uciec z powrotem do wielkiej sali, ale z tyłu też się ktoś zjawił. Zrozumiała, że jest w pułapce.

- Ratunku! - krzyknęła głośno. - Na pomoc!

W tej samej chwili poczuła mocne uderzenie w tył głowy i osunęła się w ręce stojącego przed nią człowieka.

- Pomódl się lepiej, żebyś jej nie zabił - burknął chrapliwy głos, lecz Alayne już tego nie słyszała. - Nasz pan nie będzie zadowolony z trupa.

- Przecież musiałem jakoś ją uciszyć - bronił się drugi.
- Nie zamierzam za niego wisieć.

Sir Ralph przystanął, żeby nacieszyć zmysły urokiem cichej nocy. Głęboko wciągnął w nozdrza zapach nocnych kwiatów. Pachniały pięknie, ale to było nic w porównaniu z upojnym tańcem i rozkosznym ciepłem bijącym od ciała lady Alayne. Tylko przez chwilę trzymał ją w ramionach, lecz pragnął, żeby trwało to jak najdłużej. Bezsensowne marzenia, uznał. Niestety, nie potrafił nad nimi zapanować.

Wyszedł, kiedy Alayne wpadła w wir zabawy i zniknęła w roztańczonej ciżbie. Jego zadanie zostało wypełnione.

Przynajmniej na razie. Zawsze lubił wieczorem przejść się po ogrodzie i spokojnie przemyśleć ostatnie wydarzenia. Teraz jednak nie miał co marzyć o spokoju. Ciągłe widział przed sobą piękną twarz Alayne... Budziła w nim uczucia, o których już od dawna starał się zapomnieć.

Ani trochę nie przypominała jego zmarłej żony, a mimo to przywoływała szczególne wspomnienia roześmianej dziewczyny, szukającej w życiu silnego mężczyzny, a jednak za słabej, by urodzić dziecko, za słabej, by pogodzić się z utratą miłości.

- Boże, przebacz! - szepnął do siebie Ralph. Był głupcem, że tyle lat zadrezczał się w ten sposób.

Stłumiony krzyk wyrwał go z zamyślenia. Kobieta wołała o pomoc. Głos dochodził gdzieś z tyłu, chyba od strony wieży, w której mieszkała część dam dworu. A może to był tylko element jakiejś zabawy? Może spłonione dziewczę na pozór uciekało przed adoratorem? Ralph zawahał się, nie wiedząc, co począć. Nagle dostrzegł dwóch ludzi wychodzących z wieży. Nieśli tobół owinięty w koce. Musiał być dosyć ciężki, bo szli raczej wolno. Wolno... i jakby chyłkiem. Ralph wziął głębszy oddech. To była kobieta! Próbowali ją porwać!

Ogarnięty wściekłością, rzucił się w ich stronę. Dzieziniac był pusty, nawet w ciągu dnia rzadko uczęszczany. Gdyby Ralph nie wyszedł na samotną przechadzkę, łotrzykowie przekradliby się do sąsiedniego parku, a stamtąd do lasu. Zbrodnia wyszłaby na jaw zapewne dopiero jutro, czyli za późno.

- Stać! Ani kroku dalej, łotry! - ryknął Ralph niczym

lew broniący swego terytorium. Porywacze stanęli jak wryci. Rycerz podszedł do nich z wyciągniętym mieczem.

- Połóżcie to ostrożnie. Ostrożnie, powiadam! - huknął groźnie. - Jak mnie nie posłuchacie, posiekam was jak prosięta! Róbcie zaraz, co mówię!

Przez chwilę gapili się na niego jak na widmo. Wreszcie jeden, który był w tłumie widzów oglądających turniej, zarzął i jęknął z wyraźnym przestraszaniem:

- Widziałem go dzisiaj... Tam, na placu boju... - Wybałuszył oczy i trząsł się jak osika. - Chodź, Petre. Zabierajmy się stąd. Nie spieszno mi do grobu. - Po tych słowach puścił swój koniec tobołu i zniknął w ciemnościach. Spod koca wysunęła się maleńka stópka w kobiecym pantofelku.

Drugi złoczyńca wciąż ścisnął koc w rękach, jakby nie wiedział, co zrobić, chociaż było jasne, że przecież nie ucieknie sam z łupem. Mniej tchórzliwy niż kompan, uniósł głowę i nerwowo spojrzął na Ralpa.

- To nie mój pomysł - powiedział przestraszony. - Nie uderzyłem jej. To Jean... On wszystko zaplanował na rozkaz. .. tamtego. Przyszedłem tutaj, bo powiedział, że mu potrzebna pomoc i że dobrze zapłaci. Puść mnie, milordzie, a odpowiem na każde pytanie. Niczego nie będę ukrywał.

- Połóż ją delikatnie - rozkazał Ralph. - Zdejmij kocy. Tylko się pospiesz, bo zaraz posmakujesz stali. - Lady Alayne leżała nieruchomo, z zamkniętymi oczami. W przyćmionym świetle gwiazd wydawała się blada jak upiór. - Zginiesz, jeżeli ją zabięś!

Musiał wyteńczyć całą siłę woli, żeby nie spełnić zaraz swojej groźby.

- Nie uderzyłem jej - skomlał łotrzyk. - Przysięgam na grób mojej matki. To Jean. Panienka na pewno żyje, milordzie. - Jakby na potwierdzenie jego ostatnich słów cichy jęk wyrwał się z ust Alayne. - Łaski, panie, a powiem wszystko, co mi wiadomo o tej sprawie.

- Nie oszukasz mnie swoją gadaniną! Nie miałeś dla niej litości, kiedy zgodziłeś się wziąć udział w zbrodni. Mów, kto wam zapłacił, a może uratujesz głowę.

Tamten rzucił się na kolana. Dygotał *cały*, zdając sobie sprawę, że niewiele dzieli go od śmierci. Ralph w gniewie wyglądał złowieszczo.

- Błagam o przebaczenie, panie! Nigdy nie chciałem jej skrzywdzić! Mam chorą żonę i potrzebuję pieniędzy na zioła... Baron de Bracey obiecał nam okragłą sumkę... Zarzekał się, że panienka nie zazna nic złego i że poślubi ją z wszelkimi honorami...

- Dość! - Ralph machnął mieczem na znak, że łotr może odejść. Mógłby go przebić, ale wzdragał się przed niepotrzebnym mordem. Poza tym znał już nazwisko właściwego sprawcy. Alayne poruszyła się i jej powinien poświęcić całą uwagę. - Wstawaj, parszywy draniu. Uciekaj. Ale pamiętaj, jeśli jeszcze kiedyś pojawisz się w tej okolicy lub w pobliżu lady Alayne, to znajdę cię i zabiję. Nigdzie się przede mną nie ukryjesz. Choćbyś się zaszył w mysia dziurę, to i tak cię wytropię.

- Niech ci Bóg wynagrodzi, panie, twą szlachetność! Przysięgam, że już nigdy w życiu nikogo nie skrzywdzę!

- Wynoś się.

Łotrzyk poderwał się z ziemi i uciekł co sił w nogach.

Ralph patrzył przez chwilę w ciemność, by się upewnić, że nikt tam się nie czai, by ponowić atak, a potem schował miecz i klęknął obok Alayne. Ostrożnie wziął ją w ramiona. Drgnęła lekko i otworzyła oczy.

- Nie dotykaj mnie! - jęknęła, usiłując się wyrwać. Ralph pogładził ją po zimnej twarzy. - Co się stało? Gdzie jestem?

- Nie obawiaj się, słodka pani. Otrzymałaś cios w głowę, na pewno bolesny, ale chyba nie jesteś ranna. Próbowano cię porwać i pewnie tak by się stało, gdybym przypadkiem nie usłyszał twójego krzyku. Dobrze, że byłem w pobliżu, aby cię uchronić przed gorszą niedolą.

Alayne popatrzyła na niego półprzytomnym wzrokiem, ale widać było, że powoli wracają jej zmysły. Już się nie bała. Ralph pomógł jej podnieść się z ziemi i podtrzymał ją, bo wciąż miała kłopoty z zachowaniem równowagi. Uczyła się go z całej siły i przez chwilę stała nieruchomo, czekając, aż minie pierwszy zawrót głowy. Ralph przesunął ręką po jej włosach. Szukał stłuczenia. Alayne miała ochotę wtulić się w jego ramiona i rozplakać jak małe dziecko. Z trudem powstrzymywała łzy.

- Nabili ci sporego guza - powiedział Ralph i z uśmiechem spojrzał na jej zrozpaczoną minę. - Na pewno będzie cię bolało, ale nic poza tym.

- To tylko twoja w tym zasługa, panie - odparła. Skrzywiła się, bo znów zakreśliło się jej w głowie. Przeklęta słabość! Ostatkiem sił walczyła z łzami. Ostrożnie dała pierwszy krok i zatoczyła się jak pijana. Niewiele brakowało, żeby upadła. Na szczęście Ralph chwycił ją w samą porę i podparł silnym ramieniem.

- Pewnie myślisz, że przesadzam, ale obawiam się, że sama nie dojdę do komnaty.

- Wcale nie musisz chodzić, pani. Za twoim pozwoleniem, z chęcią cię tam zaniosę.

- Prawdę mówiąc, muszę się na to zgodzić - powiedziała Alayne i zamknęła oczy. - Czuję się dziwnie...

Westchnęła głęboko, kiedy Ralph wziął ją na ręce i jak najostrożniej wniósł po kamiennych schodach na piętro wieży. Pochodnie już dogasały, dając o tej porze więcej dymu niż światła.

- Było już bardzo późno, zanim zdołałam wymknąć się z biesiady. W korytarzu poczułam, że ktoś za mną idzie... A potem... - Z cichym szlochem przytuliła twarz do jego szerokiej piersi. - Kto mógł to zrobić?

Wzruszony Ralph nieco mocniej przycisnął ją do siebie. Słyszał strach i rozpacz w jej głosie, doszedł więc do wniosku, że już nie pierwszy raz doświadczyła krzywdy. Nosiała w głębi serca mroczny sekret, co upodabniało ją do Berenice. Chociaż zupełnie różne, cierpiały tak samo.

- Nie wiem tego na pewno - odparł. Dochodzili już do szczytu schodów. - Podejrzewam, że ktoś chciał cię porwać, pani, i zmusić do małżeństwa.

- Baron de Bracey albo jego synalek - odparła z cichym jękiem. Drżała jak osika i to napawało Ralpha jeszcze większą złością na tych, którzy ją skrzywdzili. - Wolałabym umrzeć. Nigdy nie wyjdę za człowieka, którego bym nie kochała. Nigdy więcej nie zniosę takiego poniżenia...

Smutek w jej głosie był najlepszym dowodem na to, jak wiele wycierpiała z rąk pierwszego męża. Bezskutecznie

szukał słów pocieszenia. Zanim zdążył coś powiedzieć, dotarli do drzwi komnaty. Ledwie Ralph zapukał, a już w progu ukazała się zdenerwowana pokojówka.

- Milady! - zawołała. - Właśnie miałam cię szukać! Bałyśmy się, że zaszło coś złego.

- Ktoś napadł na twoją panią - odparł Ralph. - Pokaż mi, gdzie zwykle sypia, bo chciałbym ją położyć. Bądź jednak przy mnie, żeby nie padł na nas nawet najmniejszy cień podejrzenia.

- Och, biedna panienka! Co za niegodziwość! - zawodziła służąca, wpuszczając ich do środka. - Niech Bóg cię błogosławi, panie, że tutaj przybyłeś.

Ralph złożył swoje brzemię na miękkiej pościeli. Uśmiechnął się do Alayne.

- Już jesteś bezpieczna - powiedział i odwrócił się do pokojówki. - Nie mów o tym nikomu.

- Przysięgam!

- Sir Ralph! - Marguerite wyszła z garderoby, odziana tylko w nocną koszulę, uszytą wprawdzie z grubego materiału, lecz mimo wszystko odsłaniającą jej kobiece wdzięki. Zaczerwieniła się ze wstydu. Ralph natychmiast odwrócił się do niej tyłem.

- Wybacz mi, pani. Nie wiedziałem, że cię tu zastanę.

Marguerite szybko narzuciła szlafrok i poczuła się znacznie pewniej.

- Już się ubrałam, panie. - Podeszła do łóżka, na którym z zamkniętymi oczami spoczywała Alayne. - Co jej się stało?

- Napadło ją dwóch rzezimieszków. Próbowali ją po-

rwać - odparł Ralph. - Jeden z nich zadał jej mocny cios w głowę. To nic strasznego, ale do rana może być osłabiona. Byłoby dobrze, gdyby pokojówka czuwała przy niej dzisiejszej nocy.

- Przynieś wodę, Bethel - rozkazała Marguerite. - Trzeba obmyć miejsce uderzenia i przyłożyć zimny okład. Będziemy czuwać przy niej na zmianę. Jestem ci szczerze wdzięczna, panie, za to, co zrobiłaś. Możesz być pewny, że zajmiemy się nią jak najlepiej.

- Szczęśliwy traf zrządził, że akurat byłem w pobliżu - powiedział poważnym tonem. Oczy pociemniały mu niczym noc, przetykana światłem błyskawic. Nieruchoma twarz stężała w masce z trudem powstrzymanego gniewu. - Nie rozpowiadajcie o tym przynajmniej do czasu, aż sam nie pomówię z królową Eleonorą. Chyba znam tego, kto zlecił porwanie lady Alayne, ale oczywiście nie mam żadnych dowodów. Jutro poproszę o posłuchanie u jej królewskiej mości. Zapytam, co można zrobić, aby lady Alayne poczuła się całkiem bezpieczna. - Ralph mówił spokojnie i tylko pulsujące żyły na skroni świadczyły o jego wzburzeniu. Na Boga, ktoś własną krwią zapłaci za tę zdradę!

- Nie wiem, kto mógłby być do tego zdolny - odpowiedziała Marguerite. - Jeszcze raz ci dziękuję, panie, za to co uczyniłaś dzisiejszej nocy.

- To mój przywilej i obowiązek - odparł z głębokim ukłonem. - Pójdę już, aby przypadkiem nie wystawić na szwank waszej reputacji. Ty także bądź ostrożna, pani. Nigdzie nie wychodź sama, dopóki zło nie zostanie wyrwane z korzeniami.

- Nigdy nie chadzam sama po ogrodach - rzekła Marguerite. - Słyszałam, że Alayne miała taki zwyczaj. W ogóle nie lubię wychodzić po ciemku. Powiadają, że można natknąć się na upiora.

- Ten napad zdarzył się w pałacu.

- W pałacu? - Marguerite zbladła jak kreda. - Boże Przenajświętszy! To już nigdzie nie można czuć się bezpiecznie?

- Uwierz mi, pani, że nie spocznę, póki ten potwór nie otrzyma należnej mu kary. A teraz dobranoc.

Wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi. Alayne jęknęła słabo. Słyszała całą rozmowę, ale za bardzo źle się czuła, aby dodać choć słowo. Dopiero teraz otworzyła oczy. Marguerite pochyliła się nad przyjaciółką.

- Pozwolisz, że ci przemyję ranę?

- Tylko delikatnie - szepnęła Alayne. Łza spłynęła jej z kącika oka. Dopóki sir Ralph stał w pobliżu, starała się być bardzo dzielna, ale teraz niemoc wzięła nad nią górę.

- To okropnie boli.

- Najpierw ci umyję, a potem zrobię napar, który pozwoli ci szybciej zasnąć - obiecała Marguerite. - Sir Ralph dokonał dzisiaj naprawdę wielkich czynów. Powinnyśmy być mu bardzo wdzięczne. - Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach na myśl, ilu nieszczęść doznałaby Alayne, gdyby próba porwania się udała.

- Gdyby nie sir Ralph, pewnie byłabym już martwa. - Alayne westchnęła. - Zabiłabym się. Lepsza śmierć niż małżeństwo z baronem de Braceyem! Nie mówiąc już o jego synu...

- Myślisz, że to któryś z nich zaplanował porwanie? - Marguerite przeżegnała się ze strachem. - Są aż tak źli? Owszem, nie lubię ich, ale porwanie? Trudno to sobie wyobrazić. A tobie zabraniam mówić o samobójstwie. To grzech śmiertelny.

- Wolę zawczasu umrzeć, niż poślubić człowieka, którego nienawidzę.

- W to akurat mogę uwierzyć. - Marguerite wzdrygnęła się mimo woli. - Sama jestem chyba za dużym tchórzem. Nie zdołałabym tego zrobić. - Uśmiechnęła się i skończyła przemywać ranę. - Skóra została tylko drażnięta - powiedziała. - Prawie nie było krwi. Sir Ralph miał rację. Teraz powinnaś się przespać, a do jutra wszystko będzie dobrze.

Alayne przytaknęła, jednak kiedy już wypita uspokajający napar i ułożyła się wygodniej do snu, pomyślała, że największa wdzięczność należy się sir Ralphowi. To dzięki niemu mogła tę noc spędzić we własnym łóżku. Nie wiadomo, co by się stało, gdyby trafiła do zamku de Braceyów. Lepsza śmierć od takiej niewoli... - Westchnęła, zamknęła oczy i zasnęła.

Pierwszy raz od dłuższego czasu spokojnie przespała noc i część poranka. W dużej mierze pomógł jej w tym wywar sporządzony przez Marguerite. Mimo to rano wciąż czuła się zmęczona, obolała; była też wystraszona. Dopiero teraz w pełni uświadomiła sobie, że niemal cudem uniknęła straszliwego losu. Gdyby nie sir Ralph, znalazłaby się w mocy bezwzględnych i okrutnych ludzi.

Gdzie miała się przed nimi schować? Marguerite na-

wet nie musiała jej długo przekonywać, żeby przez pewien czas pozostała w komnacie. Póki co, Alayne bała się wychodzić.

Pod koniec dnia Alayne *poczuła się już na tyle dobrze*, że przemogła strach i zeszła na dół, do wielkiej sali.

- Chyba nie powinnaś jeszcze wstawać z łóżka - łagodnie upomniwała ją królowa Eleonora. - Już słyszałam, co ci się przydarzyło. Na dziś zwalniam cię od obowiązków.

- Nie chcę być więźniem we własnej komnacie - odpowiedziała Alayne. - Nie będę kryć się przed całym dworem, najjaśniejsza pani. Nie zrobiłam nic złego.

Mówiła suchym, niemal ostrym tonem, żeby ukryć wewnętrzną rozterkę. Nie zamierzała dać najmniejszej satysfakcji tym, którzy ukradkiem cieszyli się z jej nieszczęścia.

- Poza tym wciąż mam dług wdzięczności wobec sir Ralpha. Nie podziękowałam mu w odpowiedni sposób za wszystko, co dla mnie uczynił.

- Sir Ralpha nie ma - odparła królowa. - Musiał wyjechać w pewnej sprawie. Przypuszczamy, że niedługo wróci.

Alayne z trudem stłumiła jęk rozczarowania. Nie sądziła, że angielski rycerz opuści ją w takiej chwili. Udawała jednak, że *wszystko w porządku*. I tak przecież zrobił dla *niej więcej* niż powinien. Jednak schodząc na dół, była przekonana, że zobaczy jego barczystą postać w tłumie dworzan.

- W takim razie zaczekam - powiedziała.

- Oby nie za długo - mruknęła królowa, uśmiechając się do siebie. Zastanawiała się, jak pomóc ulubionej dworcy, i wreszcie była blisko zadowalającego rozwiązania.

- Pamiętaj, że czasami trudno nam zrozumieć humory mężczyzn, Alayne - dodała po chwili milczenia. - Jednego dnia są mili, drugiego ponurzy, a trzeciego znów warczą jak rozzłoszczony pies. Któż to może z całą pewnością powiedzieć, czy sir Ralph w ogóle zjawi się ponownie w Poitiers?

Alayne zrobiło się bardzo przykro. Nie widziała uśmiechu królowej, nawet więc nie podejrzewała, że stała się obiektem niewinnych żartów Eleonory. Jak to? - zapytywała w myślach. Sir Ralph więcej się nie pokaże? Zadała sobie w duchu pytanie, co powinna uczynić, żeby go jeszcze chociaż raz zobaczyć.

- Świetnie się spisałeś, mój panie rycerzu - powiedziała królowa do sir Ralpha, kiedy po powrocie na dwór w Poitiers poprosił ją o posłuchanie. - Teraz z całą pewnością wiemy, że to de Bracey zaplanował porwanie Alayne po tym, jak jego syn okrył się hańbą na turnieju. Obaj uciekli do swojego zamku. Mogłabym tam wysłać oddział moich żołnierzy, ale to tylko strata czasu. Niech na razie siedzą jak szczury w pułapce. Nadejdzie pora, że któryś z nich wysunie stamtąd głowę, a wtedy go złapiemy i stanie przed sądem.

- Zamek jest wyjątkowo mocny - przytaknął de Banewulf. - Można go zdobyć tylko po długim oblężeniu. To byłoby czasochłonne i kosztowne. Podejrzewam, że de Braceyowie nie ruszą się stamtąd przez kilka miesięcy. Jednak są jeszcze inni, którzy nadal chcą krzywdy lady Alayne.

- Słyszałeś coś o tym?

- Nie, wasza królewska mość - odparł Ralph. - Tego nie mogę powiedzieć, ale dopóki dama nie znajdzie sobie męża, wciąż będzie narażona na różne ataki. Jest zamożna i piękna i niektórych będzie trudno powstrzymać. Nie lepiej wydać ją za mąż?

- Chcesz, panie, abym została twoją swatką? - Królowa bacznie patrzyła na rycerza, ale nie dostrzegła nawet najmniejszych śladów zmieszania na jego posępnej twarzy. Podejrzewała jednak, że potrafił dobrze maskować uczucia.

- Jestem jej niewart - padła odpowiedź. - Miałem na myśli raczej barona de Froissarta. Wiem, że wysoko ceni lady Alayne i że chętnie ją poślubi, gdy zyska jej zgodę.

- Naprawdę? - Eleonora uniosła brwi ze zdziwienia. - Prosił cię, abyś w tej sprawie przemawiał w jego imieniu? Sądziłam, że sam umie zadbać o swoje sprawy.

- Nie uzurpuję sobie roli wysłannika de Froissarta - szybko wyjaśnił Ralph. Może trochę za szybko, pomyślała władczyni. Właśnie tym się zdradził.

- Uważam, że to rycerz pełen czci i wiary. Nie chciałbym, aby lady Alayne wyszła za łotrzyka.

Królowa przyglądała mu się z rozbawieniem. W sercowych sprawach myliła się niezmiernie rzadko, a tym razem niemal instynktownie wiedziała, że ma rację. Wystarczyła zatem niewielka pomoc z jej strony, aby sprawy przybrały pomyślny obrót.

Wstała powoli, majestatycznym ruchem, i z powagą spojrzała na rycerza. Na jej ustach pojawił się wąty uśmiech.

- Niech zatem tak będzie. Wysłuchałam już twoich racji, sir Ralphie, a teraz ty posłuchaj, co chcę ci powiedzieć...

- Mam wyjechać do Anglii z tobą i twoim ojcem? - Alayne z zaskoczeniem spojrzała na przyjaciółkę. - Królowa ci to powiedziała, nawet nie pytając mnie o zgodę? Jak to możliwe? Obiecała mi, że mogę zostać na dworze tak długo, jak tylko zechcę.

- Jej królewska mość bardzo się przejęła ostatnim napadem - wyjaśniła Marguerite. - Sir Ralph zapewni nam bezpieczną eskortę. Jeśli do tego dodać jeszcze zbrojnych mojego ojca, naprawdę nie musimy niczego się obawiać. Na kilka tygodni zatrzymamy się w domu sir Ralpha, a potem pojedziemy na dwór do Londynu. Tam spotkam się z kuzynostwem i będę mogła spokojnie powrócić do domu.

- Och... - Serce zabiło żywiej w piersi Alayne. Miała zamieszkać u sir Ralpha? Niepewnie popatrzyła na przyjaciółkę. Co to wszystko znaczy? Może to jakaś część umowy pomiędzy Anglikiem a rodziną Marguerite? - A... a później? Co ze mną będzie, jak już wyjdiesz za mąż?

- To wcale nie takie pewne - odparła spłoniona Marguerite. - Owszem, mój ojciec ma pewne nadzieje, ale wszyscy wiemy, że ty jesteś dużo bliższa sercu sir Ralpha. Zresztą on nie chce się żenić...

- Bo wciąż myśli o zmarłej żonie. Nadal ją kocha. - Alayne pokiwała głową. Z początku uważała wierność de Banewulfa za coś pięknego i romantycznego, ale teraz zrobiło jej się smutno. - Myślisz, że już do końca życia zostanie samotny?

- Słyszałam, że na ogół trzyma się na uboczu, pracuje więcej od innych i wie dzie życie mnicha - odparła Marguerite. - Chciałabym, żeby mnie też ktoś tak pokochał... To musi być wspaniałe, nie sądzisz, Alayne? Miłość aż do śmierci, a może i dłużej.

Alayne roześmiała się, widząc rozmarzone spojrzenie przyjaciółki.

- Takie uczucie znajdziesz tylko w pieśniach trubadurów - powiedziała. - Przyznaję, że czasem są przyjemne chwile: wyrazy uczucia albo drobne prezenty, zdawkowy pocałunek...

- Całowałaś się z kimś? - Marguerite nie kryła zdumienia. - Myślałam, że to cię w ogóle nie obchodzi.

- Znałam kiedyś młodego pazia, który służył u mojego ojca. Miałam wtedy dwanaście lat - odparła Alayne i wybuchnęła śmiechem. - To on raz mnie pocałował. Nie przeczę, że było to przyjemne. - Cięń smutku przemknął po jej twarzy. - Ojciec go odprawił. Trochę za nim tęskniłam, ale potem poznałam prawdziwą naturę mężczyzn i szybko zapomniałam. - Wzdrygnęła się i na chwilę zamknęła oczy.

- Wiem, że masz przykre doświadczenia, ale nie możesz porównywać wszystkich do swojego męża. Sir Ralph to przecież dobry i szlachetny rycerz. Baron de Froissart też jest człowiekiem honoru.

- Tak, na swój sposób obaj są wspaniali - przyznała Alayne.

Odwróciła się, nie chcąc, żeby Marguerite spostrzegła, co się z nią dzieje. Biła się z myślami. Z jednej strony nadal wzdragała się przed małżeństwem, z drugiej jed-

nak tęskniła za sir Ralphem. Nie widziała go już od pięciu dni. Owszem, przysłał służącego z bukietem kwiatów i życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia, ale sam zjawił się dopiero dużo później. A teraz, po krótkiej naradzie z królową, miał ją zabrać do Anglii i przyjąć we własnym domu. Alayne ogarnęły mieszane uczucia, lecz nie mogła sprzeciwić się Eleonorze. Na pewien czas musiała wyjechać z Poitiers.

Dobrze przynajmniej, że nie będę sama, pomyślała. Cieszyła się z towarzystwa Marguerite i jej ojca, bo prawdę mówiąc, trochę bała się przyszłości. Co ją czekało w domu rycerza, którego przecież prawie nie знаła? Człowieka, który na zawsze zmienił jej życie?

Alayne i Marguerite jechały na swoich kłaczach. Wolały to od monotonnej podróży ciężkim wozem, w towarzystwie któregoś ze służących. Po niezliczonych przejażdżkach i konnych polowaniach, które były ulubioną rozrywką dworu w Poitiers, trzymały się w siodle nie gorzej od mężczyzn. Podróż, chociaż męcząca, minęła bez przygód. Najgorsza okazała się przeprawa przez morze.

- Myślałam, że zginiemy - wyjawiała Marguerite, kiedy wylądowali w Dover. - Dopóki żyję, więcej nie postawię nogi na pokładzie żadnego statku.

Alayne uśmiechnęła się do niej ze współczuciem. Marguerite o wiele gorzej od niej znosiła kołysanie. Alayne większość rejsu spędziła na pokładzie, ciesząc się mokrą bryzą i posmakiem morskiej przygody. Wody były wzburzone. Wysokie fale przelewały się przed dziobem statku,

gnane porywistym wiatrem. Alayne patrzyła na to z zachwytem. Pewnie zostałyby dłużej, gdyby sir Ralph nie zapędził jej pod pokład.

- Wygląda na to, że będzie szkwał - zauważył. - Wołałbym, żebyś dla własnego bezpieczeństwa zeszła na dół, pani.

- Chętnie zostanę tutaj, panie - odparła. - Nie lękam się burzy.

- Ale ja boję się o ciebie - rzekł i dodał nieznośnym sprzeciwu tonem: - Chcę, żebyś została pod pokładem, dopóki morze się nie uspokoi.

Alayne posłuchała go bez słowa. Nie wiedziała, dlaczego się na nią gniewał. Skąd ten chłód i marsowa mina? Wszak do niedawna tylko przy nim czuła się bezpieczna. Teraz odniosła wrażenie, że dzieli ich niewidzialna bariera. Dopiero widok chorej i przygnębionej Marguerite pozwolił jej zapomnieć o własnym smutku.

- Zaraz zejdziesz na ląd i na pewno poczujesz się znacznie lepiej - powiedziała. - Kto wie? Może już nie będziesz musiała wracać do Francji?

- Może... - zgodziła się apatycznie Marguerite niezbyt przekonana.

Alayne zerknęła ponad jej ramieniem na barczystą postać sir Ralpa. Poza krótkim epizodem na pokładzie widywali się raczej niewiele. Od czasu wyjazdu z Poitiers był bardzo zajęty. Wciąż miał coś do powiedzenia swoim ludziom, jechał na czele orszaku albo zamykał tyły lub krążył po najbliższej okolicy, jakby obawiał się napadu. W czasie postojów i noclegów - najczęściej w jakiejś przydrożnej

karczmie lub oberży - zachowywał się bardzo uprzejmie, lecz z rezerwą. Alayne odniosła niemiłe wrażenie, że trochę jej unikał. Dlaczego? Przecież nie uczyniła niczego, aby go obrazić. Wreszcie spytała o to Marguerite.

- Myślę, że po prostu jest bardzo zajęty. Wziął na siebie sporą odpowiedzialność - odrzekła przyjaciółka. - Wiezie ważne listy od królowej. Z tego co wiem, mamy się z nim rozstać zaraz po wjeździe do Anglii. Pojedziemy dalej pod zbrojną eskortą, a on ruszy na spotkanie z królem w White Tower w Londynie. Potem wróci do domu, a za kilka tygodni wszyscy udamy się na dwór, na obchody narodzin Chrystusa.

- Rozumiem - powiedziała Alayne.

Słowa Marguerite nie rozwiały jej obaw ani wątpliwości. Od czasu pamiętnej nocnej przygody uważała sir Ralpha za obrońcę i przyjaciela. Co sprawiło, że tak się zmienił? Musiały być jakieś przyczyny. Bezskutecznie głowiła się całymi dniami, żeby zrozumieć jego zachowanie.

Przed wyjazdem do króla Ralph postanowił pomówić z obiema dziewczętami.

- Wysłałem przodem posłańca, żeby uprzedził służbę o waszym przyjeździe. Wszystko będzie gotowe. Mój rządca już o to zadba - powiedział rzeczowym tonem. Po chwili jednak się uśmiechnął. - Czujcie się tam jak u siebie w domu. Wróćcie tak szybko, jak to możliwe. Mam nadzieję, że do tego czasu zdążycie już się urządzać.

- To bardzo miło z twojej strony, panie - odparła Marguerite. - Życzymy ci przyjemnej i bezpiecznej drogi do Londynu.

Alayne tylko z uśmiechem skinęła głową i odwróciła się, żeby odjechać za przyjaciółką. Ralph przytrzymał ją za rękę. Poczuła jego silne palce na swoim przedramieniu. Przeszył ją lekki dreszczyk emocji, uniosła głowę i spojrzała w jego chłodne i przenikliwe oczy. Ralph patrzył na nią z posępną miną, mocno zaciskając usta. Biły od niego wewnętrzna siła i nieugięta wola, które budziły strach nawet wtedy, gdy starał się być miły.

- Za pozwoleniem, pani.

Znowu się złościł? Alayne przyglądała mu się ze zmieszaniem. Owszem, sprawiał wrażenie, że się gniewa lub raczej, że targają nim sprzeczne emocje. Najwyraźniej toczył z sobą wewnętrzną walkę.

- Chciałeś mi coś powiedzieć, panie?

- Tak. - Zawahał się i na krótki moment w jego zimnych oczach rozblęły cieplejsze ogniki. Alayne odruchowo wstrzymała oddech. Mimo lęku, jaki w niej budził Ralph, czuła rosnącą fascynację. Rycerz tymczasem sięgnął do wiszącej u pasa skórzanej sakwy i wyjął stamtąd zwój pergaminu.

- Z polecenia królowej Eleonory miałem ci to przekazać, pani, kiedy tylko staniemy na brzegach Anglii. To dla mnie prawdziwy zaszczyt, że mogę spełnić jej prośbę.

Alayne była zaskoczona. Teraz już wyraźniej wyczuwała ukrytą złość w słowach sir Ralpha. Odebrała pismo z jego ręki i chciała natychmiast złamać pieczęć i przeczytać list od królowej, ale Ralph na to jej nie pozwolił.

- Nie! Zrób to dopiero wtedy, kiedy będziesz sama. Ta sprawa wymaga nie lada namysłu.

- Zatem znasz treść pisma, panie? - Popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Co to za nowa tajemnica? Dlaczego królowa miałaby z kimkolwiek rozmawiać o tym, co jest w liście?

- Najjaśniejsza pani podzieliła się ze mną swoimi myślami. Chcę jednak, abyś wiedziała, że decyzja należy wyłącznie do ciebie.

- Trochę mnie przestraszyłeś, panie. - Alayne mocniej ścisnęła pergamin w drżącej dłoni. Ralph przypatrywał się jej z niewzruszoną miną. Wciąż się boczył, lecz dziewczyna z wolna nabrała przekonania, że to nie ona była bezpośrednią przyczyną jego złości.

Czyżby z jakiegoś powodu pokłócił się z Eleonorą?

- Nie musisz się mnie obawiać, pani. Chcę być twoim obrońcą, i tak niech pozostanie. - Sztywno skinął głową. Alayne odniosła wrażenie, że jego zachowanie miało związek z treścią listu. - Wybacz, ale obowiązki wobec króla nie pozwalają mi tu zostać dłużej. Dołącz zatem do swoich przyjaciół i niczym się nie kłopotz. Przyrzekam ci, że nic nie stanie się wbrew twojej woli. Po prostu chcę, abyś poddała pod rozwagę słowa królowej Eleonory. Przyjadę za dziesięć dni. Wtedy porozmawiamy.

Zawrócił konia i odjechał. Alayne jeszcze przez dłuższą chwilę spoglądała za nim. Podziwiała jego silną i władczą sylwetkę - potężne ciało, w którym kryła się szlachetna i łagodna dusza. Raz czy dwa miała okazję przypadkiem ujrzeć jego prawdziwe oblicze. Dobrze wiedziała, że jest to człowiek ze wszech miar godzien zaufania.

Była świadoma swoich uczuć, chociaż myślała, że już ni-

gdy w życiu ich nie odzyska. Cieszyły ją, ale i napawały lękiem.

Sir Ralph okazał się człowiekiem pełnym wewnętrznych sprzeczności, ale jednocześnie dzielnym i opanowanym. Berenice musiała być z nim szczęśliwa.

Ale cóż oznaczał ów tajemniczy list od królowej? Alayne dołączyła do czekającej na nią Marguerite. Orszak zaczął się niecierpliwić. Nie, to na pewno niemożliwe, uznała. Przecież sir Ralph nie zasugerował tego nawet słowem.

List królowej zdawał się przepalać cienką skórę zamszowej sakiewki, do której go schowała. Wiedziała, że musi go przeczytać, lecz obawiała się, co tam znajdzie.

Jazda do dworu Banewulf zabrała im zaledwie dwie godziny. Wokół rozciągała się piękna, zielona okolica, miła dla oka, o łagodnych wzgórzach opadających w stronę morza. Trakt ciągnął się wzdłuż brzegu, ani na chwilę nie zbaczając w głąb lądu.

Alayne z zadowoleniem przyjrzała się domostwu. Myślała, że zobaczy warowną twierdzę, a tymczasem był to dwór z czterema strzelistymi wieżyczkami, dobudowany do dawnej wieży. Oczywiście, miał fosę i zewnętrzne mury, chroniące przed niespodziewanymi napaściami, do których dość często dochodziło zwłaszcza za panowania króla Stefana. Wokół wyrosła już niewielka, lecz tętniąca życiem osada. Na zboczach wzgórza, na którym stał zamek, przycupnęły drewniane chaty. Od zachodniej strony ciągnęła się rozległa puszcza, dochodząca aż do morskiego brzegu. Okolice była dobrze osłonięta od wiatru i Alayne mogła

wystawić twarz do ciepłych promieni słońca. Może nie tak ciepłych, jak w ukochanej Francji, lecz na tyle przyjemnych, żeby rozproszyć jej obawy co do zimnego i deszczowego klimatu Anglii.

Końskie podkowy zadudniły na drewnianym moście. Po chwili orszak minął kamienną bramę z podnoszoną żelazną kratą. Na dziedzińcu czekała służba, aby ich powitać i zabrać wierzchowce do stajni. Siwowłosego mężczyzna wygłosił krótką powitalną mowę na cześć ojca Marguerite. Kilka minut później baron de Valois podprowadził go do dziewcząt.

- To moja córka, lady Marguerite, a to lady Alayne, wdowa po baronie Humbolcie.

- Witam was, szlachetne panie. Jestem John Grey, zarządca włości sir Ralphi de Banewulfa. W liście, który otrzymałem, mój pan życzy sobie, abyście wszyscy czuli się tutaj jak u siebie w domu. Zatem rozgośćcie się i prosicie o wszystko, czego wam potrzeba.

Damy podziękowały mu z miłym uśmiechem. Grey wezwał do siebie wesołą i rumianą dziewczynę, może kilka lat starszą od Alayne. Przedstawił ją jako swoją córkę, Mornę Grey, która od tej chwili miała być ich główną pokojówką.

- Do niedawna piastowałam syna naszego pana - powiedziała Morna, prowadząc ich do wielkiej sali. Stamtąd po szerokich schodach weszły na galerię. Dwór zbudowany był z kamienia, podobnie jak sto lat starszy od niego zamek, ale zaprojektowany już według nowych zasad. Na piętrze, zamiast wąskich strzelnic, były osłaniane okiennicami okna. - Panicz Stephen jest teraz u kuzyna. Został

giermkciem, więc ostatnio niewiele mam do roboty. Miło będzie znów słyszeć we dworze kobiece głosy. Poza służbą nie było tu żadnej niewiasty od śmierci mojej biednej pani. Boże, świeć nad jej duszą. - Przeżegnała się zamazyście.

Alayne potakiwała jej z uśmiechem, ale przede wszystkim rozglądała się po otoczeniu. Zauważyła ciężkie drapery na ścianach i gobeliny, które przydawały wnętrzu niezbędnego ciepła i kolorów. Wzdłuż ścian stały liczne kufry, dębowe skrzynie i szafy.

W sypialni ze zdziwieniem znalazła wszystko, co było potrzebne damie. Wysokie, pięknie rzeźbione półki, wygodne łoże, kilka skrzyń, ławę i stół przykryty kunsztownie utkany obrusem. Na stole stały cenne srebra. Obok kominka znalazło się też miejsce na złożenie biżuterii, a nieco dalej, na drewnianym pulpicie, leżała pięknie iluminowana Biblia.

Alayne z namysłem przesunęła dłonią po otwartej księdze. To było dzieło sztuki - owoc wieloletniej pracy jednego lub kilku zakonników. Nie spodziewała się, że znajdzie tutaj tak wspaniałe skarby. Całą komnatę urządzono niezwykle wygodnie. Miękkie poduszki ułożone na ławie i wysokich krzesłach dodatkowo potęgowały wrażenie luksusu.

- Nie przywykłam do takich wygód - powiedziała Alayne do Morny. W tej jednej komnacie było więcej cudów niż w całym zamku jej ojca. - Jesteś pewna, że pokazałaś mi właściwy pokój?

- Takie było polecenie pana, milady. We dworze są tylko dwie kobiece komnaty. Lady Marguerite zajmie pokój po zmarłej żonie sir Ralpa. A to jest dawna komnata jego

matki, pani Roxanny. To była wspaniała kobieta, szczerze kochana przez męża i syna.

- Rozumiem i dziękuję - odparła Alayne, do głębi wzruszona taką gościnnością. Zamrugęła powiekami, żeby odpędzić łzy, które mimo woli cisnęły jej się do oczu. Uśmiechnęła się. - Od początku przypuszczałam, że tutaj musiała mieszkać pani domu. - Nie wiedzieć czemu poczuła ulgę, że nie dostała komnaty zmarłej Berenice.

- Służba zaraz przyniesie gorącej wody, abyś mogła odświeżyć się po podróży, pani - powiedziała Morna. - Może posiłek każę zanieść do komnaty lady Marguerite? Tam jest trochę więcej miejsca.

- Tak, dziękuję - zgodziła się Alayne. - Obie jesteśmy zmęczone. Z chęcią odpoczniemy.

Morna uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Mój pan kazał mi się dobrze tobą zająć, milady. Proś, o cokolwiek zechcesz.

Alayne zaczekała, aż służba skończyła wnosić bagaże. Nie pozwoliła im jednak rozpakować.

- Wróćcie później - powiedziała do swoich panien służebnych, Louise i Bethel. - Nie wątpię, że tak długa podróż wam też dała się we znaki. Odpocznijcie trochę. Potem was zawałam.

Została sama. Zdjęła ciężki płaszcz i położyła go na łóżku. Rozpuściła włosy. Ciężkie loki swobodnie opadły jej na ramiona. Z ulgą potrząsnęła głową, westchnęła cicho i podeszła do stolika, służącego jej za toaletkę. Uważnie przyjrzała się obrusowi. Był bardzo piękny. Własnoręcznie utkany przez panią Roxannę? Jeżeli tak, to zasługiwała na

miano artystki. Obrus przypominał słynną tkaninę z Bayeux, odtwarzającą wydarzenia, które doprowadziły do bitwy pod Hastings.

Na stole stały srebrne naczynia na pachnidła. Obok leżał grzebień i srebrne lustro. Mała złota fiolka wciąż zawierała nieco wonnych perfum. Niestety, zwierciadło mocno pociemniało. Alayne z trudem mogła się w nim przejrzeć.

Mimo to sięgnęła po srebrny grzebień, bogato inkrustowany złotem i wysadzany klejnotami. Przesunęła nim po włosach. Uczesała się i odłożyła go z westchnieniem. Dobrze zdawała sobie sprawę, że próbuje odwlec najważniejszy moment. Wreszcie usiadła na ławie, wyjęła list królowej Eleonory, złamała pieczęć i zaczęła czytać.

Ciemny rumieniec zabarwił jej policzki, zanim doszła do ostatniego zdania. Dobrze, że kiedyś poświęciła czas na naukę czytania i teraz nie musiała szukać pomocy u skryby. List był bardzo osobisty i poruszał sprawę małżeństwa zaaranżowanego przez królową.

„Ufam, że sir Ralph powiedział szczerą prawdę, mówiąc o Twoich kłopotach. Rzeczywiście tak jest, Alayne. Niezależna kobieta to łakomy kąsek - zwłaszcza gdy oprócz urody dysponuje niemałym majątkiem. Wiem, że obawiasz się małżeństwa, dlatego też przekonałam sir Ralpa, aby zapewnił Ci ochronę. On także wzdraga się przed ślubem. Ustaliliśmy zatem, że wystarczy, jak przyjmiesz jego nazwisko. Uwierz mi, że to co robię, wynika jedynie z mojej głębokiej troski o Ciebie. Mam nadzieję, że dobrze przemyślisz tę sprawę”.

Alayne z niedowierzaniem patrzyła na podpis. Jak królowa mogła zaproponować coś takiego? I dlaczego nic wcześniej jej nie powiedziała? Czuła się oszukana, wciągnięta w pułapkę, zdradzona przez kobietę, którą obdarzyła pełnym zaufaniem. Gdyby nie prywatna pieczęć królowej, odcisnięta w wosku, pomyślałaby, że list został sfałszowany. Podejrzewałaby najgorszą zdradę. Nawet teraz wydawało jej się, że zaszła pomyłka, że źle odczytała intencje królowej. Przecież to niemożliwe... Ale nie. Wszystko było czarno na białym. Jej przyjaciółka i opiekunka, Eleonora Akwitańska, postanowiła zagrać rolę swatki. Nadużyła jej zaufania. Nie miała prawa tego zrobić, nie pytając przedtem o jej zgodę! To karygodne!

A przecież tak ją podziwiałam i kochałam... Dlaczego mnie zdradziła?

Niespokojnie krążyła po komnacie, niczym dzikie zwierzę zamknięte w klatce. Ciągle nie mogła w to uwierzyć. Jak to się stało, że sir Ralph przystał na taką propozycję?! Przecież na pewno jej nie kochał. Nadal był wierny zmarłej żonie. Poza tym pamiętała, jak się do niej odnosił podczas podróży do Anglii: był grzeczny, ale traktował ją z dystansem. Z pewnością nie zasługiwał na miano zalotnika. Rycerze z Poitiers ciągle prawili jej czułe słówka i komplementy. Sir Ralph miał grobową minę i posępne spojrzenie. W ten sposób chciał trafić do serca kobiety? Co się stało, że Eleonora właśnie jego wybrała? Jest dla mnie niemal obcy, pomyślała Alayne. Chociaż to prawda, że ocalił mnie od losu gorszego od śmierci.

Przypomniała sobie, jak bezpiecznie czuła się w jego ramionach. Przystanąła i pokręciła głową. No tak... Mogła go polubić, lecz na pewno nie chciała go za męża.

Nie będzie ślubu. List królowej należało potraktować jedynie jako radę, a nie rozkaz. Alayne mogła spokojnie wrócić do Poitiers i... Właśnie, i co dalej? Co miała później począć ze swym życiem? Wprawdzie nie chciała wyjść ponownie za męża, ale też nie zamierzała zamknąć się w klasztorze jak reszta podobnych jej kobiet. Cóż więc jej pozostało?

Prawdę mówiąc, nie wiedziała, co z sobą począć. Nie potrafiła zapanować nad myślami ani ułożyć planów na najbliższą przyszłość. Z jednej strony zdawała sobie sprawę, że nie dla niej powierzchowne uroki „dworu miłości” w Poitiers, ale... No właśnie. Za nic w świecie nie chciała wrócić do domu, do chciwego ojca. Prędzej czy później, baron de Robspierre zdołałby ją zmusić do małżeństwa. Co począć? Czego by nie wybrała, nieuchronnie kończyło się zamążpójściem. Chyba że jednak klasztor...

Nie! Nie chciała reszty życia spędzić w zamknięciu, z dala od świata. Chciała... Czego chciała?

- Alayne?

Westchnęła z ulgą, słysząc znajomy głos Marguerite. Oderwała się od niespokojnych myśli, ukradkiem wsunęła list do sakiewki i odwróciła się z uśmiechem.

- Co się stało? - zapytała Marguerite. - Nie podoba ci się nowy pokój? Trochę mniejszy niż mój, ale za to z pięknym widokiem na ogród. Przez moje okna widać las. W ogóle jest tam trochę ciemniej. Wydawało mi się, że słyszę wycie

wilków i dziękowałam Bogu, że dookoła nas jest fosa i grube kamienne mury.

- Oczywiście, że mi się podoba! - zawołała Alayne. Zdażyła już odzyskać zwykłą pewność siebie. Uznała, że martwiła się na zapas. Sir Ralph na pewno nie będzie jej zmuszał do małżeństwa. To szlachetny i honorowy rycerz. Zresztą dał jej swoje słowo. Wierzyła, że go dotrzyma. - Tu jest wszystko, czego mi potrzeba. Prawdę mówiąc, nie wyglądałam jeszcze przez okno.

Stała obok Marguerite i wyrzała na zewnątrz. Było jeszcze trochę światła, ale słońce zaszło i pojawił się zamglony księżyc.

- Ogród musi być wspaniały. Wiesz co? Za kilka dni wybierzemy się na konną przejażdżkę nad morze.

- Nie przypuszczałam, że dom sir Ralpha okaże się aż tak piękny - wyjawiała Marguerite. - Z tego co mówił mi ojciec, zaszły tu ogromne zmiany. Za młodu studiował razem z ojcem sir Ralpha i przez pewien czas mieszkał w posiadłości de Banewulfów.

- Cudowne miejsce - zgodziła się Alayne. - Mój ojciec nigdy nie miał tylu gobelinów, a mąż w ogóle stronił od luksusu. Jego zamek bardziej przypominał twierdzę.

- O właśnie... gobeliny, dywany i draperie - zachwycała się Marguerite. - Ich obecność sprawia, że pomieszczenie wydaje się dużo cieplejsze. Mogłabym tu mieszkać przez cały rok, nawet zimą. W pałacu w Poitiers było dużo chłodniej.

- Tak, to prawda - przytaknęła Alayne. - Nie zapomnij, że angielskie zimy podobno są surowe.

- No cóż... - zaczęła Marguerite, lecz nie dokończyła, bo w tej samej chwili rozległo się pukanie i weszła służąca, oznajmiając, że wieczerza już stoi na stole.

- Och, Alayne! - Marguerite się roześmiała. - Od początku miałam ci to powiedzieć. Chodź, teraz pójdziemy do mnie. To podobno dawna komnata żony sir Ralpa.

Przeszły galerią biegnącą dookoła wielkiej sali. Nad nimi majaczyło łukowate sklepienie łączone grubymi belkami, na których w równych odstępach wisiały sztandary i tarcze z herbami de Banewulfów. Były też herby dam, które przez małżeństwo weszły do rodu.

W sali panował półmrok, z rzadka rozjaśniany gasnącym światłem dnia, wpadającym przez wąskie okna. Grube woskowe świece dawały więcej blasku i odrobinę ciepła.

Pokój zajmowany przez Marguerite, położony po drugiej stronie domu, był umeblowany podobnie jak komnata Alayne, z tą różnicą, że miał dużo większy kominek i dwa wspaniale rzeźbione fotele z wysokim oparciem. Sir Ralph zapewne jadał tu posiłki z żoną. Luksus spotykany na ogół jedynie w królewskich pałacach - świadectwo zamożności, ale też niezwykłej hojności właściciela. Alayne z reguły siadała na stołku lub na ławie. Fotel wydał jej się nadzwyczaj wygodny.

Powiodła wzrokiem po bogatych draperiach. Komnata rzeczywiście była nieco ciemniejsza od przytulnego pokoju lady Roxanny. Panowała w niej przygnębiająca atmosfera. Alayne próbowała otrząsnąć się ze złych

myśli. To nic innego niż złudzenie, wyimaginowany smutek. Wzdrygnęła się mimo woli. Na szczęście Marguerite niczego nie zauważyła. Alayne postanowiła zachować wrażenia dla siebie.

Mimo to wydawało jej się, że wciąż gdzieś tu krąży nieutulony w żalu duch lady Berenice. Opanuj się, dziewczyno, skarciła się w duchu. Lepiej zrobisz, jak najwyczerpijesz się w świecie zajmiesz się jedzeniem.

- W jednej ze skrzyń znalazłam niedokończony gobelin - powiedziała Marguerite. Podeszła do dębowego kufra, podniosła ciężkie wieko i wyjęła starannie złożony kawałek jedwabiu. - Spójrz. Czyż to nie urocze?

Alayne przyjrzała się tkaninie. Wzór rzeczywiście mógł się każdemu spodobać. Kolorową nicią zaznaczono zarysy gałęzi i ptaków, lecz tylko jeden róg był w pełni wykończony. Aż żal było porzucać tak piękną robotę.

- Szkoda, prawda? - zawołała Marguerite, jakby wtórując myślom przyjaciółki. - Pomyśl tylko, jak efektownie wyglądałby na ścianie.

- Owszem - przyznała Alayne. Pomyślała, że tylko ktoś, kto naprawdę kochał życie i przyrodę, mógł pokusić się o tak wspaniały projekt. - Może go razem dokończymy? - zaproponowała nagle. - W ten sposób chociaż w części spłacimy dług wdzięczności wobec sir Ralpha za to, że przyjął nas pod własny dach.

- Obawiam się, że nie zdążymy przed wyjazdem do Londynu - zafrasowała się Marguerite - ale możemy przynajmniej spróbować. Najwyżej zostawimy resztę pannie Grey.

- Zaczniemy jutro - z entuzjazmem podchwyciła Alayne. Nie wiadomo dlaczego niedokończony gobelin przyciągał ją jak magnes. - Dzisiaj jestem już zbyt zmęczona. Jeśli pozwolisz, pójdę do siebie. Zasypiam na stojąco.

- Oczywiście - z uśmiechem odpowiedziała Marguerite.
- Trochę dziwnie będzie mi spać samej. Ładne parę miesięcy mieszkałyśmy razem, od dnia, kiedy przyjechałaś do Poitiers.

- Tak, to prawda - skinęła głową Alayne - ale i tak po twoim ślubie czeka nas rozłąka.

- Hm. - Marguerite zaczerwieniła się jak burak. - Po moim... albo po twoim.

- Nie wyjdę za męża.

- Zobaczysz, że pewnego dnia zmienisz zdanie.

- Wątpię - oparła Alayne. - Musimy o tym rozmawiać?

- Wcale nie chciałam cię zdenerwować - powiedziała szybko Marguerite. - Naprawdę chcesz resztę życia spędzić na królewskim dworze?

- Nie. - Alayne stłumiła ziewnięcie. - Wybacz, ale jestem potwornie zmęczona. Idę spać.

- Ja też się kładę. Przepraszam, jeśli cię czymś uraziłam.

- Nic się nie stało.

Alayne powoli wróciła do swojej komnaty. Poczowała się nieswojo bez wiernej przyjaciółki. W pałacu w Poitiers panował taki ścisk, że ciągle brakowało wolnych pokoi. Wszystkie damy dworu mieszkały po dwie lub więcej. W posiadłości de Banewulfów było dużo miejsca - a kobiet prawie wcale.

Pokojówki pomogły jej przy rozbieraniu. Alayne jeszcze przez kilka minut siedziała sama, szcztokując długie włosy. Wszystkie jej rzeczy były już rozpakowane i ułożone we właściwych miejscach. Przez to pokój stał się jeszcze przytulniejszy. Jakby ją naprawdę witał. Matka sir Ralpha musiała tutaj spędzić najprzyjemniejsze chwile. Zapewne przybyła tu już jako oblubienica. Później wystrój komnaty uległ niewielkim zmianom, kiedy sir Ralph sprowadził do zamku żonę.

Alayne pomyślała o lady Berenice. Nie rozumiała, dlaczego w jej pokoju panował nastrój przygnębienia. Przecież musiała być szczęśliwą żoną.

Mimo woli wróciła do własnych niewesołych wspomnień. Wciąż pamiętała brutalnego męża i szpetne przekleństwa, którymi ją obrzucał, leżąc w łóżu, niezdolny poruszyć nogami. Sparaliżowany od pasa w dół, ręce miał na tyle sprawne, aby ją ciągle szczypać i popychać. Alayne bała się podchodzić do niego zbyt blisko.

Nie, przyrzekła sobie, nigdy więcej nie zniosę takiego poniżenia! Po ślubie żona staje się własnością męża, taką samą jak dom, ziemia i trzoda. W takim przypadku lepiej resztę życia spędzić w samotności, lecz cieszyć się znacznie większą swobodą.

Musiała jednak uczciwie przyznać, że ciągnęło ją do angielskiego rycerza. Bywały chwile, że na jego widok serce zaczynało bić jej w szalonym tempie. W głębi duszy wierzyła, że sir Ralph nie byłby takim okrutnikiem jak baron Humbolt.

Powoli rozwinęła list Eleonory. Ze zmarszczonymi

brwiami przeczytała go jeszcze raz od początku. Najdłużej zatrzymała się przy tym fragmencie, w którym de Baneulf obiecał, że da jej nazwisko. To znaczyło, że wcale nie dążył do małżeństwa. Zgodził się na wyraźne żądanie królowej.

Alayne poczuła się głęboko urażona. Nie zamierzała wyjść za człowieka, który jej nie kochał. Dawno już postanowiła, że w tej sprawie zachowa wolny wybór.

Owszem, rozumiała intencje królowej, zwłaszcza po ostatnim okrutnym napadzie. Jednak nie musiała słuchać niczyich rozkazów... Prawda?

Westchnęła, zgasiła świecę i wsunęła się pod ciepłą kołdrę. Pora spać, pomyślała. Spać i póki co zapomnieć o wszystkich kłopotach. Sir Ralph wróci najprędzej za tydzień. Do tego czasu na pewno znajdę jakieś rozwiązanie;

Rozdział piąty

Przez kilka następnych dni Alayne i Marguerite pracowały nad gobelinem znalezionym w komnacie lady Bernice. Wspólnymi siłami skończyły oba narożniki i wzięły się do pozostałej części. Był to dla nich szczególnie miły sposób spędzania czasu, zwłaszcza kiedy musiały dobierać kolory, aby stworzyć harmonijną całość.

- Ten błękit jest wprost prześlizchny - powiedziała Marguerite, przykładając wąskie pasemko nici do tkaniny. - Obawiam się, że mamy go za mało na całą tę część tła. Może dodamy trochę jaśniejszego? Wtedy na pewno nam się uda.

- W ogóle nie wiem, czy skończymy - z żalem odparła Alayne. Zawiązała nić i obcięła ją niewielkim nożem, wiszącym u pasa. - Sir Ralph powiedział, że wróci w ciągu dziesięciu dni, a tymczasem jutro minie już jedenaście. Podejrzewam więc, że zjawi się lada chwila. Zaraz potem wszyscy wyruszymy do Londynu.

- Właśnie. - Marguerite westchnęła. - Tu jest mi tak dobrze, że wcale nie chcę wyjeżdżać. - Spojrzała na ogień

płonący w kominku. - Noce stają się coraz chłodniejsze. Zamarzniemy na kość, jeśli w pałacu w Londynie jest tak zimno, jak w Poitiers.

- To prawda. - Alayne wstała i podeszła do okna.

Służba jeszcze nie zamknęła okiennic na noc. Na zewnątrz świecił blady księżyc, a w oddali widać było niewielki oddział jeźdźców, kierujący się w stronę zamku. Kiedy zbliżyli się do pierwszej bramy, Alayne poczuła dreszcz podniecenia. Po chwili podniesiono kratę. Dwaj jeźdźcy bez wątpienia byli rycerzami, reszta wyglądała na zbrojnych i służących. Alayne nie potrafiła z daleka rozpoznać twarzy, ale przeczuwała, kto przyjechał.

- Marguerite? - powiedziała, nie odwracając głowy. - Zdaje się, że właśnie wrócił sir Ralph.

Marguerite szybko podbiegła do okna.

- Nie jest sam - zauważyła ze zmarszczonymi brwiami. - Ciekawe, kogo tu sprowadził?

- Dowiemy się z samego rana - z mocno bijącym sercem odparła Alayne. Czekwała na przyjazd sir Ralpa, ale trochę bała się tego spotkania. Nie wiedziała, co powie na temat małżeństwa. - Jestem zmęczona. Może skończymy już na dzisiaj? Chciałabym się położyć.

- Oczywiście - bez wahania odpowiedziała przyjaciółka, chociaż było jeszcze dosyć wcześnie. - Ja też chyba zaraz zasnę. Jutro trzeba wcześnie wstać, żeby godnie powitać sir Ralpa.

Alayne pocałowała ją w policzek i poszła do swojej komnaty, ale zanim dotarła do końca galerii, na tylnych schodach, używanych zazwyczaj przez służbę, zamajaczyła j

ciemna postać. To był sir Ralph. Alayne mimo woli wstrzymała oddech.

- Lady Alayne - powiedział, chyba nie mniej od niej zdziwiony tym nieoczekiwanym spotkaniem. - Mówiono mi, że o tej porze zwykle bywasz u lady Marguerite.

- Tak, wieczorami zazwyczaj przesiadujemy razem - odparła Alayne. - Właśnie wyszłam od niej, żeby się położyć.

- Czy nie za wcześnie na nocny spoczynek? - spytał sir Ralph. Zmrużył oczy, gdy spojrzał na zgębnioną minę Alayne. Domyślił się, że wolałaby uniknąć tego spotkania. List na pewno wprawił ją w wielką rozterkę. W głębi duszy potępiał zachowanie królowej. Na pewno chciała jak najlepiej, ale zabrała się do tego niezręcznie. - Wybacz, pani. Miałem cichą nadzieję, że wrócę przed wieczorem i że będziemy mogli jak najszybciej o wszystkim porozmawiać. Niestety, zatrzymano mnie dłużej, niż się spodziewałem.

- Powiedziałaś, że przybędziesz w ciągu dziesięciu dni. Wcale się nie spóźniłaś..

- Myślałem, że to potrwa trochę krócej - odparł, nie spuszczać spojrzeń z jej pięknej twarzy. Wydawała mu się tak urocza, dumna i opanowana, ale jednocześnie bezbronna i nieco zagubiona. W jej oczach nadal czaił się cień strachu, tak samo jak w dniu nieudanej próby porwania. Nie zniknął wraz z upływem czasu. - Czytałaś list królowej, prawda?

Alayne poczerwieniała.

- To była dla mnie duża niespodzianka - powiedziała niemal szeptem. - Przecież królowa doskonale wie, że

nie pragnę ponownego zamażpójścia. Uważam, że zachowała się bardzo niestosownie, zwłaszcza wobec ciebie, panie. Wykorzystała swoją władzę, aby zmusić cię do podjęcia niechcianej decyzji. O ile pamięć mnie nie myli, nie zamierzałeś żenić się po raz drugi.

- Pomysł był mój - oznajmił Ralph. - To ja przyszedłem z tym do królowej. - Mówił spokojnym, niemal beznamietnym tonem. Alayne nie potrafiła nic wyczytać z jego twarzy. - Moim zdaniem, grozi ci niebezpieczeństwo, póki pozostajesz sama. Znam wielu ludzi, którzy bez skrupułów wykorzystają twoją sytuację. Wydawało mi się, że jest pewien rycerz, którego darzysz nieco większą sympatią niż innych. Napomknąłem o nim jej królewskiej mości. Nie zgodziła się ze mną. Uważała, że o wiele lepiej przyjmiesz pomysł białego małżeństwa bez zobowiązań.

Alayne była czerwona jak piwonia. Ralph obserwował ją uważnie i z wyczekiwaniem. Nie umiała spojrzeć mu prosto w oczy.

- A jak ty potraktowałbyś taki związek, panie? - zapytała z wymuszonym spokojem. - Jak byś się czuł? Przecież nikt nie może od ciebie ani od żadnego innego mężczyzny wymagać... - Urwała. - To niezgodne z prawdziwą naturą małżeństwa.

W dalszym ciągu nie mogła uwierzyć w jego słowa. Chciał oddać jej nazwisko, nie żądając nic w zamian? Żaden mężczyzna na świecie nie jest aż tak hojny, uznała.

- Właśnie to zamierzałem ci w pełni wyjaśnić - odparł Ralph i z sakwy wiszącej u pasa wyjął pergamin. - Niosłem ten list do twojej komnaty. Chciałbym, żebyś poznała moje

uczucia, zanim przejdziemy do dalszej rozmowy. - Niemal z zakłopotaniem podał jej zwinięte pismo. - Przeczytaj to. Łatwiej podejmiesz decyzję.

Alayne wzięła list, chociaż sama nie bardzo wiedziała dlaczego. Na dobrą sprawę powinna od razu odmówić.

- Przeczytam - obiecała - ale obecnie nie mogę powiedzieć, czy to coś zmieni. Zamierzam jak najszybciej wrócić do Francji.

- To twoje prawo i twój przywilej - oświadczył Ralph.
 - Jednak chcę, żebyś dobrze przemyślała ostateczną decyzję. Przed wizytą na dworze nie żądam od ciebie odpowiedzi. Powinnaś przywyknąć do tej myśli... i do mnie.
 - Uśmiechnął się ciepło.

Alayne przyglądała mu się ze zdumieniem. Poczowała lekki dreszczyk podniecenia. Ralph wyglądał zupełnie inaczej z uśmiechem na twarzy.

- Myślę, że obie z lady Marguerite z zadowoleniem powitacie wieść, że przywiozłem jeszcze jednego gościa - dodał. - To baron de Froissart. Niespodziewanie zjawił się na dworze i król Henryk powierzył mu pewną misję. Zgodził się jednak na dzień lub dwa zawitać w mojej posiadłości. Potem pojedzie dalej, ale mam nadzieję, że przez ten czas przyjmiecie go z całą radością.

- Baron de Froissart jest moim dobrym przyjacielem - odparła Alayne. - Zawsze go chętnie widzę. Dziękuję, panie, że go zaprosiłeś.

Ralph tylko skinął głową. Nie spuszczał jej z oka, lecz jednocześnie sam nie zdradzał swoich myśli. Początkowo był święcie przekonany, że jednak coś czuła do Fran-

cuza. Czyżby się mylił? A gdyby tak musiała wybierać między nimi? Pewnie bym przegrał, przemknęło mu przez głowę, ale za nic w świecie nie chciał fałszywej przewagi. De Froissart wiedział o wszystkim. Usłyszał to od niego i bez wahania odparł, że decyzja należy do Alayne. Zgadzał się z Ralphem, że dziewczyna potrzebuje uczciwego opiekuna. De Banewulf odpowiedział na to, że nie wykorzysta listu od królowej, aby zmusić ją do posłuszeństwa. Niech sama wybierze.

- Życzę ci dobrej nocy, pani - powiedział z szarmantycznym ukłonem. - Śpij dobrze i nie poddawaj się złym myślom. Wiem, że przeżyłaś bardzo trudne chwile. Zaręczam ci, że nic takiego więcej się nie stanie, jeśli powierzysz swój los w moje ręce. Z ochotą zabiłbym twój męża. Takie bydlę nie zasługuje na to, by chodzić po tej ziemi.

Alayne spojrzała na niego ze zdumieniem, zaskoczona tym nagłym wybuchem. Po raz kolejny pomyślała, że sir Ralph jest człowiekiem pełnym sprzeczności, zdolnym do czulej troski i gwałtownego gniewu. Z bijącym sercem patrzyła, jak odchodził. Czasami się go bała. Potem jednak widziała go w całkiem innym świetle i marzyła, żeby wtulić się w jego ramiona.

Oczy ją piekły, kiedy wchodziła do komnaty. Miała ochotę się rozpłakać. Przeklinała swoje małżeństwo! Gdyby nie doświadczyła tylu cierpień i poniżenia od zmarłego męża, bez wahania przyjęłaby ofertę sir Ralpha. Na pewno by go pokochała.

List od sir Ralpa był dość krótki. Rycerz zapewniał, że ma dla niej ogromny respekt i nie mniejszy podziw i czułby się zaszczycony, gdyby została jego żoną. Co prawda, wyjawiał, przedtem nigdy nie myślał o powtórnym małżeństwie, bo ma syna i pędzi dostatni żywot, ale ostatnio doszedł do wniosku, że we dworze jednak brakuje kasztelanki. W zamian zamierzał dać jej stałą ochronę i opiekę.

„Masz, Pani, moją solenną obietnicę, że nigdy nie dopuszczę się wobec Ciebie czynów, których doświadczyłaś w poprzednim małżeństwie. Decyzję o tym, czy nasz związek pozostanie jedynie z nazwy, czy przekształci się w prawdziwe małżeństwo, pozostawiam wyłącznie Tobie, Alayne. Proszę jedynie o przyjaźń i zaufanie, a ja obdarzę Cię tym samym”.

Ten list stanowił dowód wysokiej kultury sir Ralpa. Alayne spojrzała na zamaszysty podpis i serce zabiło jej mocno. Ralf de Banewulf był człowiekiem namiętnym i pełnym wewnętrznej pasji. Trudno uwierzyć, że oczekiwał od niej tylko uśmiechu i dobrego słowa.

Zdażyła poznać go już na tyle, aby wiedzieć, że tłumił w sobie wiele uczuć. Do tego był bardzo dumny. Taki ktoś miałby się wyrzec małżeńskich przywilejów? Może na razie tak, ale co potem? Jak długo zdołaliby wytrzymać, nie łamiąc danego słowa?

Alayne zamknęła oczy. Wróciły złe wspomnienia. Wciąż pamiętała okrutne błyski w oczach męża, który po ślubie obwieścił jej triumfalnym tonem, że od tej pory do niego należy i że może z nią robić, co tylko mu się podoba. Że ma

go słuchać pod każdym względem. Baron Humbolt uważał żonę za coś gorszego od służebnej dziewczki z kuchni. Kto wie, jak wyglądałoby jej dalsze życie, gdyby nie upił się i nie spadł z kamiennych schodów.

Przecucie podpowiadało Alayne, że sir Ralph nie byłby zdolny do takich okropności. Że właśnie przy nim odnalazłaby szczęście, a nawet miłość. Owszem, dotyk sir Ralpha wprawiał ją w podniecenie, lecz mimo to nie chciała być czyjąś własnością. Najlepiej będzie, pomyślała, jeśli od razu mu odmówię. Chyba najwyższa pora stanowczo zakończyć tę sprawę. Wzięła pióro do ręki, lecz nie potrafiła napisać rozsądnego zdania.

Nie, zdecydowała i położyła pióro obok czystej kartki. Nie wolno się spieszyć. To byłoby niegrzeczne. Sir Ralph jest dumnym i szlachetnym rycerzem. Przecież to on wyzwolił mnie z rąk porywaczy. Tamtej nocy w jego ramionach czułam się bezpieczna. Dobrze, nie wyjdę za męża, ale znajdę chwilę, aby powiedzieć mu to w oględniejszy sposób. Za nic w świecie nie chcę go obrazić.

Przyjazd gospodarza wywołał wyraźne zmiany w całym zamku. Dom wydawał się pełen życia, a i służba raźniej wzięła się do pracy. Wszyscy odczuli nagły przypływ energii. Sir Ralph z okazji powrotu do Anglii wydał niewielką ucztę, na którą zaprosił kilku przyjaciół. Znalazł się wśród nich jego kuzyn, sir Harald z Wotten, wraz z żoną i najstarszym synem. Siedział obok Alayne i dość dużo mówił o synu sir Ralpha, paniczku Stephenie, który od niedawna trafił właśnie do Wotten.

- Będzie tu przyjeżdżał od czasu do czasu, ale jeszcze nie teraz - zwierzał się sir Harald. - To chyba za wcześnie. Przywiozę go dopiero na Boże Narodzenie.

- To smutne, że Stefan już w tak młodym wieku musiał na długie lata opuścić rodzinny dom - zauważyła Alayne. Szczerze pożałowała chłopca oderwanego od tych, którzy go kochali. - Znam wasze rycerskie zwyczaje. Całkiem podobnie było z bratem Marguerite. Trochę płakał, kiedy wyjeżdżał, ale następnym razem stwierdził, że dobrze mu wśród rówieśników.

- Stephen ma koło siebie dwóch moich młodszych synów - wyjaśnił sir Harald. - To bardzo cichy i spokojny chłopiec. Chętnie garnie się do nauki. Na pewno wkrótce przywyknie do nowego otoczenia. - Popatrzył na nią pytającym wzrokiem. - A ty nie masz żadnego rodzeństwa, pani?

- Niestety, wszyscy zmarli jeszcze jako dzieci. Wprawdzie ojciec był żonaty dwa razy, ale obie żony pomarły w połogu. Zostałam mu tylko ja.

- Zatem jesteś jego najcenniejszym skarbem - zauważył sir Harald i się uśmiechnął.

Alayne nic nie odpowiedziała. Ojciec pałał do niej głęboką nienawiścią, bo nie była chłopcem, on zaś - jak każdy szlachcic - marzył o synu i dziedzicu. Poza tym sprzeciwiała mu się w sprawie drugiego małżeństwa. Westchnęła po cichu, ale w tej samej chwili minstrel zaczął śpiewać rzewną balladę o miłości, a zaraz potem żongler pokazał parę sztuczek. W takiej atmosferze nikt nie mógł się długo smucić. Alayne widziała wokół siebie uśmiechnięte twarze, pełne życzliwości i zadowolenia.

Rozejrzała się po wielkiej sali. W pewnym momencie zorientowała się, że ktoś jej się bacznie przygląda. Nie wiedziała kto to. Nie był to jednak rycerz, natychmiast więc odwróciła głowę. Pewnie jakiś służący sir Ralpa, pomyślała i zapomniała o całym incydencie.

Wkrótce zaczęły się tańce. Pierwszy stanął przed nią baron de Froissart. Z promiennym uśmiechem wprowadził ją do kręgu rozbawionych tancerzy.

- Początkowo żal mi się zrobiło, kiedy usłyszałem, że na kilka miesięcy wyjechałaś do Anglii, pani - powiedział. - Później uznałem, że już najwyższa pora, abym sam też zrobił coś ze swoim życiem. Potrzebowałem odmiany i chętnie przyznaję, że wyszło mi to na dobre. Król Henryk wysłał mnie na północ kraju, abym rozprawił się z bandą rozbójników, koczującą w tamtejszych lasach. Mam objąć dowództwo garnizonu w Nottingham. Zostanę tam *co* najmniej ze trzy lata.

- Rad jesteś z tego, panie? - spytała Alayne i pokiwała głową, widząc na jego twarzy wyraz satysfakcji. - Wydaje mi się, że tak. Nudziłeś się w Poitiers?

- Gnuśne życie na dworze dobre jest tylko przez pewien czas. Mam czynną naturę. Ledwo wyzdrowiałem, a już brakowało mi zajęć.

- Cieszę się, że tak szybko wyleczyłeś rękę, panie. Wszak jesteś rycerzem - odparła Alayne. - Nic dziwnego, że tak bardzo tęsknisz za wojaczką. Przyznam się, że i mnie czasami nudziły płocze zabawy w Poitiers. Nawet największe przyjemności blakną, jeśli jest ich nadmiar.

- Jednych to bawi, drugich mniej - sentencjonalnie za-

uważył de Froissart. - Ty, pani, byłaś tam z zupełnie innych względów. - Alayne zaczerwieniła się pod jego palącym spojrzeniem. - Odrzuciłaś małżeństwo, a jak chcesz uchronić się przed wewnętrzną pustką? Każda niewiasta potrzebuje męża i kochających dzieci.

Alayne odwróciła głowę, chcąc ukryć zmieszanie. De Froissart trafił w sedno. Na dobrą sprawę, nie wiedziała, co mu odpowiedzieć, bo po pierwsze, nie była pewna swoich uczuć, a po drugie, nie zamierzała obrazić człowieka, który okazał się jej przyjacielem.

- Dla ciebie zostałbym w Poitiers - dodał de Froissart po krótkiej chwili milczenia. - Z ochotą spełniłbym każdą twoją prośbę. Jednak po głębszym zastanowieniu wiem, że nie jestem dla ciebie. Potrzebujesz kogoś zupełnie innego, aby wyleczyć stare rany. Ja mógłbym niechcący wyrządzić ci krzywdę. Wybrałem zatem inne życie.

- Nie umiem na to odpowiedzieć, sir. Nie chcę cię urazić, ale jeszcze nie myślę o zamażpójściu.

Muzykanci przestali grać. Baron wziął ją za rękę i poprowadził w drugi koniec sali, gdzie stała Marguerite, zagrożona w rozmowie z żoną sir Haraldą. Uśmiechnął się i delikatnie ścisnął dłoń Alayne, jakby wyczuwał jej zakłopotanie.

- Nie mów nic, bo nie wymagam od ciebie odpowiedzi, Alayne. Kłopot w tym, że nie słyszysz głosu swego serca, a nie mnie wtrącać się w czyjeś uczucia. Wiem jedynie, że mnie nie kochasz. Chciałbym, żebyś została moją żoną albo miłośnicą, i wtedy byłbym ci nad wyraz wierny. Jednak wiem, że to stracona sprawa. Pamiętaj, że zawsze bę-

dę twoim przyjacielem. Możesz mi rozkazywać, kiedy tylko zechcesz.

- Z całego serca ci dziękuję, panie - zdławionym głosem odparła Alayne. Była zdumiona, że jego zaloty okazały się szczere, chociaż początkowo uważała je za dworską krotoczwilę. Nie chciała rozstawać się z przyjacielem, ale zdawała sobie sprawę, że nie przyjęłaby jego oświadczyn.

Tymczasem de Froissart poprosił do tańca Marguerite. Panna spiekła raka, lecz bez wahania wyciągnęła rękę i posłusznie podażyła za nim. Alayne spoglądała na nich i nagle uświadomiła sobie, że jej wcześniejsze przypuszczenia są prawdziwe: Marguerite jest po uszy zakochana w młodym baronie. Widać to było w jej spojrzeniach, uśmiechu i zachowaniu.

Niestety, de Froissart wybrał życie królewskiego wojownika i zamierzał wyjechać na odległą placówkę. A to wszystko przeze mnie, ze smutkiem pomyślała Alayne. To dlatego, że go odtrąciłam. Jak to się stało, że nie zauważył uczucia Marguerite? Czy ludzie muszą być nieszczęśliwi?

- Czym tak się martwisz?

Alayne drgnęła i odwróciła głowę na dźwięk głosu sir Ralpa. Stał tuż przy niej i patrzył jej prosto w oczy. Niemal przytłaczał ją swoją obecnością. Alayne odruchowo spojrzała na jego miękkie i zmysłowe usta. Ciekawe, jak smakują jego pocałunki, pomyślała bezwiednie i aż się przestraszyła.

- Coś cię rozgniewało, pani?

- Nie... Niby dlaczego? Dawno tak dobrze się nie bawiłam. Dziękuję ci za dzisiejszą ucztę, panie.

- Pomyślałem, że na pewno tęsknicie za rozrywką. W porównaniu z pałacem w Poitiers mój dom może się wydawać ostoją ciszy i spokoju.

- Może trochę - przyznała Alayne - ale to bardzo miłe. Mogę cię zapewnić, panie, że nie nudziłyśmy się tu ani przez chwilę.

- Za dwa tygodnie mamy stawić się na dworze - oznajmił rycerz. - Z tego co mi wiadomo, Marguerite pojedzie z ojcem na północ, bo chcą spędzić Nowy Rok u krewnych. Ja zaraz po Bożym Narodzeniu wracam do Banewulf.

Spojrzał na nią tak, że nagle zrobiło jej się gorąco. Serce waliło jej jak oszalałe. Zaczerwieniona, z niepewnością czekała, co będzie dalej. Zdawał się pytać, czy przyjedzie tu z nim jako żona.

Nie wytrzymała. Pochyliła głowę i postanowiła jak najszybciej skierować rozmowę na inne tory. Odruchowo zacisnęła dłonie w pięści.

- Marguerite znalazła napoczęty gobelin - powiedziała. - Próbowaliśmy go dokończyć, ale obawiam się, że nie zdążymy przed wyjazdem z Banewulf.

- Kwiaty i ptaki - wtrącił sir Ralph. - Dobrze pamiętam, że Berenice zaczęła go tuż przed chorobą. Potem nie mogła skupić się na pracy. Nie chciała popsuć całego wzoru.

Alayne słuchała go z lekkim zdziwieniem. Mówił głosem pełnym skrywanych emocji. Uniosła głowę i zobaczyła, że spoglądał gdzieś w dal pustym wzrokiem, jakby chciał wejrzeć w gorzką i okrutną przeszłość.

- Słyszałam o śmierci twojej żony, panie - zaczęła i zająknęła się, bo przez jego twarz przemknął wyraźny skurcz

bólu. Wciąż cierpia! - Wybacz. Chyba nie powinnam była do tego wracać.

- Zmarła w gorączce, wkrótce po urodzeniu syna. Była na to za delikatna. Krucha i łagodna... Popełniła błąd, wychodząc za męża... - Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. Ledwie panował nad wzruszeniem.

- To bardzo smutne. - Alayne serce krajało się na widok jego bólu. - Jej śmierć musiała być dla ciebie wielkim ciosem.

- Tak, to prawda. - Policzek zadrgał mu nerwowo. Przez chwilę panowała cisza, potem sir Ralph wyciągnął rękę.

- Zatańczymy, milady? Mieliliśmy się dobrze bawić, a tymczasem popadliśmy w melancholię.

Alayne skinęła głową i podała mu dłoń. Było jej przykro, że niechcący sprawiła mu tyle bólu. Mimo upływu lat wciąż przeżywał tamtą tragiczną stratę. Naprawdę musiał kochać Berenice, pomyślała Alayne. Jeżeli ktoś tak głęboko kochał, to nie pokocha już nikogo więcej.

Prosił ją, by przyjęła jego nazwisko tylko dlatego, że chciał ją chronić, jak przystało na rycerza wiernego szlachetnym ideałom. A może szukał towarzyszkę życia, niekoniecznie kochanki? Może tęsknił za odrobiną ciepła i radości? Wszak wspominał o tym i bywały chwile, że dzieliła tę jego tęsknotę. Pragnęła czegoś... więcej.

Jednak rany zadane jej przez męża okazały się zbyt głębokie. Nie była pewna, czy kiedykolwiek zdoła zapomnieć o poniżeniu i na nowo cieszyć się życiem i miłością.

Postąpiłaby nieuczciwie, przyjmując ofertę Ralpha i nie dając nic w zamian. Nie chciała, by ich związek ist-

niał tylko z nazwy. Sir Ralph zasługiwał na dużo, dużo więcej. Niewykluczone, że po pewnym czasie zażądałby od niej uległości.

Z drugiej strony zapewniał ją, iż nie dąży do prawdziwego związku. To także mogła w pełni zrozumieć. Kochał i był kochanym. Berenice już na stałe miała miejsce w jego sercu.

Taniec dobiegł końca. Alayne z uśmiechem podziękowała Ralphowi i chwilę później stanęła obok sir Haralda. Ralph poprosił do następnego tańca jego żonę.

- Zmęczyłaś się, lady Alayne? - Sir Harald spojrzął na nią z niekłamana troską. - Może chcesz trochę odpocząć?

- Duszno tu - przyznała. - Z chęcią wyszłabym na dziedziniec.

- Z przyjemnością cię tam odprowadzę - zadeklarował sir Harald. - Chociaż nie radzę pozostawać długo. Mogłabyś się zaziębić. Jest zimniej, niż przypuszczasz. Założę się, że niedługo spadną pierwsze śniegi.

- W zupełności wystarczy mi kilka minut - zapewniła go Alayne. - Chciałabym w spokoju zebrać myśli. - Umilkła i popadła w zadumę. Targały nią sprzeczne uczucia. Z jednej strony była przekonana, że nie chce małżeństwa, a z drugiej ciągnęło ją do sir Ralpha. Miała wrażenie, że łączy ich niewidzialna więź, nieczuła na głoś rozsądku.

- Coś cię martwi? - spytał sir Harald, kiedy stanęli na dziedzińcu. - Mogę ci jakoś pomóc?

- Och nie! - zapewniła. - W rozmowie z sir Ralphem zupełnie niechcący wspomniałam o jego żonie. Bardzo się zasmucił i zrobiło mi się przykro.

- Ach tak. - Sir Harald ze zrozumieniem pokiwał głową. - Sam nieraz byłem tego świadkiem. Ralph wciąż uważa, że jest odpowiedzialny za jej śmierć. Nikt nie potrafi go pocieszyć. Już nieraz tak wyglądał, jakby miał umrzeć ze zgrzyoty. Najgorzej było, gdy przypadkiem przyczynił się do śmierci swojego przyjaciela, sir Christiana Paytona. Nie wiemy, o co się pokłócili, ale doszło między nimi do zaciętej walki. Sir Christian upadł i rozbił głowę o ciężkie kowadło. Zmarł w ramionach Ralpha. Na kilka miesięcy Ralph odciął się od świata. Chyba niewiele brakowało, by został pustelnikiem. Rad jestem, widząc, że choć trochę odzyskał dawną chęć do życia. Kiedy zaprosił mnie na dzisiejszą ucztę, nie wierzyłem własnym uszom. Przyjeżdżam, patrzę, znajduję dwie piękne panny w dworze Banewulf. To bardzo dobrze. Mam nadzieję, że mój zacny kuzyn posłucha kiedyś słusznej rady i znajdzie sobie drugą żonę. Żaden człowiek nie powinien być całkiem sam.

- Dawno z nim o tym rozmawiałeś, panie?

- Tuż przed jego wyjazdem do Poitiers - odparł sir Harald. Niespokojnie zerknął na pobladłą nagle Alayne.

- Chyba drżysz, pani. Zimno tu. Lepiej wracajmy do wielkiej sali.

- Tak. Masz rację, panie - zgodziła się Alayne. Zatem sir Ralph postępował zgodnie z zaleceniem swego kuzyna. .. Nie wiedzieć czemu sprawiło jej to dużą przykrość. Poczwała się rozczarowana. Ale dlaczego? Przecież wiedziała, że Ralph nie tęskni za miłością.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, panie, za tę chwilę rozmowy.

Ledwie zdążyła wrócić na salę, już jeden z przyjaciół Ralpha porwał ją do tańca. Zgodziła się bez zastrzeżeń, wdzięczna, że coś, choćby na lalka minut, pozwoli jej oderwać się od smutnych refleksji. Młodzieniec zwał się Robert Greaves i był giermkim. Przybył odziany w jasnoniebieską tunikę i żółte rajtuzy, miał oczy czyste jak lipcowe niebo i pełne usta. Alayne z przyjemnością słuchała jego żartów i śmiała się beztrąsko.

Tymczasem Ralph ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się tańczącej parze. Wreszcie oderwał się od ponurych myśli i wyszedł z sali. Dobrze wiedział, że rządcą już na niego czeka, aby porozmawiać o sprawach, które wymagały decyzji kasztelana.

Po zakończonym tańcu z młodym giermkim Alayne postanowiła udać się na spoczynek. Przedtem jednak chciała pożegnać gospodarza. Było późno i ogień w kominku zaczął z wolna dogasać. Alayne czuła się mocno zmęczona. Rozejrzała się w poszukiwaniu Ralpha, ale nigdzie go nie mogła dostrzec. Nie widziała także sir Haralda i jego żony ani Marguerite.

Nagle przypomniała sobie tę noc w Poitiers, kiedy była królową turnieju. To właśnie wtedy chciano ją porwać... Wprawdzie tutaj czuła się całkiem bezpiecznie, ale nie potrafiła opędzić się od okropnych wspomnień.

Wyszła z sali i szybko wbiegła po schodach na galerię, do swojej komnaty. Tam wciąż cierpliwie czekały pokojówki, które pomogły jej się rozebrać i przygotować do snu. Alayne usiadła, żeby rozczesać włosy, i pozwoliła dziewczynom odejść. Minutę później ktoś zapukał.

Alayne otworzyła bez pytania, przekonana, że to Marguerite. W progu stał sir Ralph.

- Kuzyn powiedział, że w pewnej chwili zrobiło ci się słabo, pani - rzekł, przyglądając jej się z niepokojem.

Alayne bezwiednie rozchyliła usta i długo patrzyła na niego w milczeniu.

- Czy coś ci potrzebne? A może zawołam medyka?

- Nie... Nic mi nie jest - wyjąkała Alayne. Udało jej się uśmiechnąć. - Po prostu w sali było za gorąco i wyszłam odetchnąć świeżym powietrzem. Nie musisz mną się przejmować, panie. Jestem zupełnie zdrowa. - Odruchowo wyciągnęła rękę, którą on pochwycił w swoje dłonie i na chwilę przycisnął do policzka. Ten gest zaskoczył Alayne.

- Milordzie... - Popatrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Wybacz - odparł i tak jak zwykle w podobnych chwilach policzek zadrgał mu nerwowo. - Nie powinienem tu przychodzić. Chciałem tylko sprawdzić, czy przypadkiem się nie zaziębiłaś.

- Zamierzałam powiedzieć ci dobranoc na dole, ale nigdzie cię nie mogłam znaleźć - wyjaśniła Alayne. - Mimo to cieszę się, że dbasz o zdrowie swoich gości, panie.

- Wyszedłem z sali, żeby dopilnować kilku spraw na jutro. Gdy wróciłem, już cię nie było. Zaniepokoiły mnie słowa Haralda, postanowiłem więc sprawdzić, jak się czujesz. Rad jestem, że wszystko w porządku. Pozwól zatem, że się oddalę, pani. Spokojnej nocy.

Alayne wpatrywała się w niego jak urzeczona. Z całego

serca chciała, aby został, ale wiedziała, że to niemożliwe. Gdyby zatrzymała go choć trochę dłużej, ktoś mógłby ich zobaczyć. Naraziłaby na szwank swoje dobre imię.

- Spij dobrze, panie - powiedziała z uśmiechem.

- I ty także - odparł, a potem lekko, samymi koniuszkami palców, pogłaskał ją po policzku. - Jesteś piękna duchem i ciałem, Alayne - dodał. - Chciałbym być twoim rycerzem.

Po tych słowach odwrócił się i odszedł. Drżąca Alayne cofnęła się w głąb komnaty i zamknęła za sobą drzwi. Gdyby jakiś mężczyzna w ten sam sposób odezwał się do niej w Poitiers, uznałaby go za uwodziciela. Ale sir Ralph mówił najzupełniej szczerze... i naprawdę się o nią troszczył...

Rzuciła się na łóżko i naciągnęła kołdrę pod samą szyję, bo noc była rzeczywiście chłodna. Szybko zgasła świecę, zamknęła oczy i starała się przed zaśnięciem nie myśleć o sir Ralphie.

Nie, postanowiła w duchu. Nie mogę się w nim zakochać. On jest niezdolny do miłości i tylko bym cierpiała. Co prawda, w całkiem inny sposób niż przy okrutnym mężu, ale jednak cierpiała. Z dwojga złego już sama nie wiem, co gorsze.

Alayne miała słodkie sny, lecz po przebudzeniu nie potrafiła sobie nic przypomnieć. Szybko włożyła ciepły szlafrok i podeszła do okna. Okazało się, że w nocy spadł śnieg i pokrył wszystko grubą białą pierzyną. Widok był urzekający. Po chwili usłyszała śmiechy i zobaczyła, że kilku

chłopców urządziło sobie bitwę na śnieżki. Uganiali się po dziedzińcu jak stadko rozbrykanych źrebaków.

Skrzypnęły drzwi. Alayne odwróciła się i ujrzała zakuta-ną w futra Marguerite.

- Jeszcze nie jesteś gotowa? - ze śmiechem spytała przyjaciółka. - Spójrz, jaki wspaniały dzień. Baron wyjechał pół godziny temu, a sir Ralph postanowił odprowadzić go kawałek drogi, żeby przypadkiem nie zszedł z traktu. Chwyć mróz, można więc podróżować szybciej, bo konie nie grzęzną w błocie.

- Tak, to prawda - odparła Alayne. - Po ostatnich deszczach niektóre drogi zrobiły się niemal nieprzejezdne. Chyba lepiej, że baron de Froissart wyruszył dopiero dzisiaj.

- Nas czeka wyjazd dopiero za dwa tygodnie - powiedziała Marguerite. - Będziemy podążać na południe. Tam ponoć są dużo lepsze trakty niż na północy.

- Też tak słyszałam - odparła Alayne. Zauważyła cień niepokoju w oczach przyjaciółki. - Boisz się o barona?

- Wybrał najgorsze miejsce - szepnęła Marguerite. - Okropnie niebezpieczne. Obawiam się, że już go nie zobaczę, chociaż powiedział, że na pewno znowu się spotkamy, kiedy pojedę do kuzynów w Nottingham.

- Już za nim tęsknisz, prawda? Nie musisz nic przede mną ukrywać, Marguerite. Wiem, że bardzo lubisz de Froissarta.

- Kocham go! - zawołała przyjaciółka i łzy napłynęły jej do oczu. - W przeszłości raz go odepchnęłam... To było jeszcze przed twoim przyjazdem do Poitiers. Niepotrzebnie dałam posłuch złym plotkom. Pierre miał do mnie żal,

potem zobaczył ciebie... i... i... tak to się zaczęło. Wymyśliłam sobie tego giermka, o którym ci mówiłam. Skłamałam, żebyś nie wiedziała o moim nieszczęściu. Pierre nie chciał na mnie spojrzeć.

- Dla mnie był jedynie dobrym przyjacielem - zapewniła ją Alayne. - Tak jak inni rycerze na Dworze Miłości, uważał za swój obowiązek grać rolę zalotnika. Przez cały czas doskonale zdawał sobie sprawę, że nigdy za niego nie wyjdę. Dałam mu to wyraźnie do zrozumienia. Wcale się nie obraził.

- Tak, mówił mi o tym - chlipnęła Marguerite i otarła łzy. - Myślałam, że już nie ma dla mnie żadnej nadziei, ale może teraz...

Alayne podeszła do przyjaciółki i pocałowała ją w policzek.

- Twój ojciec wie, że kochasz barona de Froissarta?

Marguerite przecząco potrząsnęła głową.

- Dlaczego mu nie powiesz? Mógłby was wyswatać.

- Wybrał sir Ralpha - odparła Marguerite - ale on wyraźnie nie chce tego małżeństwa. Jeżeli miałby wziąć sobie żonę... - Urwała i spod oka spojrzała na Alayne. - Gdybyś tylko chciała, byłabyś z nim szczęśliwa. To naprawdę dobry i uczciwy człowiek.

- Być może. - Alayne odwróciła się, żeby ukryć zmieszanie. Czowała się rozdarta przez sprzeczne emocje. - Wierzę, że jest uczciwy, ale... nie jestem pewna, czy zechcę po prostu wyjść za mąż.

- Wrócisz do Poitiers? - spytała Marguerite. - Pomyśl o tym, co cię tam czeka. Tak wyobrażasz sobie dalszą przyszłość? A tamtej nocy? Gdyby zabrakło sir Ralpha...

- Wiem. Myślałam o tym wiele razy - przerwała jej Alayne. Za oknem znów rozległ się wybuch śmiechu i chór męskich głosów. - Spójrz, Marguerite. Sir Ralph właśnie przyłączył się do zabawy.

Marguerite wyjrzała przez okno.

- Są zupełnie jak dzieci... - Westchnęła. - Ubieraj się, Alayne. Nigdy w życiu nie widziałam aż tyle śniegu. Muszę go dotknąć.

Rozdział szósty

Śnieg leżał na polach przez pełne trzy tygodnie, ale nie uwięził mieszkańców Banewulf, bo mróz mocno trzymał i kolejne opady nie były już tak obfite.

- W tej części kraju najgorsze śnieżyce przychodzą dopiero w styczniu lub w lutym - wyjaśnił sir Ralph. - Taka pogoda jak teraz to prawdziwe zrzędzenie losu. Możnajechać traktem jak po bruku.

Alayne ze zdumieniem odkryła, że lubi zimę. Uwielbiała zwłaszcza dalekie spacery na wysokie skały, wznoszące się nad morzem. Pewnego razu doszła na sam skraj klifu i spojrzała w szare spienione fale. Wydawały jej się bardzo groźne. Było jednak za zimno, żeby zostać dłużej, więc czym prędzej wróciła do ciepłego domu.

W tych wędrówkach najczęściej towarzyszył jej Robert Greaves. Był bardzo miły i chociaż mu się podobała, odnosił się do niej z należnym szacunkiem. Wszyscy domownicy sir Ralpha widzieli w niej swoją nową panią. Z czasem nawet ona zaczęła z wolna przyzwyczajać się do tej myśli.

W dworze Banewulf znalazła spokój i odpoczynek,

jakiego nigdy wcześniej nie zaznała w całym swoim życiu. Cieszyła ją obecność sir Ralpha, chociaż on rzadko miał okazję przebywać w jej towarzystwie, wiecznie czymś zajęty z zarządcą majątku. Mimo to Alayne odkryła, że potrafi pięknie śpiewać i doskonale tańczyć. Z dnia na dzień coraz częściej nazywała go w myślach „rycerzem bez skazy”, bo istotnie wydawał się ucieleśnieniem wszystkich cnót.

Oprócz tego na pamięć znał niektóre fragmenty Biblii i czytał po łacinie jak wykształcony skryba. Okazał się także świetnym gawędziarzem; z jednakową swadą opowiadał rycerskie historie i starodawne baśnie. W skarbcu przechowywał wspaniałą księgę, iluminowaną przez uczonych mnichów, wiele złotych i srebrnych przedmiotów oraz weneckie szkła. Z dumą pokazywał to wszystko Alayne.

Jak każdy rycerz dbał o tężyznę fizyczną. Potrafił od rana całymi godzinami ćwiczyć na dziedzińcu lub placu treningowym. Polował na dziki i czasem na wilki, których watahy żyły w okolicznych lasach.

- Na ogół staramy się żyć z nimi w zgodzie - powiedział przed kolejnym polowaniem. - Zimą podchodzą pod ludzkie osiedla i atakują trzodę albo nawet chłopów. Musimy więc przetrzebić najzuchwalsze stada. Alayne zgadzała się z nim bez zastrzeżeń. Takie były reguły surowego życia. Jej ojciec na swoich włościach robił to samo.

Zdażyła polubić mieszkańców Banewulf i żał jej się zrobiło, kiedy nadszedł czas wyjazdu do Londynu. Sir Ralph ponownie nie rozmawiał z nią o małżeństwie, ale dobrze

wiedziała, że czekał na odpowiedź. Obiecał, że nie będzie jej popędzał. Była mu bardzo wdzięczna za cierpliwość.

Zastanawiała się, czy naprawdę mogli być szczęśliwi, dalej żyjąc w ten sposób? Już nie budził w niej strachu. Gdy czasami przybierał ponurą minę, wiedziała, że myślami błądził gdzieś daleko. Miał wiele obowiązków, bowiem dwór w Banewulf był tylko jednym z wielu w jego rozległych dobrach. Ciągłe gdzieś słano przeróżnych posłańców.

- Wiosną muszę odwiedzić ziemie na północy - zwierzył jej się sir Ralph przy pewnej okazji. - Nie jeżdżę tam zimą ze względu na mrozy, lecz w innych miesiącach to urocze miejsce.

Bez wątpienia był bardzo zamożnym człowiekiem. Jako jego żona, na pewno nie zaznałyby najmniejszej biedy, a przecież sama też miała całkiem spory majątek. Nie musiała zatem myśleć o pieniądzach, lecz raczej o człowieku.

A człowieka, to trzeba przyznać, bardzo polubiła. Inne uczucia wciąż były dla niej owiane tajemnicą. Nie wiedziała, czy to już miłość... a może tylko nie chciała się do tego przyznać? Sir Ralph budził w niej głęboką sympatię i szacunek, rosnące, w miarę jak lepiej go poznawała.

Mogłabym żyć u jego boku, pomyślała pewnego razu. Pod warunkiem, że dotrzymałby danego słowa i nie wymagał ode mnie nic więcej.

Wciąż jednak biła się z myślami. Gdyby odrzuciła jego zaręczyny, to najpóźniej wiosną czekałby ją powrót na dwór w Poitiers. I co dalej? Królowa poszukałaby nowego kandydata. Ojciec zresztą tak samo. Bez najmniejszych skrępułów oddałby ją w ręce któregoś z de Braceyów.

Chyba lepiej uczynię, na zawsze pozostając w Banewulf. Tu będę całkiem bezpieczna. Co prawda, nie podjęła ostatecznej decyzji, ale już nie wzdragała się przed zawarciem małżeństwa z sir Ralphem.

Mróz nadal trzymał, kiedy wyruszali w podróż do odległego zamku, w którym król Henryk na czas świąt Bożego Narodzenia zatrzymał się z całym dworem. Końskie kopyta łomotały głucho o zamarznąłą ziemię. Tego ranka z Banewulf wyjechało trzydziestu pięciu mężczyzn i dwie niewiasty. Za nimi podążał orszak juczych koni i wozów z bagażami i służbą. Zgodnie ze zwyczajem, najbogatsi rycerze zabierali z sobą sporo rzeczy codziennego użytku, bo w zamku czasami mogło nie być miejsca, a oberże bywały wielce niewygodne.

Po drodze nocowali w kilku przydrożnych gospodach, raz w klasztorze i raz w wielkim opactwie, lepiej wyposażonym niż najlepsza karczma. Wreszcie zobaczyli zamek - potężną budowlę, osadzoną na wzgórzu. Grube kamienne baszty i wysokie wały chroniły wewnętrzną cytadelę. Forteca była stara, wzniesiona jako jedna z pierwszych po zwycięskim najeździe Normanów. Nie miała w sobie niemal nic z nastroju panującego w posiadłości sir Ralph'a. Spuszczono zwodzony most i orszak z łoskotem wjechał na brukowany dziedziniec. Alayne odruchowo wzdrygnęła się na widok ciemnych i ponurych murów. Takie było jej pierwsze spotkanie z zamkiem Hardacre.

- To jest posiadłość brata Berenice, barona Foultona z Hardacre - wyjaśnił sir Ralph, pomagając jej zsiąść z ko-

nia. Nieco dłużej niż trzeba obejmował jej szczupłą talię. Alayne znów ogarnęła fala gorąca, ale od dawna już przywykła do takich objawów, zdołała się więc opanować. - Nie widziałem Williama od śmierci jego ojca.

Zmarszczył brwi. Alayne podświadomie wiedziała, że wolałby spotkać się z królem w innym miejscu. Henryk ciągle podróżował. Nie każdy mógł sobie pozwolić na to, żeby wyżywić dwór dłużej niż przez miesiąc.

- Witaj, bracie! - rozległ się za nimi głośny okrzyk.

Alayne odwróciła się i zobaczyła wysokiego, szczupłego mężczyznę. Był o kilka lat młodszy od sir Ralpha, blady i o pociągłej twarzy. Włosy obcinał krótko jak zakonnik, ale bez tonsury.

- William! - Ralph chwycił go w ramiona. - Ależ wyrosłeś od naszego ostatniego spotkania! Jesteś już mężczyzną. Ostatni raz widzieliśmy się na pogrzebie twojego ojca.

- Zbyt długo trwała ta rozłąka, bracie - odparł William Foulton. Świdrujące spojrzenie nie pasowało do roześmianej twarzy. - Widzę, że sprowadziłeś damy, aby nam umilić czas świątecznej radości.

Przelotnie zerknął na Marguerite i zatrzymał wzrok na Alayne. Poczowała się nieswojo; zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Baron Foulton uśmiechnął się i wyciągnął ręce, żeby ją powitać. Miał wilgotne i jakby lepkie palce. Alayne z trudem powstrzymała odruch, żeby nie wytrzeć dłoni o skraj sukni. Jednak zmusiła się do uśmiechu i w ciepłych słowach podziękowała za gościnę.

- Mój dom wyda ci się wręcz ubogi po wygodach, jakich

na pewno zaznałaś u sir Ralpa, pani - powiedział Foulton.
- To zamek obronny, specjalnie dla króla. Nie znajdziesz tu talach luksusów jak w Banewulf.

- Nie przesadzaj. - Sir Ralph nastroszył się lekko. - Kiedy tu byłem ostatnim razem, niczego mi nie brakowało.

- W dniu ślubu z moją biedną siostrą. - William Foulton westchnął. - Świeć Panie nad jej duszą. To było dobre dziecko. Kochałaś ją nie mniej ode mnie.

Alayne instynktownie wyczuła fałsz w jego zachowaniu. Sir William coś ukrywał. Ale co?

- Berenice często o tobie mówiła - bez mrugnięcia powieką odpowiedział Ralph. - Ciagle czytała twoje listy, zwłaszcza gdy była chora.

Zimny błysk zamigotał w bladoniebieskich oczach Foultona. Alayne przypatrywała mu się z niepokojem. Baron serdecznie witał szwagra, ale były to tylko pozory. Wydawało jej się, że w głębi serca szczerze nienawidził sir Ralpa. Ale czy to możliwe? Jaki mógł mieć powód?

Obaj mężczyźni, pogrążeni w na pozór przyjaznej rozmowie, skierowali się do wnętrza zamku. Damy poszły za nimi. Kiedy znaleźli się w wielkiej sali, Alayne zadygotała, jakby zimny powiew przeniknął ją do szpiku kości. Co prawda, w ogromnym kominku płonął ogień, ale trzeba było stanąć bardzo blisko, aby się trochę ogrzać. Alayne mocniej otuliła się futrzaną peleryną. Zauważyła, że Marguerite także drżała z zimna.

Dla niewiast przeznaczono komnatę w zachodniej wieży. Ze względu na szczupłość miejsca przy tak wielu gościach, oprócz Alayne i Marguerite mieszkała tam jeszcze

jedna dama. Uśmiechając się na powitanie, powiedziała, że ma na imię Ellen.

- Jestem kuzynką matki barona Foultona - dodała. - Opiekowałam się nią podczas ostatniej choroby. Biedaczka zmarła, bądź jej łaskaw, Panie. Potem zostałam na zamku. William to mój narzeczony. Mamy się pobrać na wiosnę.

Alayne pogratulowała jej rychłego ślubu, choć nie była pewna, jakie życie czeka tę młodą dziewczynę w tak nieprzyjemnym miejscu. Do komnaty, którą zajmowały, pośpiesznie wstawiono trzy grubo ciosane łóżka. W dzień można było je rozsunąć, żeby na środku zrobić nieco więcej miejsca. Resztę umeblowania stanowił jeden kufer, stółek i ława. Alayne pomyślała, że jeszcze nigdy w życiu nie spała w tak nędznych warunkach. Cieszyło ją, że zabrała większość swoich rzeczy z Banewulf.

- Własny pokój oddałam na potrzeby królewskiego dworu - powiedziała Ellen, jakby chciała się usprawiedliwić. - Moja pokojówka, która tu zazwyczaj sypia, musiała się przenieść do alkowy. Czeka nas bieda. Williamowi ledwie wystarczy pieniędzy, by ponieść wszystkie koszty związane z tą wizytą.

- Dwór na pewno ma swoje wymagania - zgodziła się Alayne. Wyobraziła sobie, ile potrzeba samego jadła i napojów, żeby dobrze wyżywić tak liczne grono osób. Wszak oprócz gości była jeszcze służba. - Ale to wielki zaszczyt.

- Och tak. - Twarz Ellen pojaśniała nieskrywaną dumą. - William doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Cieszy się z zaufania króla, chociaż zdaje sobie sprawę, że w przy-

szłym roku będziemy musieli zacisnąć pasa. Ale na pewno jesteście głodne i zmęczone. Zaraz każę przynieść nieco wina i jakieś potrawy.

Wyszła. Marguerite zrobiła zboląłą minę.

- Piękna to ona nie jest - zauważyła. - Chyba nie ma lepszych widoków na przyszłość. Mimo wszystko nie chciałbym być tutaj kasztelaną. Mokro, zimno, ponuro.

- Cicho - zmiętygowała ją Alayne. - Dziewczyna ma swoje zalety, choć może rzeczywiście nie grzeszy urodą. Nie każda dama musi być ładna. Ale odnośnie zamku, całkowicie się z tobą zgadzam. Okropne miejsce. - Podobny zamek był własnością świętej pamięci sir Humbolta i odruchowo budził w niej przykre wspomnienia.

- Podobnie jak gospodarz - skrzywiła się Marguerite. - Chyba nie polubię Williama Foultona. Zupełnie mi się nie podoba to, jak patrzy na innych.

- Masz rację - zgodziła się Alayne. - Nie wiem, czy można mu ufać. Na szczęście po świętach wyjedziemy. Czas szybko minie, a póki co, nie mamy większych powodów do narzekań.

Marguerite wprawdzie pokiwała głową, lecz jeszcze przez dobrą chwilę utyskiwała na warunki, w których przyszło im mieszkać. Nawet posiłek nie poprawił jej humoru. Wino okazało się cienkie i nieco kwaśne.

Ellen nie przyszła. Alayne zastanawiała się, czy zrobiła to przez grzeczność wobec nowych gości, czy też może przypadkiem usłyszała fragment ich rozmowy i poczuła się obrażona.

Jednak wieczorem podczas uczyty na cześć króla Ellen postępowała całkiem normalnie, choć zachowywała większy dystans niż z początku. Alayne nie chciała jej obrazić nawet przypadkowym słowem, postanowiła więc beztronską rozmową zatrzeć niemiłe wrażenie.

Obie z Marguerite zostały przedstawione królowi. Henryk okazał się krzepkim mężczyzną o wyrazistych rysach twarzy; powitał je uprzejmie. Bardziej zainteresowała go Alayne niż Marguerite. Na koniec wyraził życzenie, że chciałby ją jak najczęściej widywać na dworze, oczywiście w towarzystwie sir Ralpa. Chyba już słyszał o propozycji ślubu. Być może nawet uznał to za pewnik. Jego domysły nikogo nie dziwiły, bo przecież dobrze znał Eleonorę i wiedział, że umiała postawić na swoim.

Alayne przeżywała moment głębokiej rozterki. W głębi serca od samego początku wiedziała, że jej małżeństwo jest nieuniknione, skoro królowa wzięła sprawy w swoje ręce. Mimo to nawet przed obliczem króla powstrzymała się od jednoznacznej odpowiedzi. Sir Ralph obiecał, że nie będzie jej do niczego przymuszał. Zdażyła poznać go już na tyle, aby wiedzieć, że zawsze dotrzymawał raz danego słowa.

Pierwszy wieczór na zamku Hardacre jako żywo przypominał dni, które Alayne spędziła w Poitiers. Podano sporo mięsniwa, świeże karpie z pobliskiego stawu, gołębie w winie, pieczeń z dzika i łabędzia pływającego po płytkim jeziorze z zawiesistego sosu. Po uczcie weszli kuglarze, grajkowie i akrobaci. Oczywiście nie brakowało tańców i błazenady. Aby uczcić narodziny Pana, grupa mimów przed-

stawiała odpowiednie misterium, odtwarzając wydarzenia najświętszego dnia w całym kościelnym roku.

W przeddzień mszy z okazji świąt Bożego Narodzenia do wielkiej sali naniesiono zielonych iglastych gałęzi. Świeży i ostry zapach lasu mieszał się z wonią ziół rozsypanych na podłodze i dymu z pochodni wiszących na ścianach. Okolica tonęła w świeżym śniegu. Było tak zimno, że oddech zamarzał na wąsach starszych mężczyzn.

Tego wieczoru Alayne jadła raczej niewiele. Siedziała po lewej stronie stołu, w pewnej odległości od króla, za to po prawej ręce miała barona Foultona.

- Nie smakuje ci, lady Alayne? - spytał gospodarz i uniósł brwi ze zdziwienia. - Prawie nie tknęłaś nic z talerza.

- Och nie... Chodzi zupełnie o coś innego, panie. Nie przywykłam do tak sutych potraw, zwłaszcza sosów. Nocą leżą mi na żołądku. W zamian z ochotą zjem nieco lekkiego ciasta.

Z uznaniem pokiwał głową.

- Widzę, że masz doprawdy skromne wymagania. Sir Ralph będzie szczęśliwym małżonkiem.

- To nic pewnego, sir - odparła zaczerwieniona Alayne.

- Co ty powiesz? - Błysnął oczami. Nie rozumiała jego zachowania. - Słyszałem o tym od najjaśniejszego pana. Czyżbym coś źle zrozumiał?

- Jeszcze nie dałam żadnej odpowiedzi - wyjaśniła Alayne, coraz bardziej zdziwiona reakcją gospodarza. Odniosła wrażenie, że próbował ją przed czymś ostrzec. Ale przed czym? - Ten ślub to przede wszystkim pomysł królo-

wej Eleonory. Nie rozmawiałam o tym z sir Ralphem w żaden wiążący sposób.

- A zatem dobrze się zastanów, lady Alayne. Czasami trudno zrozumieć mojego szwagra - powiedział baron. Alayne aż się wzdrygnęła na widok utajonej złości w jego spojrzeniu. Teraz już była całkiem pewna, że źle życzył sir Ralphowi. - Niektórzy uważają go za ponuraka, ale Berenice była z nim szczęśliwa. Przynajmniej na początku. Pod koniec życia wydawała się smutna i pełna żalu.

Alayne wydawało się, że jakaś zimna dłoń spoczęła na jej plecach. Co to wszystko znaczy? A może baron Foulton był przekonany, że Ralphowi nie wolno ufać?

- Słyszałam, że zachorowała... - Urwała, widząc grymas nienawiści na twarzy Williama. Najwyraźniej oskarżał szwagra o śmierć siostry. - Uważasz, panie, że coś między nimi zaszło? Wszyscy twierdzą, że Ralph był oddany żonie...

- A ona jemu. - William Foulton przymknął powieki, jakby nie chciał do końca zdradzać swoich uczuć. Wbił wzrok w kielich z winem i zapadł w ponure milczenie.

Alayne nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Już na początku wyczuwała fałsz w jego zachowaniu, lecz nienawiść do sir Ralpha okazała się dużo głębsza, niż można by sądzić po pozorach. Co było tego przyczyną? Nie znajdowała żadnego innego powodu poza oskarżeniem o śmierć Berenice.

Sir Ralph głęboko przeżył śmierć żony. Alayne zauważyła, z jakim smutkiem myślał o niej nawet po tak wielu latach. Może baron Foulton z natury był podejrzliwy?

Wyglądał na zawistnego, złośliwego człowieka. Alayne w głębi serca szczerze współczuła jego przyszłej żonie.

Jakiś czas potem, po skończonej uczcie, król Henryk wezwał do siebie Alayne. Poprzedzana przez służbę podeszła bliżej. Król właśnie rozmawiał z jednym ze swoich notabli. Odprawił go ruchem dłoni i zwrócił się do Alayne:

- Podejdź bliżej, pani.

Alayne dygnęła i dała krok naprzód, niespokojna, co też monarcha ma jej do powiedzenia.

- Jest naszym zwyczajem o tej porze roku spełniać różne prośby wiernych poddanych - zaczął z uśmiechem król. - Niedawno dostaliśmy list od twojego ojca, w którym domagał się, abyś jak najszybciej wróciła do domu. Czy to jest także twoim życzeniem? Ponoć ojciec wybrał ci kandydata na męża.

Alayne zbladła jak ściana. Świat zawirował jej przed oczami i przez moment myślała, że zemdleje.

- Nie, wasza królewska mość - powiedziała, z najwyższym trudem zmuszając się do spokoju. - Błagam cię, abyś odmówił życzeniu mego ojca. Chce wydać mnie za człowieka, którego nie kocham i nie szanuję.

- Tak mi właśnie mówiono. Co gorsza, za człowieka, który został wygnany z dworu w Poitiers za pogwałcenie najświętszych zasad rycerstwa. - Król Henryk zmrużył oczy i uważniej przyjrzał się Alaynie. Była naprawdę piękna. Wymarzona niewiasta dla każdego mężczyzny i wspinała nagroda dla dzielnego rycerza. - Czy w takim razie zgadzasz się poślubić sir Ralpha de Banewulfa?

Alayne wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że dłużej nie może zwlekać z odpowiedzią. Nie miała wyboru. Ślub albo powrót do Francji, do ojca i nieunikniony związek z de Braceyem. Baron de Robspierre wyraźnie nie zamierzał zrezygnować. A skoro tak czy owak musiała wyjść za mąż... Znała tylko jednego mężczyznę, z którym mogła pozostać do końca życia. Człowieka, który w jej oczach w pełni zasługiwał na miano rycerza.

Nie było rady. Przeczuwała, że sir Ralph da jej choćby namiastkę szczęścia.

- Jeśli sir Ralph wciąż jest skłonny uczynić mnie swoją żoną, to z chęcią za niego wyjdę, najjaśniejszy panie.

Król uśmiechnął się z zadowoleniem. Sir Ralph nie prosił go o wstawiennictwo, lecz z listu Eleonory jasno wynikało, że był najlepszym kandydatem na męża dla pięknej Alayne. Wszyscy mogli na tym skorzystać. Wszak dziewczyna potrzebowała ochrony przed knowaniami chciwego i zachłannego ojca, a de Banewulf wciąż wodził za nią rozpłomienionym wzrokiem.

Henryk nie chciał się wtrącać, ale nie mógł pozwolić, aby dzielny rycerz pograżył się w melancholii po śmierci Berenice. Król miał wobec niego całkiem inne plany. Wiedział, że kraj stoi na krawędzi powstania lub wojny domowej. W Anglii wrzało jak w ulu, a to głównie za sprawą zdradzieckich namiestników, którzy do niedawna korzystali z łask króla, aby teraz go zdradzić. Najgorszym wicherzycielem okazał się Thomas Becket. Henryk potrzebował wszystkich swoich ludzi.

- Cieszy nas to, milady - powiedział. - Osobiście

zawiadomię sir Ralpha, że ślub odbędzie dzień po mszy na Boże Narodzenie. - Odprawił ją ruchem ręki. - Idź teraz i baw się dalej. Widzę, że już stoi do mnie długa kolejka petentów.

Alayne rozejrzała się i zobaczyła, że wokół stołu istotnie czekali notable z prośbami do króla.

Skłoniła się i odeszła. Serce zabiło jej gwałtownie, kiedy spostrzegła, że sir Ralph właśnie zmierzał w jej stronę. Przystanąła. Zbliżył się z tym samym uśmiechem, co zawsze. Teraz jednak kości zostały rzucone i nie mogła już uciec przed wyrokiem losu. Za dwa dni miała zostać żoną sir Ralpha i na stałe zamieszkać w Banewulf. Obiecał, że ich małżeństwo będzie tylko z nazwy, ale czy po ślubie dotrzyma słowa?

- Alayne... - odezwał się Ralph i coś w jego głosie sprawiło, że na chwilę wstrzymała oddech. - Właśnie cię szukałem. Mam dla ciebie niewielki prezent.

- Ja też coś przygotowałam, panie - powiedziała nieśmiało. - Drobnny dar w podziękę za całą życzliwość, jaką mi okazałeś. Zostawiłam go w komnacie. Myślałam, że dopiero jutro...

Zrobiła dla niego pas z najprzedniejszej skóry, z sylwetkami wilka i niedźwiedzia, naszywanymi paciorkami i złotą nicią.

- Z chęcią go przyjmę - odparł Ralph. - Mój prezent powinnaś obejrzeć dzisiaj, zanim udamy się na mszę.

Popatrzył na nią tak tęsknie, że serce w niej zamarło. Stanęli w cieniu ogromnej kolumny, podtrzymującej wysoko sklepiony sufit wielkiej sali. Ralph sięgnął do sakiew-

ki wiszącej u pasa, wyjął niewielkie jedwabne zawiniątko i podał je Alayne.

- To dowód mojej wiary. Wręczam ci go i uroczyście proszę, żebyś została moją żoną.

Alayne drżącą dłonią przyjęła zawiniątko. Pomyślała, że rycerz musiał dużo wcześniej słyszeć o intencjach króla. Rozwinęła jedwab i ujrzała ciężki złoty krzyżyk, nabijany perłami i rubinami. Cudowna rzecz, którą mogła nosić na wstążce na szyi.

- Piękne... - szepnęła, zachwycona. - To będzie mój największy skarb - dodała.

Wyciągnęła do niego rękę, a on odwrócił ją delikatnie i złożył pocałunek na jej dłoni. Alayne poczuła dreszcz rozkoszy. Z rozchyłonymi ustami wpatrywała się w twarz sir Ralpha. Po chwili wahania przyciągnął ją bliżej i drugim pocałunkiem musnął jej karminowe wargi. Pogładził ją po policzku i odstąpił pół kroku. Alayne przycisnęła rękę do piersi, szeroko otwartymi oczami patrzyła na rycerza.

- Co odpowiesz? Zechcesz wyjść za mnie?

- Tak - wyszeptała niemal bez tchu. Wszystkie wątpliwości zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. - Z chęcią... i zgodnie z królewskim rozkazem.

- Z jakim rozkazem? - Ralph zmarszczył brwi, wyraźnie zdziwiony. - Co to znaczy? O niczym nie wiem, Alayne.

Zauważyła chłodny błysk w jego oczach i się zająknęła. Chętnie cofnęłaby ostatnie słowa. Przez chwilę myślała, że ich małżeństwo okaże się szczęśliwe, ale teraz Ralph stał się znów zamknięty w sobie i odległy.

- Najjaśniejszy pan otrzymał list od mojego ojca z proś-

ba, abym natychmiast wracała do Francji i wyszła za człowieka, którego mi wybrał na męża. Kiedy błagałam go, żeby mnie nie odsyłał, spytał, czy chcę zostać twoją żoną, panie...

- I oczywiście się zgodziłaś - burknął Ralph. - Co mogłaś innego zrobić? Zmuszono cię do tej decyzji. Wybacz mi, Alayne. To nie leżało w moich zamiarach. Nigdy króla o nic nie prosiłem.

- Nie złość się - powiedziała i ostrożnie dotknęła jego ręki. - Uświadomiłam sobie dużo wcześniej, że to dla mnie jedyne wyjście. Jedyne i najlepsze. Nie chcę wracać do pustego życia w Poitiers. W twoim domu byłam szczęśliwa. Myślę, że mogłabym tam zostać na zawsze.

- To prawda? - spytał. Wpatrzył się w nią takim wzrokiem, jakby chciał sięgnąć do najgłębszych zakamarków jej duszy. Mimo to wciąż udawało mu się panować nad emocjami. - Postanowiłaś przyjąć moją propozycję jeszcze przed rozmową z królem Henrykiem?

- Tak... Tak. To właśnie miałam ci powiedzieć.

- W takim razie powinniśmy się pobrać tu, na miejscu, jeszcze przed wyjazdem. Najpóźniej pojutrze chciałbym ruszyć w podróż powrotną do Banewulf.

- Niech tak będzie. Zresztą to jest zgodne z życzeniem najjaśniejszego pana.

- W takim razie musimy go usłuchać. - Ralph zacisnął usta w wąską linię. - Moje dawne przyrzeczenie wciąż pozostaje w mocy, Alayne. Ów pocałunek sprzed kilku chwil niczego nie zmienił. Nasze małżeństwo będzie tylko z nazwy. Nie zmuszę cię do niczego, co byłoby wbrew

twojej woli. - Rozchmurzył się i podał jej ramię. - Zdaje się, że dwór wybiera się do kaplicy. Pozwolisz, że będę ci towarzyszył?

- Oczywiście, milordzie. Z największą przyjemnością.

Wyciągnęła do niego drżącą rękę. Zatem mieli się pobrać; zgodziła się zostać żoną wspaniałego człowieka i dzielnego rycerza. Chciała z nim pędzić życie z jednym jedynym wyjątkiem, który wciąż budził w niej najgorsze obawy.

Ralph zaklął pod nosem, wchodząc do komnaty. Niech diabli porwą Henryka i jego dworskie intrygi! Po jakie licho się wtrącał? A już miał nadzieję, że uda mu się w pełni zdobyć zaufanie Alayne, że będzie żoną nie tylko ze strachu, ale także z miłości.

Obiecał, że wbrew jej woli nie pójdzie z nią do łóża, i zamierzał dotrzymać przyrzeczenia, chociaż wiedział, że przyjdzie mu to z dużym trudem. Alayne była tak piękna i kusząca... Jej usta wydawały się wręcz stworzone do pocałunków.

Być może nie zdawała sobie sprawy, jak silnie działa na mężczyzn. W Poitiers uważał ją za uwodzicielkę, ale w ciągu minionych tygodni zdołał poznać ją dużo lepiej. Była piękniejsza, niż mogło wydawać się na pierwszy rzut oka, piękniejsza duchem, a nie tylko ciałem. W rękach dobrego męża stałaby się przecudowną żoną. Niestety, zbyt wcześnie została skrzywdzona. Musiał uzbroić się w cierpliwość, aby przemóc jej lęki, a także okazać jak największą delikatność.

- Boże, dopomóż mi - rzekł schrypniętym głosem.

- Niechaj umrę, zanim zupełnie bezwiednie zrobię jej coś złego.

Czuł się związany słowem. Musiał więc zaczekać, aż sama przyjdzie do niego. Tylko wtedy mógł dać jej szczęście, a zarazem sam być w pełni szczęśliwym.

Alayne wolała pozostać na zawsze w Banewulf, niż trafić w ręce rodziny de Braceyów. A to przecież wcale nie znaczy, że mnie kocha.

Rozdział siódmy

- Cudnie wyglądasz! - zawołała Marguerite do Alayne, pomagając jej włożyć ślubną suknię.

Był to prosty biały przyodziewek, okryty niebieską spódnicą wyszywaną srebrem i uzupełniony ciemną peleryną, lamowaną futrem. Prezent od sir Ralpa, przyniesiony rano. Mówiąc ściśle: jeden z wielu prezentów, jakimi ją zasypał ostatnimi dniami. Ten jednak szczególnie przypadł jej do gustu, bo chronił przed zimnem.

- Zrobiłaś dobry wybór, Alayne - paplała Marguerite.

- Sir Ralph to porządny i szlachetny człowiek.

- Rycerz bez skazy - odparła Alayne. Nie mogła powstrzymać się od cichego śmiechu. - Lubię go i podziwiam. Skoro muszę mieć męża, to chcę najlepszego.

- Za to mój ojciec jest mocno rozczarowany - z udawaną troską westchnęła Marguerite. - Liczył na to, że zatrzyma sir Ralpa dla mnie. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. Może przychylniej spojrzy na de Froissarta. Mam nadzieję, że Pierre jeszcze pamięta o mnie

i może się oświadczy przy następnym spotkaniu? - dodała rozmarzonym tonem.

- Szczerze ci tego życzę - powiedziała Alayne i serdecznie ucałowała przyjaciółkę. - Z całego serca pragnę, abyś była szczęśliwa. Dobrze wiem, że go kochasz. Myślę, że przyjdzie pora, kiedy baron to doceni.

- Niestety, wciąż nic nie wiem o jego prawdziwych uczuciach - zasmuciła się Marguerite. - Kiedy się dowie, że wyszłaś za mąż, to pewnie weźmie mnie „w zastępstwie”.

- Och! - zawołała Alayne. - Nie wolno ci tak mówić. Po co się niepotrzebnie dręczysz? Jestem pewna, że baron kocha cię na swój sposób. Sama mówiłaś, że próbował zalecać się do ciebie. To ty go odepchnęłaś. Tylko dlatego spojrzął na mnie. Jeśli się dowie, że wciąż za nim tęsknisz, na pewno wróci. Zrozumie, że jesteś dla niego stworzona.

- Być może... - Marguerite uśmiechnęła się ze smutkiem. - Chciałabym, żeby był blisko, nawet jeśli mnie nie kocha. Nie należy być zarozumiałym i dumnym w miłości. .. - Urwała, bo właśnie ktoś zapukał. W progu stał młody paż.

- Czego tu szukasz?

- Mam list dla lady Alayne - odpowiedział.

- Daj mi go.

- Powiedziano, że mam go dostarczyć do rąk własnych.

Alayne podeszła do drzwi, wzięła pismo i podziękowała mu w kilku uprzejmych słowach. Paż zaczerwienił się i jak zmyty uciekł po kamiennych schodach, wiodących w dół wieży.

- To pewnie od sir Ralphi - powiedziała Marguerite,

ale zaniepokoiła się, widząc pobladłą Alayne. - Co się stało? Odwołał ślub?

- To nie od niego - odparła Alayne. Wyciągnęła przed siebie drżącą rękę. - Nawet nie ma podpisu.

Marguerite przebiegła wzrokiem koślawe litery. Skrzywiła się z niesmakiem.

- Cóż to za błazeństwo! Fui! Okropność! Jak ktoś mógł ci przysłać coś takiego w dniu ślubu? Są na świecie okrutni ludzie...

Alayne doszła do siebie po pierwszym zaskoczeniu. Anonimowy autor listu w niewybrednych słowach oskarżał sir Ralpha o zamordowanie żony, lady Berenice.

- Ten, kto to napisał, nienawidzi sir Ralpha - szepnęła przez ściśnięte gardło. - Taki zarzut mógł się zrodzić jedynie w chorym umyśle.

- Potworne kłamstwo - ze złością burknęła Marguerite. - Musisz pokazać to Ralphowi i ostrzec go przed nieznanym wrogiem. Takie słowa nie mogą pozostać bez kary.

- Tak - natychmiast zgodziła się Alayne. - Chyba powinien o tym wiedzieć. - Zabrała list z rąk przyjaciółki i schowała go w małym kuferku, w którym trzymała inne dokumenty. - Ale nie dzisiaj. To zepsułoby mu humor, a przecież czeka nas wesele.

- Masz rację - powiedziała Marguerite. - Poza tym to zwykła bzdura. Ktoś wyraźnie chciał ci dokuczyć w dniu ślubu. Najlepiej zrobisz, jak wszystkim pokażesz, że znalazłaś szczęście u boku sir Ralpha. Tym najbardziej ośmieszysz nadawcę tego listu.

Alayne w duchu przyznała rację przyjaciółce. Dumnie

uniosła głowę i podjęła postanowienie, że nikt i nic nie zakłóci dzisiejszej ceremonii. A list? To osobna sprawa. Ralph rzeczywiście powinien o tym wiedzieć. Domyśliła się, kto mógł być autorem. Porozmawiam z Ralphem, obiecała sobie, za kilka dni, kiedy już bezpiecznie dotrzemy do Banewulf.

Z uśmiechem zeszła z wieży do wielkiej sali, gdzie czekała reszta weselników. Uroczystość miał poprowadzić osobisty kapelan króla, a Henryk wziął na siebie rolę pierwszego drużby.

Alayne dostała w prezencie od króla ciężki złoty łańcuch, wysadzany szmaragdami, o którym krążyły pogłoski, że odwracał złe czary i leczył z wielu chorób. Na sir Ralphi - gdyby tylko zechciał - czekało ważne stanowisko na dworze, z pensją stu złotych marek rocznie.

Panna młoda z lekkim biciem serca przyglądała się zgromadzonym gościom. Po jednej stronie stał król i jego świta, strojni w futra i długie tuniki przetykane złotem, po drugiej gospodarze. Mężczyzn było więcej niż kobiet. Nieco z tyłu dostrzegła tę twarz, której szukała. Widniał na niej wyraz zapiekłej nienawiści. Czyżby spodziewał się, że nie będzie ślubu? - zadała sobie w duchu pytanie Alayne.

Jeszcze wyżej uniosła głowę i z promiennym uśmiechem podeszła do sir Ralphi, który wziął ją za rękę. Alayne stanęła u jego boku.

Jak przez mgłę słyszała monotonna litanie świętobliwego sługi. Wydawało jej się, że to wszystko, co się

wokół działało, dotyczyło kogoś innego. Nie umiała do końca zapanować nad strachem i dłoń jej drżała, kiedy Ralph wkładał złoty pierścień na jej palec. Dopiero widząc spokój na twarzy małżonka, poczuła, że też nie ma się czego obawiać.

Ten człowiek był zupełnie inny od barona Humbolta. Dzisiejszego wieczoru stał się jej obrońcą, mężem i opiekunem. Może w przyszłości przyjdzie taka chwila, że będzie mogła nazwać go kochankiem?

Wyjechali pospiesznie, chociaż uczta wciąż trwała. Sir Ralph w lot wykorzystał nagłą zmianę pogody i oznajmił wszystkim, że muszą ruszać, by nie utknąć na dobre w czasie śnieżycy. Alayne domyślała się, że chciał jak najprędzej opuścić zamek szwagra. Prawdopodobnie zrobił to po części przez wzgląd na nią. Panna młoda była bowiem obiektem niewybrednych żartów ze strony szlachetnie urodzonych parów. Zaoszczędził jej także farsy związanej z nocą poślubną, chociaż od wdowy nie wymagano z rana wyraźnych „dowodów” w postaci krwi na prześcieradle.

Jechali aż do zmierzchu, a na noc stanęli w przydrożnym opactwie. Tutaj rozdzielono mężczyzn i kobiety. Alayne była zadowolona z towarzystwa służących, chociaż one na głos użalały się nad jej biedą.

- Powinnyśmy raczej zatrzymać się w gospodzie - powiedziała Bethel. Była ciemnowłosa, ładna i odrobinę pulchna. Wciąż się śmiała i bardzo lubiła towarzystwo mężczyzn.
- Albo zostać jeszcze przez parę dni na zamku, milady - dodała. - Szkoda, że nie możesz dziś być z mężem.

- Zaczekam, aż dotrzemy do Banewulf - odparła spokojnie Alayne. - Sir Ralph ciagnie do domu. Wszystkim nam się przyda trochę spokoju.

- To prawda - przytaknęła Louise. Była wyższa od Bethel, szczupła i bardziej zrównowazona. - W Banewulf jest cieplej niż w tym okropnym zamku. Nic dziwnego, że wszyscy tam biednie wyglądają.

- Uważaj, co mówisz - fuknęła na nią Alayne, lecz uśmiechnęła się przy tym. - Sama muszę przyznać, że z chęcią wyjechałam.

Baron Foulton dał jej w prezencie ślubnym ozdobny kielich do wina. Nie chciała go przyjąć, ale się uparł. Podziękowała raczej sztywno. Widziała po jego oczach, że zyskała sobie jeszcze jednego wroga. Był zły, że nie posłuchała jego ostrzeżenia. Nie należał do ludzi, którzy wybaczą podobną urazę.

- Przede wszystkim bądź zdrowa - powiedział. - Za wiele pięknych niewiast umiera w połogu. Mam nadzieję, że będziesz od nich dużo silniejsza, lady de Banewulf.

Alayne wiedziała, że w gruncie rzeczy chciał, aby cierpiała tak jak jego siostra. Uważał, że w ten sposób zemści się na byłym szwagrze.

- Dziękuję, panie - odparła. - Przyjmuję te życzenia z tą samą szczerością, z jaką zostały wygłoszone.

Odwrócił wzrok, aby broń Boże nie zdradzić prawdziwych uczuć, lecz domyśliła się, że strzał był celny. Zrobił wszystko, żeby ją odwieść od małżeństwa z sir Ralphem. Teraz przelał na nią część tej nienawiści, którą żywił do

szwagra. Musiała ostrzec męża, ale mogła poczekać, aż bezpiecznie dojadą do Banewulf.

W czasie podróży sir Ralph większość czasu spędzał z giermkami i służbą. Ktoś musiał dowodzić tą czeredą. Alayne miała do towarzystwa tylko Marguerite i dwie pokojówki. Mąż jednak czasami wstrzymywał konia, przez pewien czas jechał koło niej i wdawał się w rozmowę na temat okolicy lub mijanych osiedli.

- Do Londynu zjedziemy dopiero późną wiosną - odparł, kiedy Alayne wyraziła zdumienie, że wbrew wcześniejszym zapowiedziom, król wraz z dworem wybrał się na święta do Hardacre. - Tam zaprowadzę cię do najlepszych kupców bławatnych, żebyś mogła uszyć nowe suknie. Jeżeli jednak czegoś szybciej ci potrzeba, to mów śmiało, natychmiast sprowadzę to do Banewulf.

- Zabrałam do Anglii tylko część dobytku - wyjaśniła Alayne. - Najbardziej jednak tęsknię za moją drogą Perlitą. Wiem, że znalazła się pod dobrą opieką, ale na pewno czeka, kiedy po nią wrócę. Może udałoby się na przedwiośniu, gdy pogoda się poprawi, wysłać kogoś po moje rzeczy?

- A ty sama nie chciałabyś pojechać do Poitiers? - zapytał.

- Nie. Nic tam po mnie. Dobra po zmarłym mężu ponoć są moja własnością, ale nigdy nie próbowałam ich odzyskać,

- Zrobię to za ciebie - obiecał sir Ralph. - Skoro nie chcesz wracać, najlepiej będzie sprzedać je za okrągłą sumę. Wtedy mogłabyś kupić jakiś majątek w Anglii.

To była szczodra oferta, bowiem w myśl obowiązującego prawa cała jej własność powinna przejść w ręce męża. Sir Ralph jednak wyraźnie nie zamierzał skorzystać z tego przywileju.

- Jesteś moim małżonkiem - przypomniała mu Alayne. - Możesz więc zrobić, co zechcesz. Pod tym względem w pełni ci ufam, a kiedy już... - Chciała powiedzieć „wrócimy do Banewulf”, lecz w tej samej chwili słowa zamarły jej na ustach. Kątem oka zauważyła podejrzaną reakcję na skraju lasu. Ktoś ich śledził. Łucznik gotowy do strzału!

- Uważaj, panie! - zdążyła krzyknąć, a śmigła strzała zafurkotała w powietrzu.

Kto wie, co by się stało, gdyby Alayne nie wstrzymała konia i tym nagłym ruchem nie ściagnęła na siebie uwagi męża.

- Za nim! - zawołał sir Ralph, zresztą niepotrzebnie, bo co najmniej czterech z jego podkomendnych spostrzegło, co się stało, i już pędzili w ślad za umykającym niedoszłym skrytobójcą. - Sprowadźcie go żywego, jeżeli wam się uda!

Ralph spojrzął na pobladłą twarz żony.

- A niech go diabli! Jak go dopadną, będzie wisiął.

- Mogłeś zginąć. - Alayne drżała jak w febrze. - Dlaczego do ciebie strzelał? Wprowadziłam tam tylko jednego, lecz przecież inni mogą kryć się wśród krzewów. Kto to był?

- Pewnie rozbójnik w pogoni za łupem. Próbował nas zaskoczyć - odpowiedział Ralph. - Wielu ich kryje się po okolicznych lasach. Najczęściej polują na królewskie jelenie

i nieostrożnych wędrowców. Nie sędzę, aby czaiła się tu cała banda. Nie martw się, moi ludzie na pewno go znajdą.

- Nie jestem pewna, czy chodziło mu tylko o rabunek - odparła Alayne, z niepokojem patrząc na męża. Oboje byli bliscy śmierci, bo strzała śmignęła między nimi, ale coś jej podpowiadało, że łucznik mierzył w Ralpha. - Jak pojedynczy rabuś miałby okraść tak dobrze uzbrojony orszak? On chciał cię zabić.

- Ależ skąd! Niepotrzebnie się martwisz - zapewnił ją Ralph. Widział, że mocno przejęła się całym wydarzeniem. Jej piękna twarz była ściągnięta i blada. - Takie rzeczy zdarzają się zaskakująco często. Jechaliśmy z tyłu, w pewnym oddaleniu od reszty orszaku, myślał więc, że nas przestraszy i ucieknie z łupem.

Jednak Alayne nie dała się łatwo przekonać. Samotny bandyta zaszyłby się w lesie na widok tyłu zbrojnych. Nie, to na pewno był zdradziecki zamach. Pocisk był wymierzony w Ralpha.

- Myślę, że ktoś go wynajął, panie - powiedziała i strach chwycił ją za gardło, kiedy przypomniała sobie coś jeszcze. - Masz zawziętego wroga. W moim kufierku jest list, który powinieneś przeczytać, milordzie. Dostarczył mi go młody paż w dniu naszego ślubu. Autor listu oskarża cię o ohydny zbrodnię. Jego intencją było odwieść mnie od małżeństwa. Nie spodziewał się jednak, że nie uwierzę w kłamstwa. Postanowił zatem „ukarać” cię w inny sposób.

Ralph spoważniał i spojrzał żonie prosto w oczy.

- Dziękuję ci, że masz do mnie tak wielkie zaufanie, Alayne. Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

- Zamierzałam pokazać ci ten list po przyjeździe do Banewulf. Nie chciałam burzyć nastroju przed ślubem.

Ralph skinął głową. Przez dłuższą chwilę nie spuszczał wzroku z żony. Wciąż była blada i wystraszona. Pluł sobie w brodę, że mogła zginąć, a on nawet nie zdążyłby wyciągnąć ręki, aby ją obronić. Taki z niego opiekun?

- Domyślasz się, kto to napisał?

- Podejrzewam, że baron Foulton. Tuż przed mszą mówił mi o tobie różne niepochlebne rzeczy. Na pozór się uśmiechał, ale od początku wyczułam fałsz w jego zachowaniu. Zresztą Marguerite przyznała mi rację.

- Też to zauważyłem. - Ralph westchnął ciężko. Cień przemknął po jego twarzy. - Obawiam się, że William ciągle obwinia mnie o śmierć swojej siostry.

- Ale to przecież nie twoja wina! - zawołała Alayne. - Wiele kobiet umiera w gorączce po trudnym połogu. Nikt nie może mieć o to do ciebie pretensji!

- Chyba nie - mruknął Ralph, ale w jego oczach pojawił się smutek. - Berenice była nieszczęśliwa... zapewne przeze mnie.

- Możesz mi to wyjaśnić?

Zmarszczył brwi, namyślał się przez chwilę, a potem pokręcił głową.

- Innym razem - powiedział. - Kiedy nawzajem się poznamy trochę lepiej. Teraz myślę, że jak najszybciej powinniśmy znaleźć nocleg. Zaraz zapadnie ciemność. Nie chciałbym być na trakcie, w otoczeniu bandytów. Możemy wpaść w pułapkę.

Dalsza rozmowa się urwała, bowiem zbrojni otoczyli ich

ciasnym kręgiem. Orszak ruszył żwawo naprzód, aby przed wieczorem stanąć bezpiecznie w klasztorze.

Niecałe dwie godziny później Alayne znalazła się w skąpo umeblowanej celi, w której miała spać dzisiejszej nocy. Z powodu pośpiechu i niebezpieczeństwa nie miała czasu, żeby się głębiej zastanowić nad tajemniczą wypowiedzią męża. Dopiero teraz, przed zaśnięciem, mogła przemyśleć tę rozmowę.

Długo leżała w łóżku, wpatrując się w sufit, podczas gdy obie służące już pochrapywały smacznie na wąskich przyczach. Myślała o ostatnich wydarzeniach.

Dlaczego ktoś chciałby zabić sir Ralpha? Dlaczego lady Berenice miała być nieszczęśliwa? Przecież żyła u boku oddanego męża i spodziewała się pierwszego dziecka. Co ją tak przygnębiało? Była zmęczona ciążą czy też istniał inny powód?

Sir Ralph czuł się winny jej śmierci... Alayne zastanawiała się nad tym na wszelkie możliwe sposoby. W jej umyśle zrodziło się straszne podejrzenie. A jeśli anonimowy list, który dostała w dniu ślubu, zawierał chociaż część prawdy? Czyżby Ralph zrobił lub powiedział coś, co rzeczywiście mogło się przyczynić do śmierci lady Berenice?

Nie. Alayne natychmiast odpędziła te myśli. Przecież tego właśnie chciał nadawca listu. Usiłował zburzyć jej spokój, zniszczyć zaufanie... Za żadne skarby świata nie mogła pozwolić, żeby podstępnie wygrał.

Widok Banewulf przywrócił jej poczucie bezpieczeństwa. Podróż zabrała im kilka dni, chociaż jechali wyjątkowo szybko. Robiło się coraz zimniej. Wciąż przybywało śniegu. Ostatnie mile brnęli w głębokich i niebezpiecznych zaspach. Z głębi lasu raz po raz dochodziło upiorne wycie głodnych wilków. Ten głos sprawiał, że ciarki przebiegały po plecach Alayne.

Ralph spojrział na nią, kiedy wjeżdżali na dziedziniec. Pierwszy zeskoczył z konia, podszedł do żony, wziął ją na ręce i delikatnie postawił na ziemi. Przez chwilę trzymał ją w objęciach. Wyglądała na zmęczoną i zdenerwowaną. Wydawała się mniej wesoła niż przed próbą zamachu.

- To była ciężka podróż - rzekł, z trudem powstrzymując gniew. - Coś mi się zdaje, że do wiosny posiedzimy w domu, milady. A teraz idź do swojej komnaty i odpocznij.

- Rzeczywiście jestem zmęczona - przyznała Alayne. - Trochę zmarłam, ale ogrzeję się przy ogniu. Nic mi nie będzie - dodała z uśmiechem, chociaż tęskniła za wypoczynkiem. Ralph ujmował ją swoją troską.

- Nie przywykłaś do takiej pogody. We Francji jest dużo łagodniejszy klimat. Trzeba uważać, żebyś nam się nie przeziębila.

- Tak łatwo się nie zaziębiam - zapewniła Alayne - ale dziękuję ci za dobre słowo, panie. - Nikt o nią tak nie dbał, może z wyjątkiem dawno zmarłej matki.

- Pchnąłem wcześniej posłańca z wieścią, że nadjeżdżamy. Twoja komnata powinna być w pełni gotowa. Wolę jed-

nak, byśmy kolację zjedli tylko we dwoje, w ciszy i spokoju. Ucztę z okazji naszego powrotu wydamy nieco później.

- To bardzo miłe z twojej strony, panie - odparła Alayne i zawahała się na moment. - W mojej komnacie?

- Chyba jest trochę za mała, ale tuż obok masz inną, dużo większą, izbę, pomiędzy dawnym pokojem mojej matki a komnatą, którą zajmuję od śmierci Berenice. Przeniosłem tam swoje rzeczy, kiedy była chora. Od tamtej pory nie mieszkalem w nowym skrzydle zamku.

Zatem zostanę w pokoju, który poprzednio zajmowałam, pomyślała Alayne. W drodze zastanawiała się, czy przypadkiem Ralph nie odda jej komnaty Berenice. Prawdę mówiąc, z niechęcią myślała o takiej przeprowadzce. Komnata, choć większa, wydawała się ponura. Ralph chyba także niechętnie tam chadzał. Zapewne nie chciał dopuszczać do siebie nieprzyjemnych wspomnień. Ale co to za druga izba?

- Jest jakiś pokój obok mojego? - zainteresowała się Alayne. - Nie widziałam tam drzwi.

- Są ukryte. Trzeba przesunąć część ściany, schowaną za jednym z gobelinów - odparł Ralph. - Pokażę ci, jak to działa. Możesz otworzyć ją z łatwością, lecz nic się nie bój, zamek jest tylko z twojej strony. Nikt nie zaskoczy cię, na przykład, w nocy.

Alayne zaczerwieniła się, kiedy pomyślała, że mąż mógłby złożyć jej niechcianą wizytę.

- Kiedyś jadali tam twoi rodzice?

- To najlepsze komnaty w całym dworze - odparł.

- Mój ojciec osobiście nadzorował budowę, gdy posta-

nowił powiększyć stary zamek. Po ślubie zająłem pokój w przeciwległym skrzydle, ale od kilku lat korzystam z tych dwóch komnat, które przylegają do twojej. Prowadzą do nich oddzielne schody, lecz matka najczęściej otwierała przejście, aby ojciec mógł do niej chodzić o dowolnej porze.

- Rozumiem... - Alayne złękła się, że Ralph także będzie od niej tego wymagał. Serce zabiło jej niespokojnie. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Przecież obiecał, że nie będzie narzucał jej swojej woli. Nadal pamiętał o zmarłej żonie. Najlepszy dowód, że nie mógł sypiać tuż obok jej dawnej komnaty. Alayne nagle poczuła mętlik w głowie. A jeśli miał jakiś inny powód? - Może kiedyś...

- Tylko wtedy, gdy sama tego zechcesz - przerwał jej Ralph i popatrzył na Alayne z głębokim namysłem. - Mam nadzieję, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi. Owszem, byłbym niezmiernie rad, gdybyś kiedyś wpuściła mnie do siebie, ale to musi być twoja świadoma decyzja.

Alayne odetchnęła z ulgą. Jak mogła po tylu dowodach szczerzej troski wciąż podejrzewać go o niecny zamiar? Nie powinna dawać posłuchu złośliwym kłamstwom.

- Ja również jestem pełna nadziei, że połączy nas najgłębsza przyjaźń - powiedziała. Mimo to czuła, że mięknie jak wosk pod jego palącym spojrzeniem. Pociągał ją tak, jak mężczyzna może pociągać kobietę. Alayne lekko rozchyliła usta. Jej oddech stał się nagle szybszy, a serce trzepotało w piersiach niczym ptak uwięziony w ciasnej klatce. Tak bardzo chciała znowu poczuć wargi Ralpha na swoich ustach... A jednak nadal bała się zbliżenia i intymności.

Zbyt dobrze pamiętała okropne przeżycia z poprzedniego małżeństwa. Odsunęła się o pół kroku.

- Za twoim pozwoleniem, panie, chciałabym pójść do siebie.

- Nie musisz ciągle pytać mnie o pozwolenie - zauważył Ralph. - Jesteś tu panią domu, Alayne. Możesz robić, co zechcesz. Minęło sporo lat od czasu, gdy porobiłem tu zmiany. Masz wolną rękę. Jeśli tylko zechcesz, zamówię nowe obicia i gobeliny...

- Nie ma piękniejszych od tych, które wyszły spod ręki twojej matki - przerwała mu w pół zdania. - Wiem, co mówię, bo trochę znam się na tym i mam nadzieję, że będę mogła przyozdobić twoje gospodarstwo własnymi pracami. Lubię dobierać nici i jedwabie. - Uśmiechnęła się. - Jednak nie zamierzam wprowadzać tu nowych porządków, milordzie. Polubiłam dwór Banewulf w jego obecnym kształcie.

- Cieszy mnie to - odparł Ralph i jak to miał w zwyczaju, delikatnie pogłaskał ją po policzku. Po chwili cofnął rękę. - Chciałbym, aby tak było zawsze.

- Nie wyobrażam sobie, żebym kiedykolwiek zmieniła zdanie. Czuję się, jakbym po wielu latach nareszcie wróciła do domu. Nawet w dzieciństwie nie zaznałam tyle dobroci, co u ciebie.

Ralph skinął głową, lecz nic nie powiedział. Popatrzył za Alayne, kiedy odchodziła pełnym gracji, a jednocześnie dumnym i sprężystym krokiem. Zachowała się wzorowo. Spostrzegła niebezpieczeństwo i nie tracąc przytomności umysłu, ostrzegła go przed tajemni-

czym strzelcem. Jego wrogiem rzeczywiście mógł być brat Berenice; ta myśl napełniała go głębokim przygnębieniem.

William zawsze zachowywał się dziwnie. Płakał na ślubie siostry. Berenice później przyznała się mężowi, że prosił ją, by została w domu.

- Gdyby mógł, chętnie zatrzymałby mnie na zawsze przy sobie - wyjawiała w pierwszych dniach małżeństwa.
- Bardzo mnie kocha.

Ralph pomyślał wtedy, że uczucie Williama wykracza poza braterską miłość. Nie podejrzewał go jednak o niecne czyny. Berenice była młoda i niewinna, kiedy Ralph się z nią ożenił. To nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Chorobliwa zazdrość Williama nie zniknęła. Berenice nawet pokłóciła się z mężem na ten temat.

Najwyższa pora zapomnieć o przeszłości, pomyślał de Banewulf, kiedy Alayne zniknęła za drzwiami. Mimo zasadzki nie bał się Williama i więcej nie zaprzętał sobie nim głowy. Może kiedyś popełnił błąd, ale teraz miał cudowną żonę i zamierzał uczynić wszystko, aby zaznała przy nim szczęścia.

Alayne zdjęła pelerynę i rozpuściła włosy. Usiadła przed kominkiem, żeby się uczesać. Bethel i Louise zajęły się bagażami. Alayne wciąż myślała o oszczerczym liście. Postanowiła go pokazać Ralphowi dziś wieczorem. Może rozpozna pismo? Wtedy dysponowałiby wyraźnym dowodem winy Williama Foultona.

- Podaj mi ten mały kufer - powiedziała do Louise, wi-

dząc, że pokojówka już się uporała z najcięższym bagażem.

Podniosła wieko i zajrzała do środka. List powinien leżeć na samym wierzchu. Jednak go tam nie było. Alayne spojrzała ponownie i wyjęła wszystkie pozostałe dokumenty. Pomyślała, że może w drodze gdzieś się zawieruszył. Ale nie... List zniknął.

- Co się stało, milady? - spytała Louise.

- Leżał tu pewien list - odparła Alayne. Zmarszczyła brwi. - Nigdzie go nie widzę. Chciałam go dziś pokazać sir Ralphowi.

- Jesteś pewna, pani, że chodzi o ten kufer? Może włożyłaś go, na przykład, do puzderka z biżuterią?

- Nie, raczej tutaj, ale na wszelki wypadek sprawdzmy.

Wystarczył jej jeden rzut oka, aby się upewnić, że w puzderku także nie było pergaminu. Ani w tajnej skrytce, nieznannej nikomu. - Pamiętam, że go kładłam tutaj. To było dokładnie w dzień mojego ślubu.

- W dzień ślubu, milady? - zawołała Bethel i podeszła bliżej. - Wysłałam wcześniej z kaplicy i poszłam do komnaty, by zabrać twoje rzeczy. Kuferek był otwarty. Zamknęłam go przy pakowaniu, ale nie wiedziałam, że coś z niego zniknęło. Myślisz, że ktoś mógł zabrać ten list, pani?

- Chyba tak - odparła Alayne. - Zresztą nieważne - dodała szybko i spojrzała na zatrwożone twarze obu pokojówek. Pokręciła głową. - O nic was nie podejrzewam. Chyba wiem, kto to zrobił.

- Idąc na górę, minęłam na schodach barona Foultona - powiedziała Bethel - Może to on, milady?

- Zapewne nigdy nie poznamy właściwej odpowiedzi - odrzekła Alayne, bo nie chciała dzielić się swoimi podejrzeniami ze służbą. - Możecie odejść.

Pokojówki wyszły z komnaty. Alayne przez kilka minut siedziała pogrążona w głębokiej zadumie. Sam list nie był aż tak ważny, aby się nim przejmować. Gorzej, że baron Foulton wyraźnie nie zamierzał zrezygnować z ataków na sir Ralpha de Banewulfa. Najwyraźniej też chciał skłócić małżonków. Oby ów tajemniczy łucznik okazał się tylko banitą. Alayne wiedziała jednak, że to niemożliwe.

Czy Ralph był świadom, że baron Foulton jest jego zawziętym wrogiem? Skąd się brała tak wielka nienawiść Williama? I dlaczego oskarżał Ralpha o śmierć swojej siostry?

Wieczorem Alayne włożyła błękitną suknię, wyszywaną srebrem i czekała w komnacie na Ralpha. Wcześniej odprawiła obie pokojówki i samotnie usiadła przed kominkiem. Zapisywała coś w dzienniku. Słyszając pukanie, powiedziała „Proszę!” Skrzypnęły drzwi i Ralph stanął w progu.

- Jesteś zajęta? - spytał. Spojrzał na oprawny w skórę notatnik, który Alayne przed chwilą zamknęła i odłożyła na stół. - Sprawdzasz stan swego majątku?

- Nie - odparła z uśmiechem. - Na razie nic nie mam. Spodziewam się, że z czasem powierzysz mi pieczę nad swoimi rachunkami, panie. Od dawna przejawiałam wyraźne skłonności do liczb. Lubię, jak wszystko jest w porządku. Masz wiele zajęć, mogę więc wyręczyć cię w tak

przyjemnych sprawach. W tej chwili po prostu zrobiłam wpis do dziennika. Chcę przygotować kilka ważnych listów i obawiałam się, że mogę o czymś zapomnieć.

- Posłaniec będzie gotów, jak tylko się uporasz z korespondencją - obiecał jej sir Ralph. - I jeśli to dla ciebie naprawdę nie kłopot, chętnie cię wprowadzę w księgi rachunkowe. Chyba że wolisz, aby zrobił to za mnie rządcą.

- Tak będzie nawet lepiej - powiedziała Alayne. - Porozmawiam z nim w ciągu najbliższych dni. Najpierw muszę dokładnie poznać domowy inwentarz i do tego celu już z góry sporządziłam odpowiednie rubryki. - Otworzyła notatnik i wskazała Ralphowi odpowiednie miejsce.

- Masz bardzo ładne i wyraźne pismo - pochwalił ją - ale pamiętaj, że nie możesz za bardzo się przemęczać. Berenice nie poradziła sobie z rachunkami. To ją przerażało. Niestety, byłem za głupi, żeby ją zrozumieć. Nie pamiętałem, że była jeszcze bardzo młoda i niedoświadczona. W domu William pomagał jej przy pisaniu listów. Sama tego nie potrafiła.

- Dam sobie radę - zapewniła go z dumą Alayne. - Przed wyjazdem zauważyłam kilka drobnych rzeczy, które, moim zdaniem, warto by naprawić. Masz dobrą i oddaną sobie służbę, panie, ale wyraźnie brak tu kobiecej ręki. Twój zamek potrzebuje energicznej kasztelanki.

- Jesteś mądrzejsza od Berenice. Zawsze uważałem, że praca uszlachetnia... Mam rację?

- Oczywiście. W Poitiers, mimo rozlicznych zabaw i festynów, niemal każdy dzień dłużył mi się w nieskończoność. W domu mojego... pierwszego męża nieustannie wyszuki-

wałam sobie coś do roboty. Potrzebowałam odosobnienia, ale nie chciałam być bezczynna.

- Mam nadzieję, że tutaj nie zechcesz uciekać w samotność. - Ralph spojrzał *jej* prosto w oczy. Alayne szybko otrząsnęła się ze złych wspomnień.

- Och nie - powiedziała. - Zobaczysz, jak pieczołowicie zadbam o twój majątek, panie.

- Spodziewam się, że znajdziesz trochę czasu choćby na wspólną przejażdżkę, na małą pogawędkę?

- Oczywiście. Z największą przyjemnością - obiecała ze śmiechem. Serce zabiło jej gwałtownie, kiedy ujrzała ciepły błysk w jego oczach. W takich chwilach miała ogromną ochotę rzucić mu się w ramiona. - Nie możesz zbyt wiele godzin poświęcać wyłącznie dla mnie - dodała przekor-
nym tonem. - Wiem, że masz ważne obowiązki.

Ralph umilkł i bezwiednie pogrążył się we wspomnie-
niach. Berenice była przygnębiona, bo myślała, że się na nią gniewał za jej nieudolność. Potem oskarżała go, że ją zaniedbuje. „Wciąż jesteś czymś zajęty” - powtarzała. Początkowo śmieszyły go jej humory, ale z czasem zaczęło mu to przeszkadzać.

Wkrótce potem baron Foulton przyjechał z wizytą do Banewulf. Berenice poszła z nim na spacer po lesie. Wrócili dopiero pod wieczór. Dzień był wyjątkowo chłodny, więc Ralph się niepokoił, bo dobrze wiedział, że jego żona jest słabego zdrowia. Rzeczywiście się przeziębila. Nie przeszkadzało jej to jednak w następnych przechadzkach. Dopiero po wyjeździe Williama legła w łóżku, wołając, że jest bardzo chora. Ralph rozżłościł się nie na żarty, sklął

szwagra pod nosem i nauragał żonie. W odpowiedzi usłyszał, że jej wcale nie kocha.

- Nie bądź głupia - warknął. - Jesteś moją żoną. Wciąż się o ciebie troszczę.

- Ale ja mówię o miłości! - krzyknęła. - William mnie kocha, a ty mną pogardzasz! Nigdy mnie nie kochałeś!

Niestety, Ralph w tym czasie był już w pełni świadom popełnionego błędu. Młoda i ładna Berenice mogła się podobać i budzić pożądanie, lecz nie rozumiała jeszcze wielu spraw, których próbował ją nauczyć. Uważała, że to jej zupełnie niepotrzebne. Ralph oddalił się od niej, a ona coraz więcej czasu spędzała z jego najlepszym przyjacielem, Christianem.

Teraz Ralph myślał o nieżyjącej żonie zupełnie inaczej. Żle ją wtedy oceniał. Znow ogarnęło go poczucie winy, że przyczynił się do jej śmierci. Smutek sprawiał, że stawał się nieczuły na wdzięki kobiety, którą przed kilkoma dniami uczynił swoją żoną.

- Pokażę ci ukryte przejście - powiedział. Podszedł do ściany i odsunął grubą draperię. Alayne zobaczyła nagi kamienny mur. Ale to było tylko złudzenie. Ralph wsunął dłoń w szczelinę w spoinie, namacał żelazną dźwignię i pociągnął. Alayne ze zdumieniem patrzyła, jak mur drgnął i z cichym szmerem zaczął się przesuwać. Przez otwór w ścianie zobaczyła sąsiednią komnatę i zastawiony do wieczery stół. Nie brakowało jadła i wina. Jasno płonące świece i pochodnie tworzyły ciepły i przyjemny nastrój.

- Nie ma tu kominka - wyjaśnił Ralph. Wziął żonę za

rękę i przeprowadził przez tajemne przejście - ale świece powinny nam wystarczyć.

- W zupełności - odparła Alayne.

Ralph podsunął jej krzesło - jedno z tych, które przedtem stały w pokoju zajmowanym przez Marguerite. Alayne się uśmiechnęła.

- Ogromnie lubię takie kameralne warunki...

- Odwieczną tradycją było, że kasztelan jadał ze swoimi ludźmi w wielkiej sali - wyjaśnił Ralph. - Czasami każdy potrzebuje chwili odosobnienia, większej prywatności. Będziemy tu zagładać, kiedy tylko zechcesz.

- Och tak. To bardzo dobry pomysł.

- Wydałem polecenie, aby dzisiejszego wieczoru nam nie przeszkadzano. Nikt się nie sprzeciwiał, bo wszyscy uznali, że to nasza pierwsza prawdziwa noc poślubna.

- Tak... - Alayne poczuła się nieswojo, ale strach zaraz zniknął. Ralph nalał jej kieliszek wina. Zupełnie nie sprawiał wrażenia, jakby za chwilę miał się na nią rzucić. Przeciwnie, od czasu rozmowy o zmarłej żonie wydawał się smutny. - Dziękuję. Na początek spróbuję zimnej kury i świeżego chleba.

Powoli popijając wino, przyglądała się, jak Ralph zręcznie kroił mięso na półmisku. Potem przełamał chleb i wzięli się do jedzenia. Po pewnym czasie wrócił mu dobry humor. Śmiał się i dowcipkował o trudnościach związanych z prowadzeniem majątku. Spoważniał dopiero wtedy, gdy wspomniał o problemach dręczących wieśniaków. W zeszłym roku zaraza zebrała obfite żniwo, zwłaszcza w osadach. Zmarło wielu mężczyzn.

- Zostały po nich wdowy i sieroty, którym trzeba pomóc - dodał. - Dobrze, że choroba nie dotarła w nasze okolice. Najbliższa osada została zdziesiątkowana. Straciłem kilku dobrych rzemieślników, z którymi już od dawna utrzymywałem serdeczne kontakty.

- Kiedy byłem dzieckiem, ojciec nieopatrznie zabrał mnie do pewnej wsi, która okazała się źródłem zarazy. Zmarła moja stara niania i paru służących. Wszyscy obawiali się, że ja też podzielę los tych nieszczęśników. Mimo to nie zachorowałam. Stara zielarka powiedziała mi, że są tacy ludzie, którym niestraszna wszelka niemoc.

- Też to słyszałem - powiedział Ralph. - Ponoć nawet zajmują się chorymi, a sami nie chorują. Jednak nigdy nic nie wiadomo. Może po prostu się nie zaraziłaś?

- Sęk w tym, że to nie był pojedynczy przypadek - odparła Alayne. - Rok przed pierwszym małżeństwem pod moją opiekę trafili konający z ojcowskiego majątku. Nie wiele im mogłam pomóc, lecz przynajmniej starałam się, aby odeszli w mniejszych bólach. Nauczyłam się, jak łagodzić niektóre objawy. W dwóch czy trzech przypadkach gorączka minęła i chory wyzdrowiał.

- To cudownie! - Ralph spojrział na Alayne z niekłamanym podziwem. Rzykowała życie, zajmując się chorymi. Na pewno się bała, a jednak... - Jak to zrobiłaś? Od kogo nauczyłaś się tej niezwyklej sztuki?

- To kwestia przygotowania odpowiedniej mikstury warzonej z ziołami i wonnym olejem. Zapoznał mnie z nią pewien arabski lekarz. Przyjechał do Francji, by wyleczyć magnata, którym opiekował się wcześniej w Ziemi Świę-

tej. O ile mi wiadomo, jego pacjent zmarł, ale wielu innych udało się uratować. Pomagałam mu, a on w zamian przekazał mi część swojej wiedzy i nauczył, jak mieszać właściwe składniki.

- Słucham tego jak baśni, Alayne. To niezwykła wiadomość. Potrafisz leczyć ludzi.

- Tak, panie. Po pewnym czasie już sama leczyłam swoich przyjaciół. Jednak trzeba być bardzo ostrożnym. Ludzie boją się tego, czego nie rozumieją. Widzą w tym rękę diabła albo czary.

Ralph smętnie potrząsnął głową.

- To szaleństwo, żeby w majestacie prawa mordować niewiasty, które chcą tylko pomóc bliźnim w najgorszym nieszczęściu...

- Wszystko zależy od tego, co się stanie z chorym. Jeżeli wyzdrowieje, rodzina uważa zielarkę za anioła. Jeżeli jednak umrze, mówią o złym oku i tym podobne.

- Wiesz to z doświadczenia?

- Mój mąż ciągle to powtarzał przed śmiercią - odparła Alayne i na jej pięknej twarzy zagościł grymas.

- Oskarżał mnie, że rzuciłam na niego urok, i dlatego spadł ze schodów. Kiedy mu próbowałam pomóc, krzyczał, że chcę go zabić. Na szczęście nikt go nie słyszał, bo cała służba chowała się w najdalszych kątach zamku. Bali się go jak ognia. Podejrzewam, że pod koniec życia po prostu oszalał z bólu. Nie zawsze zdawał sobie sprawę z tego, co mówił.

- Bardzo cierpiełaś? - cicho zapytał Ralph. Dostrzegł, że nagle posmutniała, dodał więc prędko: - Przepraszam.

Nie powinienem pytać. Niektórych rzeczy lepiej nie wspominać.

- Tak... Te wspomnienia są bardzo bolesne - przyznała Alayne. - Chyba nie powinnam robić z nich tajemnicy. Zwłaszcza przed tobą, panie. Może wtedy lepiej zrozumiesz, dlaczego tak bardzo opierałam się przed powtórnyim małżeństwem...

Opowiedziała mu o wszystkim. Ralph ani na chwilę nie spuścił z niej oka, nawet wtedy, gdy z pociemniałą twarzą wyliczała najgorsze przekleństwa i obelgi, jakimi obrzucał ją sir Humbolt. Kiedy skończyła, przez kilka minut siedział w milczeniu i patrzył na nią jak oniemiały. Alayne trochę się złękła w głębi ducha. Powiedziała za dużo? Żaden uczciwy człowiek nie chciałby wysłuchać tylu okropności.

- Aż wierzyć się nie chce, że mąż mógł w ten sposób potraktować żonę, z którą kilka dni wcześniej stanął przed ołtarzem - rzekł w końcu Ralph. - I te słowa... Nic dziwnego, że chowasz głęboką urazę.

- Jesteś zły, że nie powiedziałam ci tego wcześniej? Uważasz mnie za zhańbioną?

- Raczej dziwię się, że zdołałaś zachować dziewictwo i wrodzoną dumę - odparł Ralph. - W imieniu własnym i wszystkich mężczyzn, których widzisz w Banewulf, pokornie błagam cię o wybaczenie grzechu, jaki popełnił wobec ciebie potwór, bezprawnie mieniący się twoim mężem. To wstyd dla nas.

- To nie był mężczyzna, tylko właśnie potwór. Przed chwilą sam go tak nazwałeś - powiedziała Alayne. - Nie winię cię za okrucieństwo mojego pierwszego męża, mi-

lordzie. Ty jesteś zupełnie inny. Masz swoje ideały. Marguerite nazwała cię kiedyś „rycerzem bez skazy”, Wierzę, że miała rację.

W oczach Ralpha błysnęło rozbawienie, ale zdołał zachować poważną minę.

- Daleko mi do doskonałości, o której wspominała lady Marguerite. Owszem, próbuję żyć zgodnie ze swoim sumieniem i traktuję innych tak, jak sam chciałbym być traktowany, ale jestem raczej „rycerzem nieudolnym”.

- Nieudolnym? - Alayne roześmiała się, zdając sobie sprawę, że to żarty. Ralph także się uśmiechnął i ponury nastrój rozwiął się jak dym. Ralph wstał i wziął żonę za rękę. Alayne spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Dokąd mnie prowadzisz, panie?

- Nie widziałaś jeszcze mojej komnaty - odparł uspokajającym tonem. - Mam tam kilka rzeczy, które mogą wydać ci się interesujące. Powiedziałaś mi, że potrafisz leczyć. No cóż, ja też zyskałem pewne doświadczenie pod tym względem.

To wystarczyło, żeby obudzić jej ciekawość. Powinna mieć do niego większe zaufanie, jeżeli chciała kiedyś naprawdę być jego żoną. Wiedziała już, że jej nie skrzywdzi.

Komnata Ralpha była większa niż komnata jego matki. Znajdowały się w niej kufry, skrzynie i szafki. Niektóre stały otwarte, inne były zamknięte na ciężkie żelazne skobele i duże kłódki. Ralph uchylił drzwi masywnej szafy i odsłonił przed wzrokiem zdumionej Alayne półki pełne małych dzbanków i drewnianych pudełek. Zauważyła też kilka bezcennych szklanych fiolek.

- To lekarstwa i środki przeciwko truciznie - wyjaśnił. Trzymam je w ukryciu, bo niektóre z nich równie łatwo leczą, jak i zabijają. W razie potrzeby daję medykowi tylko to, co mu istotnie potrzeba. W ten sposób mam całkowitą pewność, że nie dojdzie do pomyłki. Teraz jako moja żona dostaniesz drugi klucz do tej szafy, abyś mogła dysponować jej zawartością w czasie, gdy, na przykład, wyjadę na obchód włóści.

- Dziękuję ci za tak ogromne zaufanie, milordzie - odpowiedziała lekko zapłoniona Alayne. - Nie znam się jednak na tym. Moja wiedza jest nikła i raczej powierzchowna. Arabski lekarz szybko wyjechał, a wiejskie zielarki nauczyły mnie tylko najważniejszych rzeczy. Takich, które wie każda dobra gospodyni.

- Mam księgę, napisaną przez mądrego opata, który przez wiele lat był mi przyjacielem. Zawarte w niej są nazwy wszystkich leków, wraz ze sposobem działania i odpowiednią dawką - wyjaśnił Ralph. - A poza tym nie chcę, żebyś brała na siebie całą odpowiedzialność za leczenie chorych. Chodzi jedynie o to, aby medyk z Banewulf za twoim przyzwoleniem mógł korzystać z tej szafy. Powiadomię go, że pod moją nieobecność ma się zwracać do ciebie.

Alayne popatrzyła na nazwy wypisane na pudełkach i dzbankach. Niektóre z nich skreślono po arabsku. Tych nie umiała przeczytać. Inne były po francusku i angielsku.

- Sporo to kosztowało - zauważyła mimo woli. Z zaciekawieniem spojrzała na Ralpha. - Dajesz je wszystkim chorym, panie? Bez względu na urodzenie?

- Tak - odparł - ale jak wiesz, nie każdego da się wyle-

czyć. Życie i śmierć są w rękach Boga. Niektórzy sądzą, że nie nam mieszać się w jego sprawy.

- Wiem. - Alayne wzdygnęła się lekko. - Jeszcze raz chcę ci podziękować za ufność, jaką we mnie pokładasz, milordzie.

- Ty pierwsza obdarzyłaś mnie wielkim zaufaniem - powiedział z prostotą. - Nie umiałem inaczej ci się odwdziżyć. Musimy sobie wierzyć, Alayne. Z czasem staniemy się szczerymi przyjaciółmi, a może kiedyś...

- Właśnie - szepnęła wzruszona. Niewiele brakowało, aby w tej chwili pozbyła się wszelkich zahamowań i rzucała w ramiona męża. Chciała uciec od hańby, w której cieniu samotnie żyła przez tak długie miesiące. Jednak nie mogła mieć pewności, że sir Ralph ją naprawdę kocha.

- Jeśli wybaczysz mi, szlachetny panie - dodała niewyraźnym tonem - to... to chciałabym powiedzieć ci już „dobranoc”. Miałam dziś dużo wrażeń...

- Oczywiście - odparł bez wahania. - Możesz wracać do siebie. Pamiętaj jednak, że moje drzwi zawsze stoją dla ciebie otworem. Przychodź, gdy będziesz smutna albo nieszczęśliwa. Postaram się zaradzić twoim wszelkim troskom. Chcę, żebyś czuła się tu jak najlepiej.

- Jesteś dla mnie za dobry, milordzie. - Alayne niewiele myśląc, pocałowała męża w policzek i cofnęła się szybko. - Życzę ci spokojnej nocy.

- I ja tobie. - Ralph spoglądał za nią, kiedy przechodziła przez środkowy pokój do swojej komnaty. Po chwili usłyszał zgrzyt zamykanego przejścia. Westchnął z głębi piersi.

- Śpij dobrze, milady, chociaż ty - powiedział do siebie. Nie wiem, czy dzisiaj w ogóle zdołam zasnąć.

Zamknął drzwi apteczki i schował klucz do sakiewki wiszącej u pasa. Potem wrócił do stołu i nalał sobie wina. Gruba ściana, dzieląca go od komnaty Alayne, tłumiła wszelkie dźwięki. Mimo to widział oczami wyobraźni, co się tam teraz działo. Alayne zdejmowała suknię, czesała się przed lustrem, poprawiała pościel...

Była piękna i godna pożądania. Pragnął ją mieć dla siebie. Wiedział o tym już we Francji, ale teraz, kiedy ją poznał bliżej, nabrał absolutnej pewności, że Alayne jest dla niego stworzona.

To istne ucieleśnienie idealnej żony: czuła, mądra, urocza... Ach, gdybyż znał ją dawniej! Oboje uniknęliby niepotrzebnego bólu i rozczarowania. A tymczasem... Ona ciągle nosiła w sercu niezabliźnioną ranę, on zaś nie potrafił sobie poradzić z przygniatającym poczuciem winy.

Teraz, gdy znał już przeszłość Alayne, nie chciał narzucać jej się z miłością. Nie był też pewien, czy ona kiedyś zdoła go pokochać. Przecież za sprawą okrutnego męża dawno nabrała przekonania, że małżeństwo jest nierozdzielnie związane z grzechem i cierpieniem.

Bardzo jej pragnął, lecz musiał uzbroić się w cierpliwość. Przypomniał sobie pocałunek w dzień Bożego Narodzenia. Wtedy myślał, że jest mu chętna - ale dzisiaj?

Berenice początkowo z uśmiechem czekała na jego pieszczoty. Potem zaczęła się odwracać i drżeć, kiedy jej dotykał. Nigdy jej nie skrzywdził, chociaż zdarzało się, że czasem okropnie go złościła. Ale za to uczynił niejedną pokutę.

Nie chciał, żeby Alayne także go odepchnęła. Gdyby zobaczył strach w jej oczach, serce pękłoby mu z rozpacz.

Nie będę jej do niczego zmuszał. Wolę sam cierpieć katusze. Wprawdzie jest moją żoną, ale obiecałem jej czułość i opiekę bez żadnych zobowiązań. Dotrzymam słowa. Może kiedyś sama da mi do zrozumienia, że chce, aby nasze małżeństwo stało się prawdziwe.

Rozdział ósmy

Nazajutrz rano Alayne wstała bladym świtem. Zjadła lekkie śniadanie we własnej komnacie i wezwała do siebie Mornę Grey. Okazało się, że córka rządcy z ochotą przyklasnęła zamiarom nowej pani.

- Od dawna uważam, że w majątku potrzebny jest spis inwentarza - powiedziała. - Obawiałam się tylko, że niestety, sama sobie z tym nie poradzę. Nie mam wystarczającej władzy i autorytetu, a żadna ze służących nie umie pisać, milady.

- Będziemy robić notatki na bieżąco, a wieczorem przepiszę je na czysto do rejestru - odparła Alayne. - Przypuszczam, że to zajęcie co najmniej na kilka tygodni, jeśli doliczyć sprzęty i przedmioty, które znajdują się w rządziej używanych izbach i komnatach.

- Właśnie - zgodziła się z nią Morna. - Niektóre pomieszczenia są wielkości alkowy i na ogół służą za podręczny magazyn. Jestem pewna, że lady de Banewulf - mówię o matce sir Ralphi - przechowywała tam takie rzeczy, o których nikt z nas nie ma pojęcia. W odróżnieniu od

niej, lady Berenice w ogóle tym się nie zajmowała. - Pokręciła głową i westchnęła ze smutkiem. - W ostatnich tygodniach życia bardzo rzadko opuszczała swoją komnatę.

- To bardzo przykre - powiedziała Alayne. - Na pewno źle się czuła.

- Tak, milady. Sir Ralph ogromnie się martwił. Pod sam koniec desperacko próbował ratować żonę, ale ona jakby straciła chęć do życia.

- Rozumiem - odparła Alayne. Wyczuwała, że Morna czeka na następne pytanie, lecz postanowiła powściągnąć ciekawość. Gdyby tylko chciała, sir Ralph o wszystkim by jej powiedział. Nie musiała zatem rozmawiać z nikim innym o tak delikatnych sprawach. - Nie możemy jednak wciąż myśleć o przeszłości, panno Grey. Mamy za wiele do zrobienia.

- Tak jest, milady - powiedziała Morna i poweselała. - Od czego zaczniemy?

- Na początek weźmiemy się za pościel - stwierdziła Alayne. - To chyba pierwsza rzecz, o której powinna wiedzieć dobra kasztelanka. Potem pójdą naczynia, srebra i zastawy. Wreszcie przejdziemy się po wszystkich komnatach i spisujemy meble. Pominie tylko zbrojownię. To domena mojego męża. Ja chcę mieć pełny wgląd w resztę gospodarstwa.

- Oczywiście, milady - przytaknęła Morna. Stało się dla niej oczywiste, że nowa pani domu zamierza przewrócić dwór do góry nogami i wymieść ze wszystkich kątów stare pajęczyny. Najwyższa pora, pomyślała. Po śmierci lady Berenice nikt tym się nie zajmował. Ona sama nie miała tyle władzy, żeby zastąpić lady de Banewulf. - Została spi-

żarnia. Tam na pewno zastaniesz wszystko w najlepszym porządku, pani.

Alayne usłyszała niekłamana dumę w jej głosie i domyśliła się, że wspomniana spiżarnia stanowiła oczko w głowie panny Grey.

- Rozumiem, że to miejsce pozostaje pod twoją szczególną opieką - powiedziała z uśmiechem. - Bardzo się z tego cieszę. Nie zamierzam wprowadzać zasadniczych zmian - dodała, żeby uspokoić ewentualne obawy córki rządcy. - Myślę, że będziemy pomagać sobie nawzajem. Zawsze można nauczyć się czegoś nowego. Znam kilka dobrych przepisów na różne potrawy. Chętnie się z tobą nimi podzielę.

- Och tak, milady - ochoczo przytaknęła Morna. - lesiem tego samego zdania. Lubię się uczyć, a z drugiej strony będę wręcz szczęśliwa, jeżeli spojrzysz w moje zapiski i znajdziesz w nich coś ciekawego.

Alayne pokiwała głową. Była pełna energii i z ufnością patrzyła w przyszłość. Cieszyła się, że nareszcie ma tyle do zrobienia. Przez całe życie marzyła o takiej sytuacji. Pierwszy raz od dawna spokojnie przespała noc, obudziła się wypoczęta i wreszcie szczęśliwa. Nie musiała bać się własnego męża, a kiedyś... może kiedyś...

Na razie zamierzała mu pokazać, że jest dobrą żoną i gospodynią. Chciała, aby w przyszłości pokochał ją tak mocno. .. jak ona jego kochała.

Minał tydzień od ich przyjazdu do Banewulf. Ranek był wyjątkowo mroźny. Alayne, okutana w ciepłą pelery-

nę, wyszła na dziedziniec, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Z jej ust unosiły się wątle obłoczki pary. Przeszła się, a potem zawróciła, marząc już, że na powrót zasiądzie przy kominku.

- Lady Alayne!

Zatrzymała się i odwróciła, patrząc na tego, kto ją zawołał. Widywała go już ze dwa razy. Zawsze wpatrywał się w nią uporczywie. Był to ten sam człowiek, którego zapamiętała z uczyty podczas pierwszego pobytu w Banewulf. Nawet spytała Ralpha, kto to taki. Odpowiedział jej, że to mistrz Brendon.

- Dzień dobry, panie medykusie - przywitała go uprzejmym tonem. - Właśnie szłam do wielkiej sali, żeby trochę ogrzać się przy ogniu.

- Jest bardzo zimno - odparł mistrz Brendon. - Jeszcze nie przywykłaś do angielskiej pogody, pani.

- To prawda, ale mój mąż powiada, że śniegi szybko miną i nadejdzie wiosna. To najpiękniejsza pora roku, prawda?

- Wiosna to czas rui i porubstwa - odparł z dziwnym błyskiem w oku. - Wszyscy uganiają się na podobieństwo marcowych zajęcy. Wkraczają na ścieżkę diabła i dążą do grzechu. Bóg wszystko widzi i ukarze winnych.

- Czy to źle, że wiosną chłopak skradnie całusa dziewczynie? - wesoło spytała Alayne. - Moim zdaniem, nie zrobi jej niczego złego. Bóg z pewnością spoziera nieco łaskawszym wzrokiem na takie pieszczoty. To tylko niektórzy mnisi krzywią się na widok niewinnej zabawy.

- Lepiej uważaj, co mówisz, szlachetna pani - powiedział lekarz. - Są tacy, co uznaliby to za bluźnierstwo.

Alayne milczała przez chwilę. Zastanawiała się nad odpowiedzią, bo wyczuła wrogość w zachowaniu medyka. Zanim zdążyła coś wymyślić, zobaczyła Ralpha idącego w jej stronę. Skinęła głową Brendonowi i pobiegła na spotkanie męża.

- Zmarzłaś? Masz czerwony nos - zażartował Ralph. Wziął ją za rękę. - Chodź, usiądziemy przy ogniu, napijemy się grzanego piwa i porozmawiamy.

- Naprawdę zmarzłam - odparła z uśmiechem. - Z wytęsknieniem czekam na zmianę pogody, milordzie.

Zupełnie zapomniała o spotkaniu z medykiem. Mistrz Brendon był osobliwym, nieprzystępnym człowiekiem, ale w gruncie rzeczy kimś całkiem bez znaczenia. Alayne była szczęśliwa w Banewulf, i nic nie mogło tego zmienić.

Szczerze chciała zaprzyjaźnić się ze wszystkimi mieszkańcami dworu. Jak dotąd jej się to udawało. Po cóż więc miała przejmować się starym dziwakiem?

Przez następne dni uporczywie próbowała wyrzucić go z pamięci, ale wciąż wyczuwała jego posepną obecność. Trochę ją to niepokoiło. Pobyt w Banewulf upływał tak przyjemnie, że nie wyobrażała sobie, by mogła żyć gdzie indziej.

Nareszcie wiosna! Zima była naprawdę ciężka. Śnieg leżał tygodniami, lecz w końcu zmienił się w brudne, gęste błoto. Drogi stały się nieprzejezdne i niewielu gości zaglądało do Banewulf. Tylko jeden dzielny posłaniec przedarł się z listami do sir Ralpha. Alayne pierwszy list dostała dopiero pod koniec marca.

Tego ranka była u swojej sokolicy. Ralph sprowadził

Perlitę do Anglii wraz z innymi rzeczami żony, które przed wyjazdem zostawiła w Poitiers. Ptak bardzo szybko przywykł do nowego otoczenia i, podobnie jak jego pani, wydawał się szczęśliwy. Alayne odebrała list, gdy wróciła z ptaszarni do domu.

Od razu rozpoznała pismo ojca. Przygotowała się więc na niemiłe słowa. Tymczasem okazało się, że baron de Robspierre serdecznie gratulował jej wyboru tak bogatego i wpływowego męża. Pochwalił jej rozsądek i na koniec wyraził nadzieję, że młodzi małżonkowie odwiedzą go we Francji.

- Chcesz tam pojechać, Alayne? - spytał Ralph, kiedy powiadomiła go o wszystkim. - Latem możemy ruszyć w drogę.

- Nie - odpowiedziała zdecydowanym tonem. - Tu mi dobrze i wcale nie tęsknię za jego towarzystwem. Choć nie mam nic przeciwko temu, żeby do nas przyjechał. Oczywiście za twoim pozwoleniem.

- Nie musisz pytać mnie o pozwolenie, żeby zaprosić ojca lub przyjaciół - odparł Ralph i uśmiechnął się serdecznie. - Niczego nie umiem ci odmówić. - Ujął ją za rękę i delikatnie pogładził po dłoni.

Za każdym razem, kiedy jej dotykał, przebiegał ją przyjemny dreszcz. Zateęskniła do jego pieścizot. Już dawno się przekonała, że nie musi się go obawiać. Teraz to już nie strach, ale raczej duma nie pozwalała jej na coś więcej. Nie chciała błagać go o miłość; wciąż wierzyła, że w głębi serca kocha Berenice.

- Napiszę ojcu, że go zapraszasz - powiedziała, przymy-

kając oczy, aby ukryć nagłe zakłopotanie. - Mówiąc szczerze, nie marzę o tym, żeby go znów zobaczyć, ale nie mogę mu zabronić odwiedzin.

- Nie skrzywdzi cię - obiecał Ralph. - Dopóki żyję, wszyscy będą cię traktować z należnym szacunkiem, Alayne. - Znów uśmiechnął się serdecznie i czule, czym przyprawił ją o drżenie serca.

- Wiem, że jestem przy tobie zupełnie bezpieczna, milordzie - powiedziała. - Mam do ciebie pełne zaufanie.

- To dla mnie ogromny zaszczyt, Alayne - odparł z wesołym błyskiem w oczach. Był w dobrym humorze.

- Milordzie... - Alayne gwałtownie zaczerpnęła tchu. Chciała go zapytać, czy przypadkiem nie pomyślał o tym, jak by tu pogłębić ich dotychczasowy związek. Zawahała się i przegapiła okazję, bo w tej samej chwili zjawił się na zamku zdyszany posłaniec.

- Wybacz, panie... pani... - wyjąkał młody paż, wyraźnie przestraszony, że widzi ich oboje. - Nie zamierzałem ci przeszkadzać, milordzie, ale mam ważne wieści ze wsi. Wygląda na to, że chorują. Ponoć już trzech ludzi zmarło.

Sir Ralph zmarszczył brwi. Zgniewało go nagłe wtargnięcie posłańca, ale natychmiast pomyślał o swoich poddanych.

- To nie zaraza - orzekł. - Ta przychodzi jedynie latem, w czasie największych upałów. Wiesz coś więcej? - zagadnął pazia.

- Tylko to, że chorzy mają wysoką gorączkę - padła odpowiedź. - Dziś rano zachorował jeden z naszych zbrojnych. Dopiero wtedy wyszło na jaw, co się dzieje we wsi.

- Jeden z naszych? - powtórzył Ralph. Nie pytał, jak to się stało. Dobrze wiedział, że po skończonej służbie zbrojni chętnie wędrowali do wsi, aby zabawiać się z dziewczkami, które im wcześniej wpadły w oko.

- Sam go obejrzę. A ty wezwij medyka.

- To właśnie medyk kazał mi przyjść do ciebie, panie - odparł paż. - Pokornie prosił, abys zjawił się jak najszybciej.

Ralph podniósł się i ruszył do wyjścia. Alayne położyła mu rękę na ramieniu.

- Pozwolisz, że pójdę z tobą, milordzie?

- Nie tym razem - odparł i uśmiechnął się do niej łagodnie. - Będiesz mi potrzebna, jeśli zachoruje któryś z domowników. Nie powinnaś zanadto ryzykować.

- Sam podejmujesz to ryzyko - zauważyła.

- Zachorował jeden z moich ludzi. Muszę być teraz przy nim. To mój obowiązek, lecz zapewniam cię, że będę nad wyraz ostrożny. Poza tym nie obawiam się gorączki. Zараza to co innego. Na przedwiośniu często pojawiają się różne choroby.

Alayne skinęła głową i cofnęła rękę. Nie zamierzała go dłużej zatrzymywać. Na jego miejscu postąpiłaby tak samo, gdyby chodziło, na przykład, o jedną z jej pokojówek.

Po odejściu Ralpha zasiadła nad niedokończonym gobelinem, ale nie potrafiła skupić się na pracy. Zawsze denerwowała ją wieść o chorobie, bo cierpiącym niewiele można było pomóc. W wielu przypadkach obserwowała drastyczne zabiegi lekarzy. Zastanawiała się, ilu pacjentów umierało od takiej kuracji. Nie wtrącała się jednak, bowiem medycy-

na stanowiła zawód zastrzeżony dla mężczyzn. Każdy medyk zazdrośnie strzegł swojej pozycji. Niesforna niewiasta mogła zostać oskarżona o czary i postawiona przed sądem kościelnym. Wyrok był znany z góry: śmierć.

Po pewnym czasie wstała od robótki, wyszła na dziedziniec i dalej, do ogrodu. Wiosenne kwiaty nieśmiało wychylały główki z czarnej ziemi. Było chłodniej niż wczoraj. Alayne zadygotała i postawiła wrócić do domu.

- Zimno dzisiaj, prawda?

Odwrociła się, słysząc głos młodego giermka.

- Tak, bardzo zimno - potwierdziła z uśmiechem. Giermek podszedł do niej. Zawsze jej szukał, kiedy tylko miał chwilę wolną od codziennych obowiązków. - Ćwiczyłeś dziś rano? Zeskanowała Anula, przerobiła pona.

- Tak, milady - z zapalem odparł Robert Greaves. - Mój mistrz mówi, że niedługo pasują mnie na rycerza.

- Zuch z ciebie - orzekła Alayne. - Sierżant sir Ralpha na ogół nie jest skłonny do pochwał. Musiałeś czymś się zasłużyć.

- Chyba tak - mruknął Robert i nagle posmutniał. - To oznacza, że wkrótce będę musiał wyjechać z Banewulf. Inaczej nie zdobędę pasa i złotych ostróg. Sir Ralph już rozmawiał o mnie z najjaśniejszym panem. Pojadę na dwór królewski.

- To prawdziwy zaszczyt.

- Owszem... Ale ja nie chcę wyjeżdżać.

- Och... - Alayne w lot zrozumiała, co chciał jej powiedzieć. Uważała, że chłopak trochę za bardzo się do niej

przywiązał, ale nie odpędzała go, to byłoby zbyt okrutne.
 - Wszystkich młodych mężczyzn czeka to samo. Wiesz co, Robercie? Jestem przekonana, że spodoba ci się na królewskim dworze. Może tu kiedyś wrócisz, lecz na razie musisz słuchać rozkazów króla. Nie masz wyboru.

- Będę za tobą tęsknił, pani.

- I za wszystkimi przyjaciółmi - podkreśliła Alayne. - Na pewno znajdziesz nowych i wkrótce o nas zapomnisz.

- Nigdy o tobie nie zapomnę!

- Nie mów w ten sposób - zmiękczyła go Alayne. Zmarszczyła brwi. - Możesz być tylko moim przyjacielem, Robercie. Dobrze o tym wiesz.

Zaczerwienił się i umilkł.

- Wybacz, pani - powiedział po chwili. - Tak mi się wyrwało. .. Teraz na pewno mnie odpędzisz.

- Nie, lecz musisz mi obiecać, że to więcej się nie powtórzy.

- Masz na to moje słowo, pani - odparł Robert i w tej samej chwili zobaczył sir Ralpa. - Twój małżonek zdążył w tę stronę.

- Ralpie - Alayne podbiegła do męża - co z chorym?

- To jeden z moich najlepszych ludzi - odpowiedział z wyraźnym zafrasowaniem. - Poci się i ma gorączkę. Nie podoba mi się jego wygląd. Obawiam się, że może umrzeć.

- Może twój medyk zdoła go jednak uratować, milordzie.

- Brendon mówi, że wszystko w rękach Boga - odparł.

- Dał mu jakieś lekarstwo, ale gorączka nie spadła. Zanim odszedłem, wspominał coś o puszczaniu krwi.

- Jeśli ten człowiek jest tak osłabiony, to upływ krwi może mu tylko zaszkodzić - zaniepokoiła się Alayne.

- Czy ja wiem. - Ralph wzruszył bezradnie ramionami.
- Muszę zaufać lekarzowi. Po to się kształcił. Na pewno umie dużo więcej od nas.

- Być może - powiedziała Alayne, chociaż miała ustalony pogląd w tej sprawie. Musiała jednak milczeć. Gildia Lekarzy uparcie broniła wstępu kobietom do swego szacownego grona. Tolerowała tylko opiekunki, a i te musiały postępować ściśle według zaleceń doktora. Takie było niepisane prawo, i Alayne nic na to nie mogła poradzić. - Tak, mistrz Brendon bez wątpienia najlepiej zna się na tych sprawach - dodała, skromnie pochylając głowę. - Módlmy się, aby nie było więcej zachorowań.

- Bóg nas ochroni - odparł Ralph i z uśmiechem spojrział na młodego giermka.

- Dobre wieści, Robercie. Na pewno nie będziesz chory. Przeszedł rozkaz, że masz natychmiast stawić się na dworze.

- Na dworze? - z podnieceniem powtórzył chłopak. - Tak szybko?

- Twoja reputacja zdążyła cię wyprzedzić - wyjąwił Ralph. - Jedź, chłopcze. Masz moje błogosławieństwo. Oddaję ci w prezencie konia oraz zbroję, którą używałeś tutaj. Ucz się pilnie i postępuj zgodnie z zasadami kodeksu rycerskiego. Nie przynieś mi wstydu, Robercie.

- Byłeś dla mnie najlepszym panem. Na pewno wiesz, że zawsze będę bronił twojego dobrego imienia - przyrzekł giermek, klękając przed sir Ralphem.

- Teraz służysz królowi - przypomniał mu rycerz. - Jednak sprawisz mi radość, jeśli usłyszę o twoich sukcesach. Może wrócisz do Banewulf, o ile król ci pozwoli.

Robert zerwał się na równe nogi. Przez chwilę tęsknie patrzył na Alayne, a potem krótko skinął głową i pospiesznie ruszył, aby przygotować się do drogi.

- Chyba dobrze się stało, że Henryk wezwał go do siebie - rzekł Ralph, spoglądając za giermkim. - Chłopak jest w tobie zakochany.

- Tego się właśnie obawiałam. - Alayne uśmiechnęła się, kiedy na nią spojrział. - Nie, nie w ten sposób, milordzie. Robert jest bardzo podobny do ciebie i nigdy by nie skrzywdził kobiety. Myślę, że to dobrze przede wszystkim dla niego. Taka miłość sprowadza wyłącznie cierpienia.

- Bo nie może być odwzajemniona? - Na twarzy Ralpha malowało się wyraźne napięcie. Policzek zadrgał mu nerwowo. - Utrzymywałaś, że nikt nie ma dostępu do twojego serca.

Alayne popatrzyła na niego ze zdumieniem. Zaskoczona, nie potrafiła wypowiedzieć nawet jednego słowa. Ralph nagle odwrócił się i odszedł. Dlaczego tak się złościł? Sądząc po jego tonie, mógł być o nią zazdrosny. To przecież niemożliwe! Ilekroć wspomniał o pierwszej żonie, smutek widniał w jego oczach. Wciąż o niej myślał. Wciąż ją kochał.

Chciała pobiec za mężem, lecz obawiała się ośmieszyć. Nie była pewna, czy jej nie odtrąci. A to byłoby zbyt bolesne. ...

Zawahała się, i już było za późno. Sir Ralph wezwał

do siebie rządcę, porozmawiali krótko i razem gdzieś się udali.

Alayne ze spuszczoną głową wróciła do domu. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w słowach męża kryło się coś więcej, niż przypuszczała.

Na pewno kochał Berenice, lecz ich małżeństwo nie było usłane różami. Ralph obwiniał się o śmierć żony. Powinam o to go zapytać, pomyślała. Owszem, powinna, ale nie mogła. Ponownie bała się odmowy. Przeszła w życiu zbyt twardą szkołę, aby zaryzykować kłótnię z mężem. Nie chciała budzić jego niechęci. Gdyby tak się stało, jej pobyt tutaj poszedłby na marne. Nie znalazłaby upragnionego szczęścia.

Należy znaleźć sposób, żeby dowiedzieć się całej prawdy. Rozmyślała nad tym przez dłuższą chwilę i wreszcie wpadła na pewien pomysł. Spisała wszystko, co było w domu, z wyjątkiem sprzętów, które stały w dawnym pokoju Berenice. Panna Grey pytała, czy ma to zrobić sama, lecz Alayne na razie odwiodła ją od tego zamiaru. Do tej pory wciąż jednak zwlekała. Wreszcie postanowiła, że nie ma co dłużej czekać.

Czego się bała? Wystarczyło najzwyczajniej w świecie wejść do tamtej komnaty i dokonać inwentaryzacji. Przy okazji mogła poszukać czegoś więcej...

Alayne nerwowym krokiem przeszła przez galerię do komnaty, w której ostatnim razem była w towarzystwie Marguerite. Przez chwilę stała z ręką na klamce, potem wzięła głęboki oddech, pchnęła drzwi i weszła do środka.

Tuż za progiem zadygotała z zimna. W pokoju panował nieprzyjemny chłód. Wokół rozchodził się zapach wilgoci. Trzeba będzie porządnie napalić, pomyślała. Po ciężkiej ziemi powietrze wydawało się nieco stęchłe. Alayne powoli okrzyła komnatę, pilnie spisując wszystkie sprzęty, przedmioty i meble. Nie pominęła kilku gobelinów ani srebrnej zastawy. Dopiero gdy otworzyła skrzynię, nadal zawierającą niektóre rzeczy należące do Berenice, zauważyła mały, obity żelazem kufer. Miał wypukłe wieko i piękne płaskorzeźby na bokach. Zapewne skrywał w sobie najważniejsze skarby pierwszej żony sir Ralpha. W przeciwnym razie po co ktoś chowałby go aż do skrzyni?

Wystawiła kuferek na podłogę. Był zamknięty. Zamek wyglądał na solidny i uparcie nie dawał się otworzyć. Albo musiała użyć noża - a nie chciała niszczyć tak pięknego przedmiotu - albo poszukać klucza.

Jednak klucza nigdzie nie było. Alayne bezskutecznie przetrząsała wszystkie zakamarki. Wreszcie dała za wygraną.

Postanowiła zabrać kuferek do siebie i tam w spokoju zastanowić się, jak otworzyć zamek. A może dopasuję któryś z moich kluczy? - pomyślała. Tak, warto spróbować. Po drodze wzięła nieskończony gobelin, przy którym niegdyś pracowała z Marguerite. Opuściła komnatę Berenice i wróciła do swojego pokoju.

Tu było o wiele cieplej i przyjemniej. Alayne bardzo lubiła to pomieszczenie. Odstawiła kuferek i niewiele myśląc, położyła na nim gobelin. Właśnie miała wezwać pokojówkę, żeby pomogła jej zmienić suknię, kiedy ktoś zapukał.

- Proszę - powiedziała i uśmiechnęła się na widok męża. - Miło cię znów zobaczyć, milordzie.

- Chcę z tobą porozmawiać, Alayne - zaczął Ralph i w tym momencie ze zmarszczonymi brwiami spojrzał na gobelin. Wziął go do ręki. - To ten, który kiedyś próbowałaś dokończyć z pomocą Marguerite - zauważył. - Należał do Berenice...

- Tak... - odparła Alayne i urwała, przestraszona jego zachowaniem. Ralph mocno zacisnął usta i popatrzył na nią chłodnym wzrokiem. - Myślałam, że go wreszcie zrobię. Marguerite była przekonana, że szkoda marnować tak doskonały jedwab...

- Owszem, kosztował wiele - wtrącił Ralph. - To rzeczywiście strata. Możesz go skończyć, jeśli masz ochotę, ale nie życzę sobie, żeby wisiał w tym pokoju.

- Oczywiście - odpowiedziała zasmucona. - Nie wiedziałam, że to cię rozgniewa.

- Nie gniewam się, że chcesz nad nim jeszcze popracować - odparł. - Proszę cię jedynie, żebyś go nie wieszła. Przypomina mi to, o czym dawno wołałbym zapomnieć.

- Wybacz...

Nie słuchał jej, gdyż zobaczył kufer. Podniósł go i popróbowwał wieczka. Nadal było zamknięte.

- Masz klucz? Widziałaś, co jest w środku?

- Przypuszczam, że listy lub inne dokumenty - odparła zaczerwieniona Alayne. Ralph był wyraźnie zły. Ostatni raz widziała go tak zagniewanego jeszcze we Francji. - Nie otwierałam go.

- To prywatne listy. Nie miałaś prawa zabierać go z tamtej komnaty. Mogłaś wpierw o tym ze mną porozmawiać.

- Wcale nie chciałam cię rozzłościć! - zawołała łamiącym się głosem Alayne. - Spodobał mi się, więc go wzięłam. Uznałam, że mi się przyda... - Urwała, widząc, że jej nie dowierza.

- Babska ciekawość. Nie umiesz kłamać, Alayne. To do ciebie zupełnie nie pasuje.

Wcisnął kufer pod pachę i odwrócił się w stronę wyjścia.

- Przepraszam! - krzyknęła za nim.

- Zabrałaś kufer. Dobrze. To jedna sprawa. Gorzej, że próbowałaś mnie oszukać - odparł zimno. Alayne cofnęła się, jakby się bała, że zaraz na nią spadnie grad dotkliwych ciosów. - Sądziłem, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Jeśli chciałaś wiedzieć coś więcej o Berenice, mogłaś mnie o to zapytać.

Alayne nisko zwiesiła głowę, zbyt zawstydzona, żeby coś powiedzieć. Łzy popłynęły jej po policzkach. Usłyszała stuk zamykanych drzwi. Dlaczego nie przyznała się, co naprawdę czuje?

Panna Grey zawiadomiła ją, że sir Ralph bardzo przeprasza, ale nie będzie dzisiaj na wieczery, bo wzywają go pilne sprawy. Wielka sala świeciła pustkami, bo choroba zataczała coraz większe kręgi.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytała Alayne, wysłuchawszy tej niepokojącej wieści. - Chorzy na pewno wymagają troskliwej opieki.

- Sir Ralph oznajmił, że żadna ze służących nie może zbliżyć się do lazaretu - odpowiedziała Morna. - Prosił również, abys ty, pani, pozostała w swojej komnacie i przez kilka dni nie schodziła na dół.

- To bardzo rozsądne z jego strony - przyznała Alayne, ale w głębi duszy czuła się zawiedziona. Domyślała się, że Ralph w ten sposób zamierzał ją ukarać, wiedział bowiem, jak bardzo leżał jej na sercu los chorych i cierpiących. - Oczywiście posłucham jego rady. Chcę jednak, aby natychmiast mnie zawiadomiono, jeśli zachoruje któraś z kobiet. Nie będę biernie patrzeć na nieszczęście. Mam pełne prawo zająć się służbą.

Morna zastanawiała się przez chwilę, a potem z uśmiechem pokiwała głową.

- Doskonale wiem, co czujesz, pani - powiedziała. - Jest wśród nas dziewczynka, która też ma gorączkę. Nie mówiłam o tym naszemu panu...

- Zaprowadź mnie do niej - wpadła jej w słowo Alayne. - Bez obawy, sir Ralph o niczym się nie dowie. To będzie nasza tajemnica.

- Coś mi się zdaje, że mikstura, którą mistrz Brendon kuruje naszych ludzi, niewiele pomaga - odezwała się Morna, kiedy schodziły po wewnętrznych schodach, wiodących do pomieszczeń przeznaczonych wyłącznie dla kobiet. - Tu potrzebne coś całkiem innego.

- Słyszałaś, że mam pewne doświadczenie w leczeniu gorączki - odparła Alayne. - Musimy przyjąć leki od Brendona.

- Przyjąć tak, milady, ale nie używać.

Alayne popatrzyła jej głęboko w oczy. Obie dobrze rozumiały, że w takich sprawach najważniejsza jest ostrożność.

- Mądra z siebie kobieta, panno Morno - powiedziała Alayne, pierwszy raz zwracając się do niej po imieniu. Jako konspiratorki, wiedziały, że od tej pory muszą się nawzajem wspierać. - Widziałam napar z kory w apteczce mojego męża. To może nam się przydać. Dał mi go trochę, gdy mnie rozboleła głowa. Okazało się, że to dobry środek. Jeśli dziewczynka po tym poczuje się nieco lepiej, postaram się poprosić go o większą dawkę.

Niewidziane przez nikogo dotarły do służebnej izby. Chora dziewczynka miała może ze czternaście lat. Leżała na wąskiej pryczy i rzucała się niespokojnie. Alayne przyklęknęła przy niej, położyła jej rękę na czole, a potem spojrzała na Mornę.

- Jest cała rozpalona. Myślę, że musimy zdjąć z niej tę ciężką kołdrę i obmyć całe ciało zimną wodą. To trochę osłabi gorączkę.

- Mam nadzieję - powątpiewającym tonem powiedziała Morna.

- Chyba wymiotowała - zauważyła Alayne, spoglądając na ciemną plamę na podłodze, tuż przy łóżku. - Trzeba to natychmiast wyciąć. Zróbcie to, a ja tymczasem pójdę po lekarstwo, o którym ci mówiłam. Zaraz wracam.

- Znajdziesz sama powrotną drogę, pani? - zapytała Morna.

- Tak. Jestem tego zupełnie pewna. To nie potrwa długo.

Zostawiła Mornę przy jej zajęciu i wąskim korytarzem

dotarła do ukrytych schodów, prowadzących na górę. Ta część budynku przypominała labirynt. Niektóre przejścia pozornie wiodły donikąd. Alayne rozglądała się, żeby zapamiętać, którędy powinna wracać. Nie chciała przez przypadek znaleźć się w opuszczonej baszcie.

Względnie łatwo dotarła do swojej komnaty. Lekarstwo miała ukryte we własnym kufunku, w oddzielnej skrytce, którą kiedyś znalazła zupełnym przypadkiem. Przed wielu laty kuferek należał do jej matki. Trzeba było nacisnąć denko w odpowiednim miejscu, żeby otworzyć skrytkę. Alayne zabrała fiolkę z lekarstwem, wsunęła ją do sakiewki wiszącej u pasa, zamknęła schowek i wyszła. Szybko wróciła na dół. W głównej części zamku nikogo nie spotkała, dopiero gdy dotarła do pomieszczeń dla służby, natknęła się na dwie pokojówki. Dygnęły przed nią, wyraźnie zdumione, widząc panią w tak nędznym otoczeniu.

Chora dziewczynka leżała trochę spokojniej. Alayne wyjęła fiolkę i z pomocą Morny wlała dziecku do ust dwie kropelki mikstury.

- To bardzo silny środek - wyjaśniła. - Mogę ci go zostawić, Morno, ale pamiętaj, żeby nim zbytnio nie szafować. Dwie krople, nie więcej niż cztery razy na dobę. - Znowu dotknęła czoła dziewczynki. Wydawało jej się, że gorączka spadała. - Mycie zimną wodą nieco jej pomogło. To jeszcze na pewno nie koniec choroby, ale najważniejsze, że trochę odpocznie.

- Zajmę się nią - obiecała Morna. - Dziękuję za pomoc, milady. Nie chcę, żeby umarła. Ma na imię Greta, jest moja kuzynką i bardzo ładnym dzieckiem.

- Będę się za nią modlić - obiecała Alayne. - Muszę wracać. Ktoś może mnie szukać. Przyjdź do mnie, jeśli zechcesz pomówić o Grecie lub o innych sprawach.

- Dobrze, milady. Zaraz przyślę do ciebie którąś z dziewcząt. Przyniesie ci kolację. Wyznaczę taką, która sypia w innej izbie i nie miała dotąd kontaktu z chorobą.

Alayne pokiwała głową. Zrozumiała, że panna Grey chciała ją dodatkowo osłonić przed mężem.

- Nikomu nic nie mówcie, że tu byłam - dodała na pożegnanie. - Jeśli zdołam, przyniosę wam więcej lekarstwa.

Po powrocie do swojej komnaty Alayne pomyślała o bezcennej korze zamkniętej w apteczce sir Ralphi. Klucz nosił zawsze przy sobie. Mógł się rozżłościć, gdyby go poprosiła o drugą dawkę lekarstwa. Domyśliłby się, że to nie dla niej. Jednak nie mogła się przyznać, że świadomie zlekceważyła jego polecenie. Gdyby dowiedział się o wszystkim, ukarałby Mornę Grey.

Źle się stało, że zabrałam ten nieszczęsny kuferek z pokoju Berenice, wyrzucała sobie Alayne. Gdyby nie to, Ralph ochoczo przystałby na każdą moją prośbę. Na pewno nie byłby zadowolony, że go nie posłuchałam, ale zrozumiałby, że jedynie chciałam pomóc.

Teraz lękała się z nim porozmawiać. Bała się jego zimnego i bezlitosnego spojrzenia.

Rozdział dziewiąty

Alayne przez trzy dni nie widziała męża. Za pośrednictwem Bethel przeprosił ją za swoją ciągłą nieobecność, chociaż podejrzewała, że to był tylko wybieg. Nie ulegało wątpliwości, że był bardzo zajęty nie tylko w związku z pojawieniem się gorączki i licznymi zachorowaniami. Duży majątek wymagał dopilnowania. Szkoda jednak, że nie chciał podzielić się z żoną swoimi problemami.

W ciągu tych trzech dni Alayne jeszcze trzy razy odwiedzała Gretę. Ostatniego dnia znalazła ją w dużo lepszym stanie. Gorączka minęła i dziewczynka, choć blada i osłabiona, siedziała na skraju pryczy.

- Och, milady! - zawołała cicho na widok Alayne i rozejrzała się nerwowo. - Nie powinnaś tutaj przychodzić. Panna Morna powiedziała mi, że byłaś dla mnie bardzo dobra.

- Każdy postąpiłby tak samo na moim miejscu - z uśmiechem odparła Alayne. - Cieszę się, że już ci trochę lepiej, lecz pamiętaj, że w dalszym ciągu nie możesz się przemęczać. Przez kilka dni będziesz bardzo słaba. Musisz się wzmocnić, zanim na nowo wrócisz do pracy.

- Zachorowały jeszcze dwie służące - poinformowała dziewczynka. - Panna Morna potrzebuje mojej pomocy.

- Gdzie one są? - zapytała Alayne. Greta wskazała na drewniane przepierzenie, zza którego dochodziły bolesne jęki. Alayne dała krok w tamtą stronę, lecz w tej samej chwili do izby weszła panna Grey. - Greta mówiła mi, że masz dwie nowe pacjentki.

- Tak, milady. Dałam im nieco lekarstwa, ale w tym tempie za chwilę nic mi nie zostanie.

- Myślisz, że pomogło Grecie?

- Jestem tego pewna. Ból zelżał, a potem wciąż ją obmywałam, żeby zbić gorączkę.

- Z nimi postępuj tak samo - poleciła Alayne. - Zobaczę, czy uda mi się zdobyć jeszcze trochę wyciągu z kory.

- Nie możesz ryzykować, pani.

- Powiem mężowi, że mam bóle głowy.

Alayne wyszła ze służebnej izby i wróciła do swojej komnaty. Bez większego trudu otworzyła tajemne przejście, minęła środkowy pokój i zajrzała do sypialni Ralpha. Miała cichą nadzieję, że go zastanie. Niestety, komnata była pusta.

Alayne spojrzała na pełną bezcennych leków apteczkę. Wiedziała, że Ralph nigdy nie rozstaje się z kluczem. Zamek okazał się zbyt mocny, a nie miała śmiałości go wyłamać. Z bezsilną złością pociągnęła za skobel i westchnęła ciężko. To straszne wiedzieć, że pomoc jest tak blisko i że jednocześnie nie można z niej skorzystać, pomyślała.

Oczywiście mogła poprosić męża o lekarstwo. Tak też zrobię, postanowiła. Poszła do siebie, ale zostawi-

ła przejście otwarte. Liczyła na to, że wiedziony ciekawością Ralph zajrzy do jej komnaty. Może już pożałował niepotrzebnej sprzeczki? Wtedy o wiele chętniej wysłuchałby jej prośby.

Głośny huk wyrwał Alayne ze snu. Wokół było zupełnie ciemno. Wystraszona usiadła na łóżku i wyteżyła słuch. Usłyszała stłumiony jęk i czym prędzej zapaliła świecę. Odrzuciła kołdrę na bok, wstała i rozejrzała się po komnacie w poszukiwaniu źródła tajemniczych dźwięków.

Blask świecy padł na męską postać, leżącą na podłodze tuż obok ukrytego przejścia. To był Ralph. Chyba wszedł do swojej komnaty, zobaczył otwarte drzwi, ostatkiem sił doznał do niech i osunął się nieprzytomny. Alayne z bijącym sercem podbiegła do męża. Miał zamknięte oczy i był bardzo błydy. Dotknęła ręką jego twarzy. Pod palcami poczuła grube krople potu. Gorączka.

Musiła jak najszybciej położyć go do łóżka. Była jednak za słaba, żeby zatańczyć go z powrotem do jego komnaty, a nie chciała budzić służby w środku nocy. Gdyby to zrobiła, ktoś natychmiast pobiegłby po lekarza. Nie miała zaufania do metod mistrza Brendona. Pijawki, puszczenie krwi, i tak dalej. Podejrzewała, że w ten sposób uczeni lekarze pośrednio przyczynili się do śmierci jej pierwszego męża. On jednak nie życzył sobie jej pomocy. A tu, w Banewulf, wyciąg ze sproszkowanej kory z podręcznej apteczki sir Ralpha udowodnił już swoją skuteczność.

Jęk męża wyrwał ją z zamyślenia. Alayne pochyliła się i próbowała dźwignąć Ralpha z podłogi. Otworzył oczy

i spojrzął na nią nieprzytomnym wzrokiem. Chyba ją rozpoznał, bo kilkakrotnie poruszył ustami, jakby chciał wypowiedzieć jej imię.

- Cicho... - uspokoila go z uśmiechem. Pogłaskała go po twarzy. - Musisz położyć się do łóżka, ale jesteś dla mnie trochę za ciężki. Spróbuj wstać. Tylko ostrożnie. Nie będziemy budzić służby o tej porze.

- Alayne, chciałem... - wyszeptał, ale nie dokończył. Pomyślała, że znów stracił przytomność, ale jęknął i uniósł się z potwornym wysiłkiem. Zdołał usiąść. - W głowie mi się kręci...

- Tak, tak. Wiem. Zemdlałeś. Pomogę ci. Ale teraz musisz na moment podnieść się z podłogi. Spróbuj, Ralph. Spróbuj, ukochany...

Przywarł do niej i po kilku bezskutecznych próbach, pomalutku wstał. Był bardzo ciężki. Alayne miała wrażenie, że zaraz oboje upadną. Wreszcie Ralph zrobił kilka chwiejnych kroków. Alayne ciasno objęła go w pasie i na wpół ciągnąc, na wpół podtrzymując, podprowadziła do swojego łóżka. Ledwo tam doszli, Ralph zwałił się jak kłoda i legł nieruchomo. Był kompletnie wyczerpany tym wysiłkiem. Zamknął oczy. Nie zdawał sobie sprawy z obecności żony ani z tego, co się wokół niego działo.

Alayne ułożyła go nieco wygodniej i wepchnęła mu poduszkę pod głowę. Czoło miał rozpalone. Delikatnie pogłaskała go po spoconych włosach. Nalała do miednicy zimnej wody z dzbanka, zmoczyła ręcznik i ostrożnie przemyła twarz męża. Próbowwała sięgnąć głębiej, pod ubranie, ale to okazało się niemożliwe. Musiała zatem go rozebrać. Jednak

nie mogła tego zrobić w normalny sposób. Sięgnęła zatem po nóż i zaczęła rozcinać tunikę.

Pracowała powoli i metodycznie. Skrawki tkaniny rzucała koło łóżka. Potem przyniosła więcej zimnej wody i obmyła go od stóp do głów. Ręce jej drżały, gdy wodziła gąbką po twardych mięśniach. Ralph miał ciało zahartowanego w bojach wojownika. Długie, zgrabne nogi, muskularne uda, płaski brzuch i potężne bary. Alayne przykryła jego męskość, bo wydawało jej się, że nie powinna oglądać go nagiego, kiedy jest nieprzytomny.

Nawet w chorobie Ralph prezentował się wspaniale. Ciekawe, jak wyglądał w łóżu całkiem zdrowy? - zadała sobie pytanie Alayne. Wyobraziła sobie, że leżą obok siebie, głowa tuż przy głowie, ramię przy ramieniu... A cóż to za nieprzystojne myśli?! Alayne przywołała się do porządku, starannie wytarła Ralpa i przykryła go cienkim kocem.

Leżał spokojnie, ale wiedziała, że gorączka niedługo wróci. Potrzebowała leku zamkniętego obok, w jego komnacie. Spojrzała na sakiewkę leżącą obok pociętych skrawków materiału. Zawahała się tylko chwilę. Wyjęła klucz i podbiegła do szafy z lekarstwami.

Serce waliło jej jak młotem. Zaledwie minutę trwało, nim znalazła odpowiedni dzbanek i odlała z niego tyle wyciągu, żeby starczyło dla Ralpa i dla chorych kobiet. Mimo to poczuła się jak złodziejka. Zamknęła szafę, wróciła do swojego pokoju i włożyła klucz do sakiewki.

Wyciąg okazał się bardzo mocny. Alayne rozcieńczyła go wodą, zamieszała drewnianą łyżką, ale teraz musiała poczekać co najmniej godzinę, żeby lekarstwo nabra-

ło odpowiednich właściwości. Powoli podeszła do łóżka. Ralph znowu jęczał.

Co w tym momencie mogła dla niego zrobić? Może jednak należało posłać po medyka? Nie. Słyszała, że w ostatnich dniach jego pacjenci umierali. Alayne zastanawiała się przez chwilę. Przypomniała sobie, że wciąż ma biały proszek, który kiedyś dostała od Araba. Co prawda, było to lekarstwo od zarazy, ale podobno pomagało też na inne dolegliwości. Może zwalczało także gorączkę? Tego na pewno nie wiedziała. Postanowiła jednak zaryzykować. Niewielka dawka nie mogła zaszkodzić Ralphowi.

Wyjęła małą torebkę z pudrka z biżuterią. Odsypała minimalną ilość białego lekarstwa i zmieszała je z łyżką wody. Proszek napęczniał i przybrał formę piany. Alayne ostrożnie usiadła na łóżku i przytknęła łyżkę do ust męża.

Odruchowo rozchylił wargi i przełknął miksturę. Chyba nawet nie poczuł jej okropnego smaku. Alayne nadal nie miała pojęcia, czy to lekarstwo okaże się skuteczne, ale postanowiła trzymać je pod ręką.

Usiadła na ławie i obserwowała chorego. Noc z wolna zamieniała się w dzień i wąły promyk światła nieśmiało zakradł się przez okno. Ralph początkowo rzucał się niespokojnie, ale w końcu znieruchomiał i zasnął.

Po pewnym czasie Alayne wstała, podeszła do łóżka i położyła dłoń na czole męża. Wciąż miał gorączkę, ale już mniejszą niż przedtem. Biały arabski proszek działał podobnie jak sproszkowana kora. Może był nawet silniejszy. Niewykluczone, że otrzymywano go z tego samego drzewa,

tylko w inny sposób. Arabski lekarz dużo wiedział, lecz nie przekazał jej wszystkich swoich tajemnic.

Naprawdę szkoda, że tak mało umiem, pomyślała zdesperowana Alayne. Wprawdzie Ralph teraz czuł się trochę lepiej, ale co będzie, jak gorączka wróci? Mogła jedynie czuwać przy nim i modlić się, aby wyzdrowiał.

Alayne ubrała się wcześniej rano. Po pewnym czasie przyszła pokojówka ze śniadaniem i kubkiem domowego piwa. Alayne przywitała ją uśmiechem i położyła palec na ustach.

- Pan czuje się niezbyt dobrze - wyjaśniła. - Zajął się nim, ale nie chcę, aby ktokolwiek wiedział, że ma gorączkę. Poproś tu do mnie pannę Grey. Nikomu nic o tym nie mów. Zrozumiałaś, Louise? Zachowaj to w tajemnicy.

- Och, milady! A jeśli on umrze? Oskarżą cię, że nie wezwałaś w porę mistrza Brendana.

- Nie umrze - powiedziała z mocą Alayne. - Zrób, o co cię prosiłam.

- Tak, milady - posłusznie potaknęła Louise, lecz widać było, że nie pozbyła się wszystkich wątpliwości.

Alayne mogła mieć tylko nadzieję, że służąca się nie wygada. Mocno wierzyła w to, że jej metody są skuteczniejsze niż „leczenie” szacownego medyka. Ralph leżał spokojnie, chociaż zapewne wciąż pozostawał w kleszczach straszliwej choroby, bo ani na chwilę nie otworzył oczu.

Na widok Ralpa Morna Grey od razu orzekła, że najgorsze prawdopodobnie już minęło. Przecież tak samo było z Gretą. Z uznaniem pokiwała głową.

- Jesteś mądra, pani, że postanowiłaś zachować chorobę męża w tajemnicy - powiedziała. - Chociaż nie wiem, czy wkrótce mistrz Brendon nie przypomni sobie, że ma pilną sprawę do naszego pana.

- Trzeba mu powiedzieć, że Ralph jest zbyt zajęty, aby się z nim zobaczyć - odparła Alayne. - Przygotuję więcej lekarstwa. Tu masz zapas dla chorych kobiet. Jak się czuje Greta?

- Dużo lepiej, choć ciągle jest trochę słaba. Uparła się, że będzie razem z nami doglądać chore służki. To dla niej łatwiejsze, pozwoliłam więc, aby je umyła. Ale to zatrzymałam wyłącznie przy sobie. - Pokazała fiolkę, którą dostała od Alayne. - Nikt poza mną o tym nie wie, milady.

Cichy jęk dobiegł od strony łóżka. Obie spojrzały w tę stronę. Ralph właśnie otworzył oczy.

- Zdrowieje szybciej, niż się spodziewałam - zauważyła Morna. - To silny i krzepki mężczyzna. - Podeszła do chorego i położyła mu rękę na czole. - Chyba gorączka już minęła, milordzie.

- Czuję się jak potępieniec - mruknął Ralph i rozejrzył się po komnacie. - Jak się tu znalazłem?

- Zemdlałeś w progu - wyjaśniła Alayne. - Byłeś cały rozpalony, położyłam cię więc do łóżka.

- Jestem słaby jak nowo narodzone kocię. - Zmarszczył brwi. - To twoje łóżko.

- Tak było trochę łatwiej - odparła z uśmiechem. Delikatnie pogłaskała go po zmierzwionych włosach i spojrzała na niego czule. - Była późna noc. Nie chciałam budzić służących.

Ralph zerknął na nią z taką miną, jakby chciał coś powiedzieć, ale bezsilnie opadł na poduszki. Zamknął oczy. Widać było wyraźnie, że choroba go wyczerpała, chociaż zwalczył ją prędzej niż inni chorzy.

- Muszę już iść, milady - oznajmiła Morna i wyszła z komnaty.

Alayne wróciła do męża. Pochyliła się nad nim. Czoło Ralph'a wciąż było trochę rozpalone, odwróciła się więc, żeby przynieść wodę do przemycia. Ralph ujął ją za rękę.

- Nie odchodź - powiedział. - Pragnę cię przeprosić za wszystko, co się wtedy stało. Zachowywałem się niemądrze. Niepotrzebnie na ciebie się pogniewałem.

- Nie przepraszaj, milordzie. Miałeś swoje powody, żeby się na mnie gniewać. A teraz puść mnie, chcę ci przemyć czoło i zrobić zimny okład. Oprócz tego dostaniesz następną dawkę lekarstwa.

- Nie chcę nic z tego, co Brendon aplikuje ludziom. To wcale nie pomaga, lecz najwyżej szkodzi.

- Lekarstwo przygotowałam sama z kory, którą trzymasz we własnej apteczce - wyjaśniła Alayne. - Jak widać, jest skuteczne nie tylko na ból głowy.

Puścił jej rękę. Wciąż było po nim znać skutki niedawnych przeżyć. Alayne zmoczyła ręcznik i starannie otarła mu całą twarz i czoło.

- Dużo lepiej... - Ralph westchnął. Bez sprzeciwu przeknął dwie krople mikstury, które podała mu na łyżeczce.

- Ależ to okropnie gorzkie...

- Wiem, ale najważniejsze, że skuteczne. Masz szczęście,

milordzie, bo w przypadku Grety trwało aż trzy dni, zanim poczuła się lepiej.

- Poszłaś do chorych kobiet - skonstatował Ralph i łypnął na nią spod oka. - Przestrzegałem, że masz się trzymać z dala od chorych.

- Choroba nie wybiera i nie słucha rozkazów, milordzie. Nie złość się na mnie. Owszem, nie posłuchałam cię, ale uważałam, że w tym wypadku jesteś niesprawiedliwy. Chciałam jedynie pomóc.

- Nie zamierzałem cię karać! - zawołał z uczuciem. - Bałem się, że także zachorujesz i umrzesz. Nie chcę cię stracić, Alayne. Próbowałem cię chronić.

- Niewiele by to pomogło, gdybyś sam umarł. Tylko dlatego, że wyleczyłam Gretę, wiedziałam, co ci wczoraj podać.

- Wyleczyłaś Gretę? - powtórzył ze zdumieniem. - A w tym czasie zmarło aż pięciu moich ludzi. Ja też niemal cudem uniknąłem śmierci. Jak mnie znalazłaś?

- Zostawiłam otwarte przejście między pokojami. Usłyszałam, jak z jękiem upadłeś.

- Myślałem, że umieram i że nie zdążę ci powiedzieć...
- Urwał, westchnął głęboko i przymknął powieki. Oczy same mu się zamykały. - Czuję się taki słaby...

- Co chciałeś mi powiedzieć?

- Że cię bardzo kocham... i...

Alayne spostrzegła, że Ralph usnął, zanim dokończył zdanie. Słyszała jego równy i głęboki oddech. Przcisnęła rękę do serca. Powiedział to świadomie czy znowu majaczył?

Ralph wyzdrowiał nadspodziewanie szybko. Wieczorem wstał z łóżka i z pomocą Alayne doszedł do swojej komnaty. Żona ciasno objęła go w pasie i powoli przeprowadziła przez tajne przejście do drugiego pomieszczenia. Serce waliło jej jak oszalałe i podświadomie wyczuwała, że Ralphowi - mimo słabości - też udzielił się nastrój podniecenia.

- Zostań tu, gdzie mogę cię przez cały czas doglądać - powiedziała, kiedy oznajmił jej, że chce wrócić do siebie.
- A co się stanie, jak będziesz miał nawrót choroby?

- Nie zamykaj wewnętrznego przejścia - odparł - i często mnie odwiedzaj. Teraz musisz choć trochę odpocząć - dodał. - Kiedy następnym razem znajdę się w twoim łóżku, nie będę słaby niczym ślepe kocię...

- Spróbuj zasnąć - z nieśmiałym uśmiechem wtrąciła Alayne. Wciąż jeszcze do końca nie mogła uwierzyć w miłosne zapewnienia. - Przyjdę wieczorem, żeby sprawdzić, czy czegoś ci nie trzeba.

- Więcej się nie rozchoruję - zapewnił ją z buńczuczną miną. - Wprawdzie wciąż jestem słaby, lecz gorączka na dobre minęła.

- Jeszcze przez kilka dni będziesz odczuwał skutki tej niemocy - wyjaśniła Alayne. - Już byłeś chory, a jeszcze opiekowałeś się innymi. Nie zaprzeczaj. Gorączka trwa co najmniej dwa, trzy dni, zanim ktoś wyzdrowieje tak jak Greta.

- Wyzdrowieje lub umrze - ponuro stwierdził Ralph. - Pięciu moich ludzi leży w grobie, Alayne. Jak to się stało, że mała i słaba Greta wciąż żyje, a silny chłop umiera?

- Nie wiem, milordzie - odparła, unikając jego spojrze-

nia. Ostrożnie położyła go do łóżka. Ralph opadł na poduszki, ale spojrzał na żonę pytającym wzrokiem, domagając się odpowiedzi.

- Choroba - bąknęła - jednych zostawia, innych zabiera. Nie ma na to wytłumaczenia.

Ralph nie dał się przekonać.

- Moim zdaniem, zawiodło leczenie mistrza Brendona.

- Tego nie wiem. Nie znam się na tym, milordzie.

- Nie bój się rozmawiać ze mną o tych sprawach. - Chwytał ją za rękę, kiedy próbowała odejść. - Przecież wiesz, że nigdy w życiu nie pozwolę, żeby spotkała cię krzywda.

Alayne uznała, że powinna dobrze wykorzystać tę szansę.

- Myślę, że pijawki tu nie pomagają - powiedziała. - Raczej dodatkowo osłabiają chorego.

- Brendon uważa, że wraz z krwią wyciągają złe duchy z ciała. Nie bardzo w to wierzę, ale mu się nie sprzeciwiałem. Być może popełniłem błąd. Nic z tego, co zastosowałem, nie pomagało. Rozpalił ogień, żeby się pocili. Ty zaś obmyłaś mnie zimną wodą i to przyniosło natychmiastową ulgę.

- A może sam zwalczyłeś tę chorobę, panie, bez względu na to, co robiłam z czystej ignorancji? Czasami to się zdarza.

- Miałaś do czynienia z taką gorączką?

- Widziałam podobne objawy. Nie mogę przysiąc, że te same, bo zupełnie się na tym nie znam. Arabski lekarz, o którym kiedyś ci mówiłam, pokazał mi tylko, jak sporzą-

dzie właściwe lekarstwo. Postępowałam zgodnie z jego zaleceniami. Jakimś cudem pomogłam Grecie i tobie, panie.

- Byłaś dobrą opiekunką - powiedział Ralph, wpatrując się z napięciem w żonę. - Przygotuj jeszcze trochę tego leku. Jutro podamy go pozostałym chorym. Powiedz mi tylko, co mam zrobić.

- Pójdę tam z panną Grey - odparła Alayne. - Przedtem musisz mi dać klucz do apteczki.

- Zawsze chciałem to zrobić. Na razie możesz używać mojego, a kiedy już na dobre wstanę z łóżka, dorobimy drugi, abyś na przyszłość nie musiała prosić mnie za każdym razem, kiedy będziesz chciała coś stamtąd zabrać.

- Nie tknę niczego, na czym dobrze się nie znam - obiecała. - Ale... Jesteś zupełnie pewny, że możesz mi zaufać?

Ralph zacisnął palce na dłoni żony, a potem złożył na niej delikatny pocałunek.

- Ufam ci z całego serca.

Alayne zaczerwieniła się aż po same uszy, ale nie odwróciła głowy. Popatrzyła mężowi prosto w oczy. W sercu powtarzała ze śpiewem każde jego słowo.

- Naprawdę kochasz mnie, milordzie?

- Myślałem, że wiesz o tym od dawna.

- Nie... - Postanowiła raz na zawsze zakończyć pewną sprawę. - Byłam przekonana... - Nagle straciła odwagę i umilkła. Po chwili jednak podjęła wątek. - Nie myślisz już o Berenice?

- Ach... - Ralph wbił wzrok w przestrzeń. Alayne uznała, że i tym razem nie doczeka się odpowiedzi. W tym samym momencie Ralph znów spojrział na nią i mocno ścis-

nał ją za rękę. - Tak, myślę... Była młoda i niewinna... i przyczyniłem się do jej śmierci.

- Ale jak? Przecież zmarła w chorobie, prawda? - Alayne wstrzymała oddech. Nie była pewna, czy przypadkiem nie posunęła się za daleko. Za nic w świecie nie chciała stracić zaufania męża.

Ralph milczał przez długą chwilę.

- Berenice chorowała przez kilka tygodni po narodzinach Stephena. Myśleliśmy, że to już koniec, ale pomału odzyskała zdrowie. Opuściła ją jednak cała pogoda ducha. Była smutna i niespokojna. Całymi dniami przesiadywała w swojej komnacie, nie wychodząc nawet na krótkie spacerki. Czuła się nawet dobrze, bo tak twierdzili wszyscy wzywani medycy, a i sam odwiedzałem ją wiele razy. Pewnego dnia mieliśmy małą sprzeczkę. Powiedziałem jej, że powinna więcej przebywać na słońcu i że marnuje najlepsze lata swojego życia, ciągle siedząc w domu. Rozpłakała się, oskarżyła mnie, że jestem nieczuły, i na tym się skończyło. Następnego dnia włożyła najlepszą suknię i wyszła. - Ralph urwał i w jego oczach pojawił się wyraz głębokiego smutku. Alayne delikatnie położyła dłoń na jego dłoni. Popatrzył na nią jakoś dziwnie, ale nie cofnął ręki.

- Co się stało, milordzie? Co takiego zaszło, że wciąż się tym gnębisz?

Ralph nie odpowiedział od razu.

- Poszła na spacer, tak jak radziłem. Niestety, dzień był zimny... O wiele chłodniejszy niż przedtem. Chciałem, żeby wyszła jedynie na kilka minut, by odetchnęła świeżym powietrzem. Ona wybrała się znacznie dalej... - Znów

przerwał. Policzek zadrgał mu nerwowo. - Nie było jej cały dzień. Nikt tego nie zauważył, zaczęliśmy poszukiwania dopiero pod sam wieczór. Zrobiło się ciemno. Kiedy ją znaleźliśmy, leżała na ziemi, sztywna i lodowata. Jej śmierć do tej pory pozostaje dla mnie tajemnicą, ale myślę, że mogła zażyć jakąś truciznę.

- Chcesz powiedzieć, że targnęła się na swoje życie? - Alayne była przerażona. Kościół zaliczał samobójstwo do najcięższych grzechów i nie chciał chować samobójców w poświęconej ziemi. - To tragiczne.

- Wiem, co myślisz, ale powiedzieliśmy wszystkim, że nastąpił nieoczekiwany nawrót poprzedniej choroby - uspokoił ją Ralph. - Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że straciła chęć do życia. Jeżeli tak, była w tym wyłącznie moja wina. To ja najgorzej ją skrzywdziłem...

- Jak możesz w to wierzyć? Dlaczego tak się dręczysz, milordzie? Przecież nie biłeś jej i nie odebrałeś praw ani przywilejów, przysługujących jej jako twojej żonie.

- Ale wiedziała, że jej nie kochałem.

- Nie kochałeś jej?!

Alayne wpatrywała się w Ralpha, oszołomiona. Nigdy by tego nie podejrzewała. Przecież rozpaczał za zmarłą żoną. Wszyscy w to uwierzyli. Nawet Marguerite.

- Była piękna, kiedy ją poznałem. Budziła we mnie pożądanie. - Ralph po raz pierwszy opowiadał komuś o swoich uczuciach. Mówił powoli, zastanawiając się nad każdym słowem. - Do tej pory nikomu o tym nie wspominałem, Alayne. W dniu ślubu byłem bardzo młody i nie zdawałem sobie sprawy, że miłość i pożąda-

nie to nie to samo. Berenice miała jeszcze mniej lat ode mnie. Dziecko nieledwie... Za delikatne i nerwowe, aby sprostać trudom małżeńskiego życia. Po pewnym czasie zrozumiałem, że nasz związek jest poważnym błędem. Berenice trochę się mnie bała. Kiedy stawałem się zbyt natarczywy, płakała i prosiła mnie, że chce odpocząć. Nigdy nie wziąłem jej siłą. Ona jednak wyraźnie zaczęła mnie unikać. Niecierpliwiłem się. Oczekiwałem od niej, że zajmie się majątkiem, tak jak to przed laty robiła moja matka. Że będzie prowadzić księgi i pilnować ludzi. Niestety, zupełnie nie radziła sobie ze służbą. Napisanie najprostszego listu sprawiało jej wiele wysiłku. Moje wymówki czyniły ją jeszcze bardziej nieszczęśliwą. Potem okazało się, że zaszła w ciążę. Wtedy już niemal zupełnie odsunęła się ode mnie. Najwięcej czasu spędzała z moim przyjacielem, Christianem. Powiedziałem wtedy coś głupiego. Zrozumiała, że oskarżam ją o niewierność, że dziecko nie jest moje...

Alayne wciąż patrzyła mężowi prosto w oczy.

- Myślałeś, że zdradziła cię z najlepszym przyjacielem?

- Nie... Tak - przyznał Ralph. - Bywały chwile, że rzeczywiście tak uważałem. Orientowałem się, że Christian potajemnie kochał się w Berenice. Wystarczyło na niego spojrzeć. Pozostał jednak wierny rycerskim zasadom i nie zamierzał uwieść cudzej żony. Po jej śmierci stoczyliśmy zawzięty pojedynek. Powiedział mi, że dziecko naprawdę jest jego. Był zły, oskarżał mnie o śmierć Berenice. W zapamiętaniu rzuciłem go na ziemię i rozbił sobie głowę. Rana okazała się śmiertelna. Zanim skonał na moich rękach,

z uśmiechem wyznał, że w rzeczywistości nigdy nie tknął Berenice... Wierzę mu.

- Nikt nie kłamie w obliczu śmierci, milordzie.

- Wiem, ale to wciąż mnie prześladowe. Zabiłem dwoje niewinnych ludzi...

- Christian i Berenice też ponoszą część winy za to, co się stało. Jeśli w ogóle można mówić tutaj o czyjejs winie.

- Nazwałaś mnie „rycerzem bez skazy”. To nieprawda, Alayne. Niczym sobie nie zasłużyłem na twoją miłość, chociaż wciąż mam nadzieję, że może kiedyś zdołasz mnie pokochać.

- Och, Ralphie... - Łzy nabiegły jej do oczu. - Nie zauważyłeś, że już dawno nauczyłeś mnie miłości do ciebie? Kocham cię i ufam bezgranicznie.

- To rzeczywiście prawda? Wydawało mi się, że mówiłaś do mnie coś takiego w czasie, gdy leżałem chory, ale uznałem to za majaczenia.

- Wiele razy powtarzałam słowo „ukochany”. - Alayne roześmiała się cicho. - Myślałam jednak, że mnie nie słyszysz. Nie byłabym tak odważna.

- Naprawdę mnie kochasz, Alayne?

- Tak, milordzie. To szczerza prawda. - Pochyliła się i delikatnie musnęła ustami jego spieczone wargi. - Kocham cię. Co prawda, kiedyś bałam się miłości, ale nie mogłam dłużej pozostawać głucha na głos serca. Stawał się coraz silniejszy, a gdy byłeś bliski śmierci, chciałam umrzeć razem z tobą. Jesteś moim mężem, Ralphie. Nie chcę żyć w świecie, w którym cię zabraknie. Pozostanę z tobą na dobre i na złe. Możesz zrobić ze mną, co zechcesz.

- W takim razie obiecuję ci raz jeszcze, ukochana żono, że nigdy cię nie skrzywdzę. Jeżeli byłem niemiły wobec Berenice, stało się to bezwiednie. Nigdy nie chciałem, żeby była nieszczęśliwa. Prędzej wydarłbym sobie serce, niżbym uczynił ci coś złego, najmilsza. Zawsze mi powiedz, jeżeli nieopatrznie ci dokuczę.

- Wiem, że nie zrobisz tego z pełnym rozmysłem, Ralphie. Kiedy poznałam cię w Poitiers, wydawałeś mi się groźny i ponury. Wtedy naprawdę budziłeś strach, ale teraz znam cię dużo lepiej. - Przymknęła oczy i próbowała zapanować nad zdenerwowaniem. - Nie pomyślisz źle o mojej skromności, jeżeli powiem ci, że chcę być twoją prawdziwą żoną?

- Pomyślę raczej: „żona doskonała” - odparł. Usłyszała śmiech w jego głosie. Znów się z nią przekomarzyła! Alayne roześmiała się na całe gardło. Już dawno nie była tak szczęśliwa. - Powinnaś wiedzieć, że pragnę cię z całego serca. Bałem się tylko, że uciekniesz, jeśli ci zdradzę swoje uczucia.

- Miałam ci to powiedzieć dużo wcześniej, lecz wtedy byłeś na mnie zły, że zabrałam kufer z komnaty Berenice. Sądziłam, że wciąż ją kochasz.

- Byłem zły, że nie zapytałaś, co jest w środku.

- Listy?

- Od jej brata. Nic takiego, czego nie mogłabyś przeczytać. - Ralph dotknął jej policzka. - Ale dlaczego wciąż mówimy właśnie o Berenice? Od tej chwili powinniśmy myśleć wyłącznie o sobie. Nie wracajmy już do przeszłości. Nie można zmienić tego, co się stało. Chcę, żebyś była mi żoną i byś zaznała przy mnie największego szczęścia.

- Musisz mnie nauczyć jak być „żoną doskonałą”. Boję się, że czasami będziesz mną rozczarowany.

- To niemożliwe, ukochana.

- Zatem musisz uzbroić się w cierpliwość i zapoznać mnie ze sztuką miłości. Z taką, która sprawia kochankom niewysłowioną rozkosz, opiewaną w pieśniach przez trubadurów. .. - Zaczerwieniła się i urwała, bo Ralph zaniósł się serdecznym śmiechem. - Uważasz mnie za wyuzdaną, że mówię o takich rzeczach?

- Nie, pomyślałem raczej, ile radości sprawi mi rola nauczyciela - odparł. - Gdybym mógł, zacząłbym już w tej chwili, ale musimy to odłożyć, bo chociaż duch we mnie silny, to ciało, niestety, słabe. Kiedy już w pełni wyzdrowieję, stanę się twoim zalotnikiem, pani.

- Zalotnikiem? - powtórzyła jak echo, zanim zrozumiała, że żartował. Zaczerwieniła się pod jego spojrzeniem. - Zalotnikiem, trubadurem, kochankiem i mężem! - zawołała. - Och, nie wątpię, że mi się to spodoba. Obiecuję ci niejeden taniec, zanim zdołasz mnie na koniec złapać!

- Tak? Wbij sobie do głowy, że nie mam nic przeciwko temu, by cię ścigać, skoro wiem, jaka nagroda na mnie czeka, gdy cię dopadnę. Od miesięcy pragnę twoich pocałunków, pieszczot, i wciąż żyłem w strachu, że uciekniesz. Zgadzasz się zostać moją żoną?

- Pod warunkiem, że mnie zdobędziesz - odparła z poważną miną, lecz nie mogła dłużej powstrzymać się od radosnego śmiechu. Wyglądała tak pięknie i kusząco, że Ralph w duchu przeklinał własną słabość, która nie pozwalała mu od razu wcielić w życie wcześniejszej obietnicy.

- Wielu już tego próbowało i przegrali. Sądzisz, że jesteś od nich lepszy, milordzie?

- Przyjmuję to wyzwanie - odpowiedział. - Muszę porządnie wypocząć, aby mu sprostać. Przyznaję, że jestem słabszy, niż sądziłem. Idź już, Alayne. - Wcisnął jej klucz w rękę. - Na czas choroby przejmij wszystkie moje obowiązki. Rób, co uważasz za stosowne. Masz na to moje błogosławieństwo.

Alayne pocałowała męża w czoło. Wzięła klucz, podeszła do szafy i zabrała cały zapas wyciągu z kory.

- Będziesz musiał zamówić nową porcję, kiedy wyzdrowiejesz, Ralphie. Ten wyciąg ma o wiele więcej zastosowań, niż sądziłam. Miejmy nadzieję, że wystarczy dla wszystkich naszych chorych.

- Możemy się tylko modlić.

Ralph leżał na wznak z głową na poduszkach. Alayne zdawała sobie sprawę, że najbardziej wyczerpała go rozmowa o Berenice. Na szczęście mieli to już za sobą i nie było pomiędzy nimi żadnych tajemnic. Alayne usłyszała wszystko, lecz nie znajdowała powodów, dla których Ralph mógłby zasłużyć z jej strony na słowa potępienia. Berenice pod żadnym względem nie dorosła do małżeństwa. Dziwne, że jej rodzina zgodziła się na ten związek.... Alayne pokręciła głową. Najważniejsze, że już nic nie stało na przeszkodzie, by mogła być szczęśliwa z Ralphem.

Zostawiła go śpiącego i wróciła do własnej komnaty, żeby przygotować odpowiednią dawkę lekarstwa.

Po wymieszaniu wyciągu z wodą i odstawieniu go na pewien czas Alayne posłała po pannę Grey.

- Mąż wyraził zgodę, żebym zajęła się chorymi - oznajmiła. - Zaczniemy od kobiet, a potem pójdziemy do mężczyzn. O ile jeszcze jacyś zostali...

- Dwóch bardzo cierpi, lecz trzeci wyzdrowiał - odparła Morna, - To pierwszy, który poza sir Ralphem przetrzymał tę chorobę.

- Wkrótce będziemy mieli więcej lekarstwa - uspokoiła ją Alayne. - Na razie możemy skorzystać z czegoś innego.

Wzięła z kufierka fiolkę, którą przygotowała wcześniej, z miksturą sporządzoną z arabskiego proszku. Schowała ją do sakiewki.

- Zrobimy obchód - powiedziała. - Chcę sama zobaczyć, jak się mają sprawy.

- Bądź ostrożna, pani - ostrzegła ją Morna. - Lepiej nie zadzierać z mistrzem Brendonem.

- Z wielką chęcią wysłucham każdej jego rady - odparła Alayne. - Jednak wątpię, czy będę się do nich stosować. Przecież przez cały czas nas nie upilnuje.

W służebnej izbie okazało się, że dwie leczone wcześniej dziewczyny wracały do zdrowia, ale przybyła jeszcze jedna, złożona chorobą. Alayne dała jej dwie krople wyciągu i wezwała Gretę z miską zimnej wody.

Potem poszły do mężczyzn. Alayne wydała im do końca zapas lekarstwa i z pomocą Morny przemyła im twarze i ramiona. Na tym musiały poprzestać ze względu na skromność. Alayne pokazała młodemu paziowi,

co ma robić, i kazała wygasić ogień. Już miała wychodzić, kiedy pojawił się mistrz Brendon.

Alayne z trudem znosiła jego towarzystwo. Medyk rozpaczał wokół siebie nieprzyjemny zapach. Podejrzewała, że się nie mył i nie prał ubrania. Jak wielu innych, wychodził z założenia, że kąpiel osłabia ciało.

- Dziwne, że cię tu widzę, milady - powiedział ze słabo skrywaną niechęcią. Dlaczego on mnie tak nie lubi? - zadała sobie w duchu pytanie Alayne. Wyczuła to już przy pierwszym spotkaniu. - Słyszałem, że sir Ralph wyraźnie ci tego zabronił.

- Mój pan jest teraz u siebie. Odpoczywa - odparła Alayne i dumnie uniosła głowę, bez najmniejszego strachu patrząc na medyka. - Prosił mnie, abym zamiast niego zajęła się chorymi i dała im lekarstwo, które sam przepisał, mistrzu. - To było oczywiście kłamstwo, ale wygłosiła je bez zmrużenia oka, licząc, że w ten sposób połechtą jego próżność.

Brendon zmarszczył brwi. Chyba się zżymał, że nie może w jawny sposób okazać jej niechęci.

- Powinnaś zostawić to mnie, pani. Właśnie po to przyszedłem.

- Jestem pewna, że ostatnimi dniami nie brakuje ci zajęć, mistrzu. Przecież bez wytchnienia zajmujesz się chorymi. Mój mąż obawia się, że sam mógłbyś zachorować. I co wtedy? Co byśmy poczęli bez twoich świątłych porad?

- Trochę mnie drapie w gardle - przyznał Brendon, wyraźnie ukontentowany tyloma pochlebstwami. - Głowa mnie boli. To istotnie mogą być pierwsze objawy choroby.

Widzę, że masz pieczę nad wszystkim, pani. Chyba *rzeczywiście* pójdę się położyć.

- Otóż to - wtrąciła Morna, chcąc odwrócić jego uwagę od Alayne. - Niedługo będziesz nam potrzebny. Końca nie widać tej gorączki. Chodź, odprowadzę cię do twojej izby. Jesteś czerwony ze zmęczenia.

Brendon spojrział na nią takim wzrokiem, że Morna odruchowo cofnęła się o pół kroku.

- Dziękuję, ale znam drogę, pani. Wezwijcie mnie, gdyby coś się stało. Sir Ralph zdawał mi się wczoraj trochę niezdrów.

- To tylko z wyczerpania - szybko powiedziała Alayne.
- Obaj pracowaliście bez wytchnienia.

- Tak, wczorajszy dzień był wyjątkowo ciężki. W razie potrzeby będę do dyspozycji.

Obie kobiety czekały z zapartym tchem, póki nie zniknął za drzwiami. Wreszcie westchnęły z ulgą.

- Nikomu źle nie życzę - szepnęła Morna do swojej pani - ale mógłby poleżeć w łóżku przynajmniej przez tydzień.

- To prawda - z błyskiem w oku odpowiedziała Alayne. Po odejściu medyka już nie czuła obezwładniającej atmosfery nienawiści. O co w tym wszystkim chodzi? - zastanawiała się. Przecież nie zrobiłam niczego, czym mogłam go urazić. Przypomniała sobie jego niechęć z czasów, kiedy jeszcze nie była żoną Ralpha. Dziwny człowiek. Skąd w nim tyle złości?

Rozdział dziesiąty

Życzenie Morny Grey zostało spełnione. Następnego ranka młody paż znalazł mistrza Brendona w łóżku w złym stanie.

- Sama się nim zajmę - oznajmiła Morna. - Tak będzie lepiej, milady. Obawiam się, że w przyszłości mógłby ci zaszkodzić, gdyby wiedział, że wzięłaś się do leczenia.

- Może masz rację - odparła Alayne. Mimo wszystko nie potrafiła pozbyć się niechęci do medyka. - Wykorzystam ten czas, żeby pod jego nieobecność lepiej doglądać pozostałych.

W ciągu następnych trzech dni Alayne zaobserwowała z ulgą, że stan chorych wyraźnie zaczął się poprawiać. Lekarstwo łagodziło ból, a zimne okłady i częste przemywanie ciała likwidowało objawy gorączki. Kobiety zdrowiały szybciej, lecz mężczyźni też czuli się znacznie lepiej. Czwartego dnia wydawało się, że już po wszystkim. Chorzy byli jeszcze osłabieni, ale nikt więcej nie zapadł na zdrowiu.

- Chyba mamy to już za sobą - powiedziała Morna na

wieść, że Alayne wyczerpała cały zapas mikstury. - Przy odrobinie szczęścia więcej leku nie będzie potrzebne.

- Może słyszałaś, co się dzieje we wsi?

- Niedobrze - odparła Morna. - Zmarło trzech mężczyzn, pięć kobiet i sześcioro dzieci. Inni też chorowali, ale wyzdrowieli.

- Biedne dzieci. - Alayne serce krajało się z bólu. - Szkoda, że nie mogliśmy im pomóc.

- Dzieci zwykle najbardziej cierpią w podobnych przypadkach - zauważyła Morna. - Dzieci i starcy. Czy to nie dziwne, że u nas zmarło aż pięciu mężczyzn? We wsi było zupełnie odwrotnie. Chłopi tak prędko nie marli.

- Wiem, o czym myślisz - powiedziała Alayne. - Nie wolno ci z nikim poza mną o tym rozmawiać. Mistrz Brendon byłby wściekły, słysząc, że podważasz jego umiejętności.

- Moim zdaniem, zabił ich przez swoją głupotę - orzekła Morna. - W ogóle nie zna się na medycynie. Była akuszerka jest od niego lepsza.

- Cicho! - Alayne była przerażona jej słowami. - Możesz narobić sobie wrogów. Gdyby mistrz Brendon to usłyszał, zażądałby dla ciebie kary.

- Byłby trupem, gdyby leczył siebie tak jak innych - nie ustępowała Morna. - Czasem żałuję, że nie zostawiłam go własnemu losowi.

- Nie wolno ci nawet tak myśleć! Chcesz iść pod sąd?

Alayne spoglądała na nią z wyraźnym przestraczeniem. - Co będzie, jak ktoś powie, że masz „złe oko”? Wiesz, co się potem stanie?

Morna zbladła.

- Uznają mnie za czarownicę. Najpierw tortury, a potem śmierć na stosie.

- Nasz pan nigdy by na to nie pozwolił - zapewniła ją Alayne - ale lepiej uważać.

- Masz rację, milady. Obiecuję, że będę ostrożna. Z tobą mogę sobie czasami pozwolić na szczerłość.

- Oczywiście. - Alayne się uśmiechnęła. - Są sprawy, co do których mamy takie same zdanie. Pójdę już. Chcę się umyć, zmienić suknię.

- Nie jesteś chora, pani? - Morna zerknęła na nią z niepokojem, ale Alayne pokręciła głową.

- Czuję się zupełnie dobrze. Zresztą prawie nigdy nie chorowałam. Nie wiem dlaczego, ale nawet nie byłam przeziębiona.

Prawdę mówiąc, obie z Morną miały wiele szczęścia, że nie zapadły na gorączkę. Mimo to Alayne wyraźnie odczuwała trudy minionych dni i nocy. Wróciła do swojej komnaty, zdjęła zabrudzoną suknię, odżałowała cenny kawałek pachnącego mydła i wyszorowała się porządnie w chłodnej wodzie. Po kąpieli od razu poczuła się znacznie lepiej. Szybko wsunęła się pod kołdrę i zamknęła oczy. Po chwili mocno spała.

Ralph zjawił się parę minut później. Popatrzył na nią, uśmiechnął się, delikatnie pocałował ją w czoło i położył na poduszce mały bukietek fiołków.

Alayne zobaczyła kwiaty tuż po przebudzeniu. Powąchała je z rozmarzonym uśmiechem. Okazuje się, że mąż

umiał zdobyć się na romantyczny gest. Pod tym względem był całkowicie inny od barona Humbolta. Oto rycerz bez skazy, pomyślała.

Ralph czuł się dużo lepiej. Niemal odzyskał dawną siłę. Alayne dziękowała Bogu, że go oszczędził. Może pomogło mu lekarstwo, które dostała od arabskiego lekarza? Tego jednak nie mogła być zupełnie pewna. Wiedziała, że gorączka czasami ustępuje sama, z niewiadomych przyczyn. Ludzie we wsi też chorowali. Część z nich zmarła, lecz część wyzdrowiała. Być może Morna Grey miała trochę racji, twierdząc, że medyk więcej zaszkodził, niż pomógł? Musiała się pilnować, bo mistrz Brendon był niebezpiecznym przeciwnikiem.

Pokojówki pomogły jej się ubrać. Alayne wybrała się na poszukiwanie męża. Znalazła go w jego komnacie, przygotowanego do wieczerzy. Miał na sobie czarny aksamitny strój, gęsto przetykany złotą nicią, czarne rajtuzy i nabijany klejnotami złoty pas.

Był to ubiór bogatego i dumnego rycerza, zakładany na szczególnie uroczyste okazje. Na co dzień Ralph chodził w zwykłych skórniach, niewiele różniąc się od swoich zbrojnych. Alayne popatrzyła na niego z podziwem. Uśmiechnął się i złożył pocałunek na jej dłoni.

- Wyglądasz pięknie - rzekł. - Mam nadzieję, że oszczędzałaś siły?

- Panna Grey wykonała za mnie większość pracy - odpowiedziała Alayne. - Gdyby nie ona, zapewne mielibyśmy kilka pogrzebów więcej.

- Jesteś zbyt skromna - odparł i spojrzał na nią z głębo-

kim uczuciem. - Przyznaję, że rzeczywiście panna Grey zasłużyła na moją wdzięczność. Kupimy jej materiał na nową suknię, kiedy pojedziemy do Londynu.

- Na pewno się ucieszy. Powinniśmy spytać ją o odpowiedni kolor. Będzie miała co włożyć na nadchodzące święta.

- Zrobimy dokładnie tak, jak zechcesz. A może wybierzesz coś dla siebie? Chciałbym ofiarować ci wiele podarków. Nie mogę się doczekać wyjazdu do Londynu. Odwiedzimy kupców bławatnych, składy jedwabiu i najlepszych złotników w całym mieście.

- Nie pojedziemy na północ, do twoich włości?

- Najpierw Londyn. Trzeba odnowić zapasy. Od miesięcy nic ode mnie nie dostałaś, a przecież zawdzięczam ci życie.

- Dałeś mi bukiet fiołków, kiedy spałam. Dlaczego mnie nie obudziłeś? - Uniosła głowę, żeby spojrzeć mu prosto w twarz. Dopiero teraz zdała sobie w pełni sprawę, o ile był wyższy od niej, jak potężny. Nie bała się jednak męzowskiej siły. Przekonała się, że potrafi być uważający i delikatny. Wydawało jej się niemożliwe, że te same muskularne ręce, zdolne złamać kark dorosłego mężczyzny, potrafiły gładzić ją z taką czułością... Aż jej zaschło w gardle ze skrywanych emocji. Wstrzymała oddech i bezwiednie przesunęła językiem po spieczonych wargach. - Milordzie, ja...

- Wyglądałaś tak pięknie, gdy spałaś, że nie miałem sumienia cię budzić - powiedział głosem nabrzmiałym uczuciem. - Mimo to chciałem, żebyś na mnie spojrzała,

Alayne. Chciałem cię całować, pieścić, głaskać. Pochwycić w ramiona i poczuć, że nareszcie staliśmy się jednością.

Te słowa rozpały w niej płomień pożądania. Czuła, jak fala gorąca rozlewa się po całym ciele. Zacisnęła usta, ale i tak nie mogła powstrzymać cichego jęku.

- Wielka szkoda, że jednak mnie nie obudziłeś, milordzie.

Ralph ujął w palce kasztanowy kosmyk. Był gładki i lśniący niczym najprzedniejszy jedwab. Potem niespiesznie przesunął dłonią po policzku Alayne. Zadarła głowę, bez oporów poddając się jego pieścizom. Ralph schylił się i leciutko pocałował ją w szyję.

- Kocham cię - szepnęła i rozchyliła usta. - Mój mężu. .. Mój ukochany...

- Jesteś wszystkim, czego pragnąłem w życiu. Piękna, mądra i czuła. Pragnę cię..".

- Zabierz mnie do swojego łóżka - poprosiła Alayne. - Chcę być twoja, Ralphie. Tylko twoja... jak prawdziwa żona.

- Na pewno? - spytał. Mimo wszystko nie zamierzał jej popędzać. - Obiecałem, że najpierw będę zalotnikiem, że trochę potrwa, zanim cię zdobędę.

- Jesteś tym rycerzem, na którego tak długo czekałam. Nie wierzyłam, że ktoś taki jak ty naprawdę istnieje. A zalotnikiem byłeś praktycznie od dnia ślubu. Już mnie zdobyłeś, Ralphie. Jestem twoja. Zrób ze mną, co zechcesz.

- Zawsze będę cię kochał - odparł, pochylił się i chwycił ją w ramiona. Wydawała mu się lekka jak piórko. - Nie jestem godny twojej miłości, Alayne, ale musisz wiedzieć, że kocham cię całym sercem i zawsze będę cię kochał.

Powoli, co chwila robiąc przerwę na czuły pocałunek, zaczął ją rozbierać. Alayne wyciągnęła rękę i - zdziwiona, skąd w niej tyle odwagi - odpięła mężowi pas i poluźniła rzemyki odzienia. Wkrótce Ralph stanął przed nią półnagi. Delikatnie dotknęła jego piersi. Poczowała chłodną, niemal jedwabistą skórę i twarde, napięte mięśnie.

- Obmywałam cię, gdy leżałeś złożony gorączką - powiedziała nieśmiało. - Pomyślałam, że jesteś bardzo piękny. Jednak nie odważyłam się dotknąć cię w ten sposób.

- Zatem dotykaj teraz - zachęcił ją. - Chciałaś, żebym cię nauczył pięknej sztuki miłości. Posłuchaj więc, kochana. Wszystko zaczyna się od flirtu, kilku skradzionych pocałunków. Potem kochankowie pragną się dotykać. Rzecz w tym, żeby robić to bez pośpiechu, jak najdłużej odwlekając moment największej przyjemności.

Ujął jej twarz w obie dłonie i obsypał pocałunkami. Początkowo wyglądało to nawet na zabawę, ale pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne.

- Smakujesz słodko jak najprzedniejszy miód - szepnął Ralph, całując Alayne po twarzy, szyi, piersiach.

W pewnym momencie zajął się jej brzuchem. Pochylał głowę coraz niżej, aż napotkał źródło kobiecej rozkoszy. Alayne miała wrażenie, że zemdleje z nadmiaru szczęścia. Tymczasem Ralph porwał ją w ramiona i powoli, jakby miał do czynienia z najcenniejszym skarbem, ułożył na miękkim łóżku. Sam legł obok niej i pieścił ją bez końca, docierając do wszystkich ukrytych zakamarków.

- Och, Ralpie - szepnęła Alayne, kiedy wydawało jej się, że rozkosz sięgnęła zenitu. - Tak mi dobrze...

- Moje kochanie. Chcę, żeby ci było dobrze. Pragnę cię równie mocno, jak ty mnie pragniesz.

- Cała płonę - wyznała z trudem. - Czy to znaczy, że jestem nieskromna? Czy to grzech, że chcę czegoś więcej?

- Ukochana. - Ralph nie potrafił dłużej powstrzymać namiętności. Delikatnym, lecz pewnym i stanowczym ruchem dokonał tego, czego nie zdołał dokonać pierwszy małżonek Alayne. Przyjęła go jak rozkwitający pąk wita ciepłe promienie słońca. Jak przez mgłę usłyszała jego chrapliwy okrzyk:

- Kocham cię, Alayne! Kocham!

Ból był krótki i szybko ustąpił pod wpływem fali niezwyklej rozkoszy. Trwało to pewien czas, aż wreszcie Alayne przymknęła oczy i wraz z Ralphem zanurzyła się w otchłań ekstazy. W jej oczach błyszczały łzy.

- Dlaczego płaczesz, kochanie? Skrzywdziłem cię?

- Przecież wiesz, że nie. Płaczę ze szczęścia.

- Zawsze będziesz szczęśliwa - zapewnił Ralph. - Żyję tylko po to, żeby dawać ci szczęście.

Uśmiechnęła się. Kiedyś myślała, że Ralph nigdy jej nie pokocha. Teraz pokazał jej, co znaczy szczerza, namiętna i pełna oddania miłość.

- Zawsze... tak jak dzisiaj? Zawsze będziesz mnie kochał tak jak teraz?

- Póki mi życia starczy - obiecał.

Ralph nie mógł się nacieszyć Alayne. Miał wrażenie, że ogrom uczuć, który w nim nabrzmiewał przez minione miesiące, nigdy nie znajdzie pełnego zaspokojenia. Tej

nocy kochali się kilka razy i zasnęli ze zmęczenia dopiero nad ranem.

Alayne obudziła się, kiedy słońce stało już nad horyzontem. Od razu wiedziała, że spała dużo dłużej, niż miała w zwyczaju. Ralph wyszedł wcześniej, lecz zostawił rysunek ust na skrawku pergaminu, leżącego na poduszce. Miało to symbolizować pocałunek. Alayne przycisnęła kartkę do serca. Wszystko w niej śpiewało. Ciągłe jeszcze nie bardzo mogła uwierzyć, że nie śni - że to stało się naprawdę. Zaczerwieniła się, gdy przypomniała sobie miłosne igraszki, chociaż nie powinna się wstydzić. Była szczęśliwa. Ralph wskazał jej drogę do raju. Drogę, którą poszli razem.

Podśpiewując, Alayne owinęła się ciasno prześcieradłem i pobiegła do swojej komnaty. Jakby na dany znak, po chwili zjawiła się Louise z kubkiem piwa i pajdą świeżego chleba z miodem.

- Sir Ralph kazał ci nie przeszkadzać, pani. Wszyscy wiedzą, że musisz być bardzo zmęczona. Wiele dla nas zrobiłaś ostatnimi dniami.

- To nic takiego - odparła Alayne z uśmiechem. - Po prostu przyszło mi do głowy, że należy schłodzić rozpalone ciało chorego, a nie rozgrzewać je jeszcze bardziej. Potem dałam każdemu pewien napój, powszechnie stosowany w moim kraju. - To oczywiście mijało się z prawdą, ale Alayne uznała, że lepiej będzie, jeśli mieszkańcy dworu będą myśleć, iż jej lekarstwo pochodzi z Francji.

- Gdyby nie ty, milady, i panna Grey, więcej osób by zmarło.

Alayne drgnęła, niczym wyrwana ze snu, i przytomniej spojrzała na służącą.

- Lepiej tego nie powtarzać - powiedziała. - Jestem przekonana, że mistrz Brendon miał niemały udział w leczeniu ludzi sir Ralpa.

- Zbrojni twierdzą raczej coś innego - odparła Louise, jakby w ogóle nie słyszała słów swojej pani. - Mówią, że mistrz Brendon jest szarlatanem i że należy go odesłać. Nie chcą, aby ich znowu leczył.

- To już sprawa mojego męża - zauważyła Alayne. Zmarszczyła brwi. - Lepiej być ostrożnym, Louise. Mistrz Brendon mógłby się rozżłościć. To doświadczony lekarz, który zdobył wiedzę po wielu latach uporczywych studiów.

- Moja matka twierdziła, że medycy to szarlatani - upierała się Louise. Pomogła swojej pani włożyć dzienną suknię. - W naszej wsi była pewna stara zielarka, która wszystkim dawała lecznicze wywary i żądała za to zaledwie paru miedziaków. Matka powtarzała, że medycy nie dorastają do pięt tej starej kobiecie.

Tym razem Alayne nie mogła powstrzymać się od śmiechu, ale zaraz spoważniała i przecząco pokręciła głową. Owszem, znała podobne przypadki, lecz nie należało tego głośno mówić przy medykach.

- Twoja zielarka miała dużo szczęścia, że ktoś złośliwy nie oskarżył jej o czary.

- Niestety, tak właśnie się stało - odrzekła Louise i posmutniała. - Byłam wtedy jeszcze małą dziewczynką. Matka powiedziała, że buhaj zdechł i nie było jak zapłodnić

krów reszty gospodarzy. Ktoś krzyknął, że to sprawka zielarki. Poszli po nią, ale na szczęście zdołała wcześniej uciec. Nigdy więcej nie wróciła do wsi i od tamtej pory nie miał nas kto leczyć. Matka utyskiwała, że głupcy wypędzili porządną kobietę. Żadna nie przysłała na jej miejsce. Za bardzo się bały.

- W takim razie ty też trzymaj język za zębami - poradziła jej Alayne. Włożyła granatową suknię i miękki skórzany pasek, luźno wiązany z przodu. Zmarszczyła brwi, kiedy przywieszała do niego pęk kluczy. Zdenerwowała ją opowieść Louise o wiedźmach i czarach. - Możemy myśleć to, co chcemy, ale nie wolno o wszystkim głośno mówić.

- Tak, milady. Będę o tym pamiętać - odparła Louise. Zrozumiała, *co pani chciała jej przekazać*. Nie mogła jednak zamknąć ust pozostałym mieszkańcom Banewulf, którzy otwarcie chwalili lady Alayne i pannę Grey. Traf chciał, że gdy w pobliżu nie było mistrza Brendona, to żadna z chorych niewiast nie umarła.

Nie wszystkie kasztelanki pokroju Alayne byłyby skłonne wejść do służebnej izby i nieść pomoc cierpiącym dziewczętom, nie mówiąc o zbrojnych. Pochwał więc przybywało, a wraz z nimi mnożyły się niestworzone plotki. Mówiono więc, że przy urodzeniu otrzymała niezwykły dar i że we Francji zajmowała się chorymi na zarazę. Byli i tacy, co twierdzili, że potrafiła czynić cuda, chociaż inni stanowczo temu się sprzeciwiali.

Wszyscy byli jej bardzo wdzięczni, ani razu więc nie padło słowo „czary”, nawet jeśli ktoś o tym pomyślał. Jed-

nak był ktoś, kto nie był zadowolony z poczynań Alayne, i tylko czekał, by sprowadzić na nią kłopoty.

Wiosna była w pełnym rozkwicie. Alayne z zadowoleniem krążyła po ogrodzie, wdychając upojny zapach kwiatów. Jutro miała wraz z mężem ruszyć w podróż na północ. Planowali zatrzymać się na kilka dni na zakupy w wielkim warownym mieście, zwanym przez Rzymian Londinium.

Alayne i Morna sporządziły listę potrzebnych produktów i przedmiotów, które mogły się im przydać w gospodarstwie. Długa zima poważnie naruszyła część zapasów. Półki w spiżarni świeciły pustkami. Brakowało wszelkiego dobra, które z łatwością można było nabyć u kupców w wielkim grodzie.

- Jesteś ostatnio tak zajęta, że niemal cię nie widuję - narzekał Ralph. Jednak uśmiech nie schodził mu z twarzy w towarzystwie żony.

Ostatnio przyszedł kolejny list od ojca Alayne, w którym baron de Robspierre przeproszał, że i tym razem liczne obowiązki nie pozwolą mu wybrać się do Anglii. Obiecywał, że w przyszłości postara się ich odwiedzić. Alayne wcale się nie przejęła. Nie tęskniła za ojcem; w domu męża znalazła szczęście. Spędzali razem wszystkie wieczory i noce, czasem w gronie przyjaciół, ale znacznie częściej bezpiecznie ukryci w komnacie. Tak zżyli się z sobą, że nie potrzebowali słów, aby się zrozumieć.

- Bóg nam pobłogosławił, ukochana - powiedział Ralph i delikatnie pocałował żonę w szyję. Alayne siedziała na

niskim stołku, zajęta robótką. - Rzadko się zdarza, żeby w małżeństwie panowało aż tyle szczęścia.

- Wiem - odparła i nadstawiła twarz do dalszych pocałunków. - Oboje mamy za sobą bolesne doświadczenia, dlatego przeżywamy radość w dwójnasób. Modłę się, Ralphie, żeby nic nie zagroziło naszemu małżeństwu.

- Po co się martwisz, ukochana? Przecież mnie kochasz i darzysz wielkim zaufaniem. Ja ciebie także.

- Czy takie szczęście nie jest możliwe tylko w baśniach?

- Porzuć te obawy i wątpliwości. Nie uwierzę, że jesteś przesadna. Chyba że masz rzeczywisty powód do zmartwienia. Czymś cię ostatnio uraziłem?

- Ależ nie! - zawołała szybko. - Jesteś wszystkim, czego niewiasta może pragnąć.

- Mimo to coś cię martwi. Nie kręć głową, mnie nie oszukasz.

- Mistrz Brendon - powiedziała bez ogródek Alayne - nienawidzi mnie od dnia, w którym pomogłam chorym na gorączkę. Pewnie się nasłuchał pochwał pod moim adresem. Kiedy na mnie patrzy, widzę zapiekłą złość w jego spojrzeniu.

- Moi ludzie także mu nie ufają. Był wobec ciebie niemiły? Nie pozwolę na taki afront! - odrzekł stanowczo wzburzony Ralph.

- Nie - odparła. - Na pozór zachowuje się całkiem poprawnie, ale wiem, że mnie nie lubi.

- Nie bój się go - powiedział Ralph. - Nic ci nie zrobi. Jeśli tylko podniesie na ciebie rękę, od razu zwolnię go ze

służby. A niewiele jest takich miejsc jak Banewulf. Zdaje sobie z tego sprawę i na pewno będzie się pilnował.

- Wcale nie proszę, żebyś go wyrzucił. - Alayne wzdrygnęła się, czując zimny dreszcz, który przebiegł jej po plecach. - Przyrzeknij, że nie pozwolisz, by mnie leczył, jeżeli kiedyś będę chora.

- Niedługo przyjmę nowego lekarza - obiecał jej Ralph. - Bądź spokojna. Mistrz Brendon zna swoje miejsce.

- Oczywiście. - Alayne się uśmiechnęła. - Już o nim zapomniałam.

To nie była cała prawda. Zresztą sam mistrz Brendon nie dał o sobie zapomnieć. Tego dnia, gdy Alayne wracała z ogrodu, nieoczekiwanie zastąpił jej drogę.

- Widzę, że uzbierałaś bukiet kwiatów, pani - odezwał się z przekąsem. - Używasz ich do swoich mikstur?

- Kwiaty mają wiele różnych zastosowań - ostrożnie odparła Alayne. - O tym powinna wiedzieć każda kasztelan-ka. Przygotowuję z nich jedynie wonny olej, którym namaszczam skórę.

Zmrużył oczy i spojrzał na nią zimno.

- Słyszałem coś innego.

- W takim razie wierzysz w bajki, mistrzu.

- W innych okolicach nazwaliby cię czarownicą.

Alayne zadrżała na te słowa, ale szybko odzyskała rezon.

- Wiele kobiet padło ofiarą fałszywych oskarżeń - odparła. - Na to jednak potrzeba wyraźnych dowodów. Mówiono ci, że kogoś skrzywdziłam?

Twarz Brendona wykrzywił grymas złości. Choćby

z czystej zawiści podejrzewał ją o czary, ale nie miał niczego, czym mógłby potwierdzić swoje słowa.

- Myślisz, że jesteś bardzo sprytna, pani - wycedził - ale pewnego dnia popełnisz błąd, a wtedy...

- Grozisz mi, sir? - Alayne dumnie uniosła głowę. - Pozwól zatem, że ci przypomnę, iż jestem żoną sir Ralpha i tutejszą panią. Uważaj więc, nasz pan na pewno nie będzie zadowolony, jeśli usłyszy o twoich pogroźkach.

Mistrz Brendon zbladł jak ściana, a potem poczerwieniał z bezsilnej wściekłości. Alayne była piękna i bardzo pociągająca. Od początku budziła w nim zakazane żądze. Niestety, wyszła za sir Ralpha i stała się niedostępna.

Gdyby nie to, że chciał zachować swą pozycję w Banewulf, tu i teraz rzuciłby ją na ziemię i zgwałcił. Wiedział, że to sprawka czarów, że omamiła go jakimś zaklęciem. Na pewno była wiedźmą! Nigdy w życiu tak mocno nie pożałował żadnej innej kobiety.

Odwrócił się i odszedł szybko, nie mogąc wytrzymać jej spojrzenia. Bał się kolejnej kłątwy. Nie wystarczało jej, że go dręczyła? A może miał zginać?

Alayne przez krótką chwilę patrzyła za odchodzącym medykiem. Wprawdzie wygrała bitwę, lecz wiedziała, że wojna jeszcze nieskończona. Brendon był zazdrosny o jej popularność i na pewno będzie szukał sposobu, żeby jej zaszkodzić.

Chyba powinna poprosić Ralpha, aby już teraz go odeśłał. Na pewno spełniłby jej życzenie. Z drugiej strony wołała mieć Brendona na oku. Nie wiadomo, dokąd by się udał, gdyby musiał opuścić Banewulf. Nie wiadomo też, co by wtedy zrobił.

Alayne wzdrygnęła się i czym prędzej wróciła do domu. Na szczęście mistrz Brendon nie jechał z nimi ani do Londynu, ani dalej, na północ. To znaczyło, że co najmniej przez kilka miesięcy nie będą się widywać. I bardzo dobrze. Alayne głęboko zaczerpnęła tchu i spróbowała się uśmiechnąć.

Nie pozwolę, żeby jego cień padł na moje szczęście, pomyślała. Dla mnie liczy się przede wszystkim miłość Ralpa.

W Londynie spędzili kilka dni, odwiedzając głównie ogromne magazyny po obu stronach rzeki. Kupcy korzeniami otrzymali długą listę przeróżnych zamówień. Ponieważ w tym upale mięso larwo się psuło, trzeba było je zaraz po uboju natrzeć solą i przyprawić odpowiednimi ziołami.

Alayne kupowała rozmaite tkaniny dla siebie i pań służebnych. Postanowiła, że każda z nich otrzyma nową suknię. Ralph był tak hojny, że dał jej swą sakiewkę i pozwolił korzystać z niej bez ograniczeń.

Potem jednak na powrót zabrał ją do bławatników. Uznał, że kupiła stanowczo za mało. Wybrał belę przedniej wełny, nieco jedwabiu i adamaszku w żywych kolorach.

- To dla podkreślenia twojej niezwyklej urody - stwierdził.

Zamówił dla niej pantofelki i trzewiki u najlepszych szewców. Zamierzał je odebrać w drodze powrotnej. Resztę zakupionych rzeczy odesłano karawaną wozów prosto do Banewulf. Alayne najlepiej zapamiętała wizytę u złotnika.

W małym kamiennym domu panował ustawiczny pół-

mrok, bo właściciel nawet w dzień zamykał okiennice. Bał się, że ktoś mu zrabuje jego dobra. Miał ku temu swoje powody. Wielu mieszczan zazdrościło Żydom ich bogactwa. Alayne dowiedziała się od Ralpa, że niektórzy książęta i baronowie deponowali u złotnika swoje kosztowności, by zapewnić sobie odpowiednie zyski w jakichś korzystnych interesach.

- Czego zatem tak się boi?

- Jest także lichwiarzem - wyjaśnił Ralph. - Pożycza pieniądze na wysoki procent i potem nie wszyscy chcą spłacić długi. Zeskanowała Anula, przerobiła pona.

- To dlaczego od niego pożyczają?

- Bo tylko Żydzi się tym zajmują.

Alayne skinęła głową, ale niewiele z tego zrozumiała. Złotnik zachowywał się wręcz przymilnie. Dopiero kiedy zobaczyła jego skarby, domyśliła się, że nadskakiwał im nie tylko z czystej grzeczności.

W blasku świec połyskiwały klejnoty najczystszej wody. Złote łańcuchy były tak ciężkie, że aż niewygodne. Pierścienie wszelkich rozmiarów, wagi i roboty.

- Wybierz sobie, co chcesz - powiedział z uśmiechem Ralph, kiedy zawahała się, nie wiedząc, czy spytać o cenę. Nie musiał jej kupować tak kosztownych rzeczy.

- Najbardziej lubię perły - powiedziała po długim namyśle. - Ten naszyjnik z pereł i turkusów jest naprawdę ładny, milordzie.

- W takim razie bierzemy go - zawyrokował Ralph. Kupiec zmarkotniał nieco, bo to był jeden z jego tańszych wyrobów. - Do tego tamten sznur pereł, złoty łańcuch i pierścionek z perłą i turkusem. Będzie pasował do naszyjnika.

Kupiec znów z uśmiechem گیا się w ukłonach. Alayne próbowała nieśmiało zaprotestować, ale mąż nie dopuścił jej do głosu. Mogła mu jedynie podziękować.

- Podziękujesz później... w całkiem inny sposób - szepnął, gdy kupiec odszedł, by zapakować cenne zakupy. - Czekam na ciebie dziś w nocy, ukochana.

Alayne zaczerwieniła się, lecz wyszeptała w odpowiedzi, że wspomniana noc będzie w równym stopniu prezentem dla niej jak i dla niego. Ralph roześmiał się, nazwał ją lubieżnicą i opuścili dom złotnika w szampańskich humorach.

Później, gdy Alayne ponad wszelką wątpliwość już wiedziała, że jest brzemienna, zastanawiała się, czy nie poczęli dziecka właśnie tamtej szalonej nocy.

Rozdział jedenasty

Podróż do północnych włości Ralpa, które odziedziczył po rodzinie matki, przebiegała w leniwym tempie. Piękna pogoda nikogo nie zachęcała do pośpiechu. W Nottingham zatrzymali się u kuzynów Ralpa, spokrewnionymi także z ojcem Marguerite. Tam Alayne dowiedziała się, że jej przyjaciółka niedługo weźmie ślub z baronem de Froisartem.

- Miałam nadzieję, że się zobaczymy! - zawołała Marguerite. - Napisałam list, żeby podzielić się z tobą moim szczęściem, ale pewnie nie dotarł do Banewulf przed waszym wyjazdem.

- Nic nie dostałam - odparła Alayne, chwytając przyjaciółkę w objęcia. - Nie masz pojęcia, jak się cieszę, Marguerite. Dobrze ci w roli przyszłej żony żołnierza?

- Najważniejsze, że Pierre jest blisko - odrzekła Marguerite i zaczerwieniła się po same uszy. - Chyba już trochę mnie polubił, Alayne. Jakby mniej tęsknił za tobą.

- Moim zdaniem, przez cały czas kochał tylko ciebie -

zapewniła ją Alayne. - Mam nadzieję, że przyjedziecie kiedyś do Banewulf?

- Być może - odparła z przekornym uśmiechem Marguerite. - Chyba cię nie muszę pytać, czy jesteś szczęśliwa. Widać to w twoich oczach.

- Tak, jestem najszczęśliwsza w świecie - stwierdziła Alayne. - Ciebie niedługo też to czeka.

Marguerite pokiwała głową, a potem zmarszczyła brwi, jakby sobie coś przypomniała.

- Nie wiem, czy to ma znaczenie - powiedziała z wahaniem. - Pierre wspomniał mi, że widział de Braceyę na targu w Nottingham.

- Tutaj? - Alayne była szczerze zaskoczona. - Co mógłby robić w Anglii? Nie ma tu majątku.

- Pierre uważa, że po tym, jak go wyrzucono z Poitiers, próbuje wkraść się w łaski króla Henryka.

- To całkiem możliwe - z namysłem odparła Alayne. - Najjaśniejszy pan wie przecież, co się stało, i raczej na pewno nie przyjmie go do siebie. Kto by chciał człowieka, który pogwałcił uświęcone tradycją zasady kodeksu rycerskiego?

Marguerite wzruszyła ramionami.

- Nie wiem i prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. Powiedziałam ci o tym jedynie dlatego, że Pierre mnie o to prosił.

- Nie ma go?

- Pociągnął na wyprawę. Już prawie osaczył ostatnią grupę banitów. Latem będzie miał więcej czasu i wtedy urządzimy wesele.

Alayne przypomniała sobie dzień, kiedy podstępnie wypuszczona strzała zaledwie o kilka cali minęła pierś Ralphi. Wszyscy wtedy myśleli, że to sprawka bandytów lub jednego z ludzi Williama Foultona. A jeśli za zamachem krył się ktoś inny? Jeżeli to de Bracey chciał zabić człowieka, przez którego utracił wpływy i pozycję? Alayne zadrżała. Za dużo wrogów...

Postanowiła, że powie o wszystkim Ralphiowi.

Tak jak się spodziewała, Ralph tylko się roześmiał na wieść o de Braceyu.

- Nie boję się de Braceya ani żadnego głupca, który nie ma dość odwagi, żeby stanąć przede mną z mieczem w ręku - rzekł tego wieczoru. Delikatnie pogładził ją po nagich plecach. - Jeśli teraz przyjechał do Anglii, to znaczy, że nie było go tutaj w dniu zamachu. Niełatwo się wyleczyć z tak ciężkiej rany. Kuracja bez wątpienia trwała miesiącami.

Alayne nie zamierzała spierać się z mężem. Jechali przecież dużym, obronnym orszakiem i nie musieli obawiać się napadu. Od tamtego zamachu Ralph stał się ostrożny, a zbrojni całą dobę czuwali nad swoim panem.

Po kilku dniach spędzonych z Marguerite pojechali dalej, by odwiedzić dobra Ralphi. Droga wiodła ciągle na północ. Było tu nieco chłodniej niż w Banewulf, ale okolica wyglądała przepięknie, pełna zielonych wzgórz i kwitnących sadów. Tu i ówdzie pasły się duże stada owiec, źródło bogactwa Anglii; angielska wełna, uznawana za najlepszą, była poszukiwana w całej Europie.

Alayne była szczęśliwa z wielu różnych powodów, lecz wkrótce jeden z nich okazał się ważniejszy od pozostałych. Na dworze w Thane dowiedziała się ponad wszelką wątpliwość, że jest brzemienna.

Jeszcze trochę zwlekała z decyzją, czy powiedzieć o tym Ralphowi. Po pierwsze chciała mieć pewność, po drugie wiedziała, że obawiał się takiej wiadomości. Owszem, czekał na dziecko, ale wciąż pamiętał, co działo się z Berenice, zwłaszcza w ostatnich miesiącach ciąży.

Właśnie wybrali się na targ, kiedy Alayne uznała, że nie ma co dłużej zwlekać. Ralph kupił jej wstążki i srebrny pucharek. Ze śmiechem wracali przez łąkę do domu. Mieszkali w zwykłej wiejskiej rezydencji, zupełnie niepodobnej do ufortyfikowanego dworu Banewulf.

- Podoba mi się dom twojej matki - powiedziała Alayne. Ralph pochylił się i zerwał stokrotkę. Alayne ze śmiechem odbiegła kilka kroków. Nie uciekała jednak szybko, dogonił ją więc bez trudu. - Dobrze mi tutaj, milordzie. Żał będzie odjeżdżać.

- Zimą na pewno zmieniałabyś zdanie - odparł, wziął ją w ramiona i pocałował. - Jeśli chcesz, możemy zostać trochę dłużej.

- Nie, lepiej trzymajmy się planu - odpowiedziała i zaczerwieniła się lekko. - Obawiam się, że za kilka miesięcy miałybyśmy.. pewne trudności z utrzymaniem się na koniu. A poza tym chciałabym być w domu w dniu narodzin twojego syna.

- Mojego syna... - Ralph wpatrywał się w żonę oszołomiony, po czym z uśmiechem ujął ją pod rękę. - To prawda, najmiłsza? Nosisz moje dziecko?

- Tak, milordzie - odparła lekko onieśmielona jego płomiennym spojrzeniem. - Już od pewnego czasu to podejrzewałam, ale najpierw chciałam o wszystkim się upewnić. Poprosiłam więc o radę brata Hardinga. Powiedział, że są u mnie wszelkie oznaki ciąży.

- Nie przeszkadza ci to? - Ralph zerknął na nią z niepokojem. - Nie boisz się?

- Nie, Ralphie. Zupełnie się nie boję. Nie chcę tylko, aby mistrz Brendon mnie doglądał.

- Masz na to moje słowo - obiecał Ralph i zamyślił się na krótką chwilę. - Rozmawiałem z bratem Hardingiem. Zgodził się na pewien czas zamieszkać w Banewulf. Chyba go lubisz, prawda?

- Przede wszystkim mu ufam - odpowiedziała stanowczo. - To prosty, lecz niezwykle serdeczny człowiek. Nie głosi wszem i wobec, że zna lekarstwa skuteczne na każdą chorobę. Przez wiele lat był aptekarzem w opactwie, ale używa tylko takich leków, które są mnie i tobie dobrze znane.

- W takim razie powinien jechać z nami - zdecydował Ralph. - A ty z kolei musisz mi obiecać, że będziesz bardzo ostrożna. Jak najwięcej odpoczywaj.

- Domyślałam się, że będziesz mnie zadrezczał zbytnią troskliwością. Brat Harding twierdzi wręcz przeciwnie, że powinnam ćwiczyć i nie rezygnować z codziennych zajęć.

- Ach tak, już przeciągnęłaś go na swoją stronę jakimś zaklęciem? - zażartował Ralph i spojrzał na nią czule. - Dobrze wiem, że owinęłaś sobie wokół palca wszystkich

mieszkańców Banewulf. Czasami myślę, że chętniej tobie służą niż prawowitemu panu.

Alayne wybuchnęła śmiechem. Większość obowiązków wypełniali razem. Wspólnie odwiedzali wsie i osady, nie pomijając nawet najmniejszej chałupki. Ludzie w Thane i Banewulf kochali swojego pana i chętnie mu służyli. Mimo wyzysku i niesprawiedliwości, z góry nakładanych przez system feudalny, Ralph nie korzystał z wielu praw seniora, uważając je za nieludzkie i okrutne.

- Od mych poddanych oczekuję posłuszeństwa i wierności - powiedział kiedyś w odpowiedzi na uwagę żony, że w jego majątku panuje spokój i porządek. Wieśniacy wyglądali na zadowolonych nawet wtedy, gdy przyszło im odrabiać zaległą pańszczyznę. - Wymagania łączą się z obowiązkami. Moi ludzie wiedzą, że mogą na mnie liczyć w chwilach nieszczęścia albo zagrożenia. Jeśli mam żywność we własnej spiżarni, to w czasie ciężkiej zimy podzielę się z nimi.

- Nawzajem wierni - odparła Alayne. - Moim zdaniem, tak samo powinno być w małżeństwie.

Porządki i zwyczaje panujące w Banewulf wyglądały zupełnie inaczej niż w majątku jej pierwszego męża. Tam chłopci wilkiem patrzyli na swojego pana i z wielkim ociąganiem brali się do każdej pracy. Alayne pomyślała, że jej obecne życie jest pasmem szczęścia. Napełniało ją to radością, ale i obawą. W skrytości ducha obawiała się, że ta sielanka nie może trwać wiecznie.

W połowie lata wrócili do Banewulf. Po drodze zatrzymali się na trzy dni w Londynie, aby kupić rzeczy potrzebne dla dziecka i uzupełnić zapas lekarstw. Ralph posłuchał rady brata Hardinga i nabył rozmaite zioła i mikstury przydatne dla kobiet w ostatnim okresie ciąży.

Przez cały czas spod oka obserwował żonę, obawiając się, czy nie zobaczy oznak zniechęcenia lub złości z jej strony. Alayne jednak wydawała się weselsza niż dawniej. Wprost tryskała energią. Ralph cieszył się, lecz nie potrafił pozbyć się obaw. Lękał się, że może ją stracić. Była tak piękna, taka kochana, jedyna. Nie wyobrażał sobie życia bez Alayne.

- Czy to grzech zaznać tyle szczęścia z kobietą? - zagadnął brata Hardinga pewnego wieczoru. Bardzo polubił skromnego mnicha, który przez wiele lat pobytu w Thane zaskarbił sobie życzliwość i szacunek tamtejszych mieszkańców.

- To pytanie zadaje sobie ród męski już od zarania świata, milordzie - odparł zakonnik z wesołym błyskiem w oku.
- I tak trwać będzie po Sąd Ostateczny. Gdybyś poświęcił się służbie Bogu, moja odpowiedź brzmiałaby twierdząco. W twoim przypadku można ci wybaczyć. Wzięłeś ją za żonę, a ona jest piękna i ma czyste serce. Wielu chciałoby znaleźć się na twoim miejscu, sir.

Ralph się uśmiechnął. Wiedział, że brat Harding też znalazł się pod nieodpartym urokiem Alayne. Nie był to jednak człowiek, który dla niewiasty złamałby zakonne śluby. Cichy, skromny, oddany Bogu i potrzebującym, zwłaszcza-

cza chorym - jeden z nielicznych, którym Ralph ufał bez zastrzeżeń. W dodatku miał też inne powody, żeby zaprosić go do Banewulf.

Alayne cieszyła się z powrotu do domu, bo minione miesiące sprawiły, że zapomniała o mistrzu Brendonie. Już nie budził w niej strachu.

Nic nie wiedziała o pewnej rozmowie, którą Ralph odbył z Brendonem po przyjeździe do Banewulf.

Obecność brata Hardinga, człowieka o łagodnym głosie i skromnym zachowaniu, była ostatnią kroplą, która przepełniła kielich goryczy medyka. Mistrz Brendon z niechęcią obserwował, jak Alayne swobodnie rozmawia z mnichem. Nienawidził jej za każdy uśmiech i każde wesołe spojrzenie.

Tymczasem Alayne, bezgranicznie szczęśliwa, nie spostrzegła rzucanych ukradkiem złych spojrzeń. W miarę upływu czasu jej myśli skupiały się na dziecku. Z radością pozdrawiała znajomych i przyjaciół, odwiedzających ją we dworze i przynoszących podarki.

Wszyscy byli pod wrażeniem emanującego z niej zadowolenia. Wydawało im się, że otacza ją świetlista aura.

Panna Grey z ochotą pomagała swojej pani przygotować wyprawkę dla mającego się narodzić dziecka.

- Ten szal należał do twojego męża, pani - powiedziała Morna pewnego grudniowego ranka, kładąc na stole zawiniątko. Wełna była mięciutka jak babie lato. - Odłó-

żył go już dawno temu. Chyba nawet nie został przez nas uwzględniony w spisie inwentarza.

- Chyba nie - odparła Alayne i z namysłem przesunęła dłonią po tkaninie. - Dziękuję, że o tym pomyślałaś, Morna. Przyda się jako kołderka do chrztu. A może przy okazji znalazłaś coś jeszcze?

- Sporo tego jest w tamtym kufrze - zauważyła Morna. - Trafił na wieżę, gdzie nikt nie zagląda, i umknął naszej uwagi. Nie musisz, pani, iść na tę basztę. Któregoś dnia każe go przynieść komuś ze służby. Póki co, mamy sporo czasu.

Uśmiechnęła się, myśląc, że przecież nie wiadomo, czy urodzi się syn, czy córka. Alayne jednak była święcie przekonana, że na świat przyjdzie chłopiec.

Morna wyszła. Alayne westchnęła cicho. Nudziło jej się samej w pustej komnacie. Wszyscy powtarzali, że nie powinna zbyt się przemęczać, ale ona ciągle szukała nowych zajęć. Odłożyła robótkę i zdecydowała, że jednak wdrapie się na wieżę. Pamiętała, w której izbie złożono większość starych kufrow.

Powoli weszła po kręconych schodach, co chwila robiąc przerwy, żeby odetchnąć. Ralph był przewrażliwiony, bo wciąż miał w pamięci to, co po porodzie stało się z Berenice. Jednak Alayne nigdy nie czuła się lepiej niż w ciąży. Zżymała się jedynie na to, że nie może być tak aktywna, jak dawniej.

Izba okazała się mała, dziwacznej kształtu, z kilkoma schodami, łączącymi wieżę ze starą częścią zamku. Tuż za progiem powiało chłodem. Alayne wzdrygnęła się mi-

mo woli. Stare kufry wyglądały tak, jakby latami nikt ich nie otwierał.

Kolejno podnosiła wieka i zaglądała do każdej skrzyni. W większości z nich złożono kobiece stroje o staroświeckim kroju, zapewne należące do którejś kasztelanki. Wiele z nich już nadgryzły mole. Niepotrzebnie tu leżą, pomyślała Alayne. Służba powinna to wyrzucić.

W ostatnim kufrze nareszcie znalazła to, czego szukała: ubranko dla chłopca, starannie zawinięte w jedwab i przełożone wonną lawendą. Piękna rzecz, wykonana zapewne przez matkę Ralpha. Alayne z triumfalnym uśmiechem uniosła ubranko do światła. Uznała, że warto było odbyć tę wyprawę. Wyprostowała się i ruszyła stronę wyjścia, żeby wrócić do swojej komnaty.

Na szczycie schodów poczuła lekki zawrót głowy. Przytrzymała się ściany. Już nie pierwszy raz pojawiły się takie sensacje. Wiedziała, że miną. Wystarczyło poczekać.

Po kilku chwilach była w pełni gotowa do dalszej wędrówki. Pokonała pierwszą część schodów i skręciła w korytarz wiodący do głównej części dworu. Słońce powoli miało się ku zachodowi, ale nikt jeszcze nie zdążył zapalić pochodni. Korytarz tonął w półmroku. Alayne odruchowo przystanęła na moment. Nagle usłyszała za sobą jakiś szelest. Zanim zdążyła się odwrócić, poczuła tępe uderzenie w głowę. Świat zawirował jej przed oczami, a potem wszystko przestroniła ciemność.

- Moja głowa! - Alayne uchyliła powieki i zobaczyła nad sobą ciemną sylwetkę. - Coś mnie uderzyło.

- Zachwiałaś się i upadłaś, pani - powiedziała Morna, bo to właśnie ona pochyliła się nad nią ze świecą w dłoni.

- Dobrze, że kilka minut wcześniej poszłam cię poszukać. W przeciwnym razie mogłabyś tam przeleżeć do rana.

- Nie. - Alayne powoli odzyskiwała pełną świadomość.

- Owszem, chwilę przedtem miałam zawroty głowy, ale później poczułam się zupełnie dobrze. Chyba ktoś mnie uderzył.

- Znalazłam cię na dole schodów wiodących na wieżę, pani - z zafrasowaną miną odparła Morna. - Sir Ralph ogromnie się niepokoił. W pewnym momencie przypomniałam sobie, że pytałaś o ubranko do chrztu.

- Tak, właśnie po nie poszłam, lecz nie przewróciłam się na schodach. Dotarłam już do korytarza, w którym stary dom łączy się z nowym.

Morna przyglądała jej się z powątpiewaniem.

- Dlaczego ktoś miałby to zrobić, pani? Dlaczego ktoś miałby cię zaciągnąć z powrotem do schodów?

- Żeby to wyglądało na wypadek - odparła Alayne i usiadła. Ostrożnie dotknęła obolałego miejsca z tyłu głowy. - Była krew?

- Tak. Brat Harding obejrzał skaleczenie i powiedział, że mogłaś rozciąć sobie skórę o ostry kant schodów.

- Jeszcze raz powtarzam ci, że nie upadłam. Ktoś to upozorował.

Mówiła z takim przekonaniem, że w oczach panny Grey pojawił się cień niepokoju.

- Ale kto? - spytała.

- Jest tylko jedna osoba w całym dworze, która niena-

widzi mnie z całego serca - stwierdziła Alayne. - To mistrz Brendon. Podejrzewam, że to jego sprawka. Chociaż trudno uwierzyć, żeby odważył się na taki haniebny czyn.

- Gdybym cię nie znalazła... - Morna aż się wzdrygnęła. - Wolę nie myśleć, co by się wtedy stało. W tamtej części domu jest bardzo zimno.

- Wszyscy pomyśleliby, że to był wypadek - szepnęła Alayne. - Co gorsza, mogłam stracić dziecko... - Nagle jej twarz wykrzywił grymas przerażenia i z całej siły chwyciła Mornę za rękę. - Powiedz mi, że to nieprawda! Powiedz, że nie poroniłam!

- Nie, milady. Uspokój się. Sir Ralph też martwił się o dziecko. - Panna Grey uspokajającym ruchem poklepała ją po dłoni. - Ale przede wszystkim zatroszczył się o ciebie. Na szczęście brat Harding stwierdził, że nie odniosłaś żadnych poważniejszych obrażeń.

- Bogu dzięki. - Alayne się przeżegnała.

- Sir Ralph powinien dowiedzieć się o twoich podejrzeniach, pani - powiedziała Morna i trwożliwie spojrzała przez ramię, jakby obawiała się, że ktoś może ich podsłuchać. - leżeli to naprawdę medyk...

- Wiem tylko, że uderzono mnie w głowę - przerwała jej Alayne. - Nie mogę udowodnić, że to Brendon. Jeśli powiem o tym mężowi, wpadnie w złość i na pewno wyrzuci go z majątku, a to mogłoby mieć niepożądane skutki.

- Ale nie może tutaj zostać! - zawołała Morna. - Następnym razem możesz zginąć, milady.

- Nie odważy się tego zrobić. Dopóki mieszka w Bane-

wulf, pozostaje pod jurysdykcją mojego męża. Dlatego starał się, żeby to, co mi się przydarzyło, wyglądało na wypadek. Pewnie miał nadzieję, że nie zapamiętam, co się naprawdę stało. A może było to ostrzeżenie. Lepiej nikomu nic nie mówić, Morno. Przynajmniej na razie.

- Jak sobie życzysz, pani - odparła panna Grey, ale nie wyglądała na przekonaną.

- Muszę mieć dowód, zanim wygłoszę oskarżenie. Możesz teraz poprosić mojego męża?

Morna wyszła, Alayne zaś przez chwilę leżała z zamkniętymi oczami. Wciąż bolała ją głowa, ale mogła jasno myśleć. Przypomniała sobie, że tuż przed uderzeniem usłyszała jakiś stłumiony dźwięk i poczuła charakterystyczną woń, która zawsze budziła w niej odrazę. Teraz była już niemal pewna, że to sprawka medyka. Ale dlaczego na nią napadł? Chciał ją zabić czy tylko przestraszyć?

- Alayne! Napędziłaś nam stracha!

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do Ralpha. Usiadł na brzegu łóżka i wziął ją za rękę.

- Zwykły wypadek - powiedziała Alayne. - O nic nie musisz się obawiać, milordzie. Jestem silna.

- Mogłaś umrzeć albo stracić dziecko.

- Wybacz mi, Ralpie. Przecież nie chciałam...

- Tyle razy prosiłem cię, żebyś uważała. Nie powinnaś tam chodzić sama. Schody są stare i zmurszałe. Nic dziwnego, że spadłaś. Dlaczego zawsze musisz ryzykować? Jeszcze w twoim stanie...

- Wybacz mi. Przepraszam. Najważniejsze, że nic się nie stało dziecku ani...

- Nie o to chodzi... - Urwał, widząc, że jest bliska płaczu. - Wcale się na ciebie nie gniewam, Alayne. Byłem tylko straszliwie niespokojny. Nie chcę cię stracić.

- I nie straciłeś. - Uśmiechnęła się, ale poczucie żalu nie minęło. Tak bardzo martwił się o dziecko? A co ze mną? - pomyślała. Od tygodni nie sypiamy razem. Znudziłam mu się czy też straciłam dawny urok?

- Na przyszłość będziesz ostrożniejsza? - spytał Ralph. - Właśnie dostałem list od króla. Mam natychmiast stawić się na dworze. Moja nieobecność może potrwać nawet parę tygodni. - Popatrzył na żonę z zatroskaną miną. - Nie chcę zostawiać cię w tym stanie, ale nie mogę odmówić królowi. Przepraszam cię, Alayne. Chyba wiesz, że to nie moja wina.

- Wiem. Jedź spokojnie - powiedziała ze ściśniętym sercem. - Musisz być posłuszny królowi. Nic mi się nie stanie, milordzie.

- Żadnych wędrówek po starych basztach?

- Żadnych. Będę bardzo uważać, gdzie chodzę.

- Nie patrz na mnie w ten sposób, Alayne. Boję się o ciebie. Kocham cię i będę ogromnie tęsknił.

- Tak, milordzie. - Pocałowała go, lecz wciąż czuła żal do męża. - Wróć tak szybko, jak tylko najjaśniejszy pan ci pozwoli.

- Na pewno zdążę na narodziny - odparł Ralph. Podniósł się i popatrzył na nią spod oka. - Czuwaj nad sobą, kochanie, i zawiadom mnie, gdybyś była chora. Natychmiast przyjadę.

- Nie zachoruję, Ralpie. Jest przy mnie brat Harding,

Morna i służące. Ty myśl wyłącznie o podróży, a mną nie zwracaj sobie głowy.

- Doskonale wiesz, że przez cały czas będę o tobie myślał. - Pochylił się i jeszcze raz pocałował ją w czoło. - Wyjadę skoro świt, Alayne. Nie zamierzam cię budzić. Brat Harding powiedział, że po tym wypadku powinnaś dużo spać i odpoczywać. Powtarza: „Sen to najlepsze lekarstwo na kłopoty”.

- Bóg z tobą - powiedziała Alayne.

Ralph jeszcze na moment zatrzymał się w tajnym przejściu, łączącym ich pokoje, i spojrzał na nią z uśmiechem.

- Zamknij je z samego rana - rzekł. - Lepiej, aby nikt nie wiedział, że tą drogą też można się do ciebie dostać. Uważaj na siebie, ukochana - powtórzył. - Nie ryzykuj.

- Tak, mój panie. Pamiętam - odparła. - Nic się nie bój.

- Z Bogiem, moje kochanie.

Alayne zamknęła oczy. Niepotrzebnie martwiła się jego wyrzutami. Przecież dobrze wiedziała, że mąż ją kocha. Miał prawo gniewać się za to, co się stało. Kłopot w tym, pomyślała, że przecież nie zrobiłam nic złego.

Trochę żałowała, że nie powiedziała mu całej prawdy. Może lepiej, żeby Brendon na zawsze odszedł z Bane-wulf? Nie była w stanie zdecydować. Chyba z dwojga złego wolę, aby był na widoku, niż chował się w cieniu, uznała w końcu.

Brat Harding doradził Alayne, żeby po wypadku przez kilka dni nie wstawała z łóżka. Tak jak wszyscy, był przeko-

nany, że zasłabła na prowadzących z wieży schodach. Uważał, że tylko cudem nie doszło do nieszczęścia.

Morna Grey codziennie odwiedzała swoją panią. Przesiadywała u niej całymi godzinami. Podobnie Louise i Bethel. Plotkowały o tym, co wydarzyło się we dworze, opowiadały historie z dzieciństwa i pomagały wybierać delikatne jedwabie przeznaczone na wyprawkę dla dziecka. Alayne jednak źle znosiła ten przymusowy areszt i ucieszyła się, kiedy brat Harding wreszcie pozwolił jej opuścić komnatę.

Minął już ponad tydzień od wyjazdu Ralpha. Alayne po raz pierwszy wyszła na dłuższy spacer. Ubrała się wyjątkowo ciepło, by ochronić się przed mroźnym wiatrem. Wyszła za bramę i popatrzyła na szerokie łąki, myśląc o tym, ile przyjemności sprawiały jej przejażdżki z Ralphem. Nagle usłyszała tętent i parskanie koni. Zawróciła czym prędzej, przekonana, że mąż wrócił wcześniej, niż się spodziewał. Ogromnie za nim tęskniła.

Na dziedzińcu stał oddział jeźdźców. Alayne poczuła się nieswojo, kiedy rozpoznała wśród nich barona Williama Foultona. Dlaczego brat Berenice przybył bez zapowiedzi? Ralph na pewno się go nie spodziewał, bo inaczej by ją uprzedził.

Alayne niechętnie podeszła powitać barona. To jednak był jej obowiązek jako kasztelanki, zwłaszcza pod nieobecność męża. Ciągle nie dowierzała Foultonowi.

- Niestety, panie, muszę cię zmartwić, lecz męża nie ma w domu - powiedziała po krótkim przywitaniu. - O tej

porze roku chodzimy wcześniej spać, więc rozrywek też raczej nie stanie.

- Przyjechałem do ciebie - odparł William Foulton. Zimny dreszcz przebiegł po plecach Alayne. - Nie pozostanę długo w tym przeklętym miejscu. Mówiono mi, że od pewnego czasu jesteś przy nadziei i że ostatnio uległaś wypadkowi. Uznałem zatem, że powinienem cię odwiedzić.

- Nie bardzo rozumiem... - Alayne zrobiło się nieswojo. - Nie musisz troszczyć się o moje zdrowie, panie. Jak sam widzisz, nic mi nie dolega. Wystarczyłoby, gdybyś napisał list z zapytaniem. W ten sposób oszczędziłbyś sobie trudów niepotrzebnej podróży.

- Nie bardzo rozumiesz - powtórzył William. Wziął ją za rękę i poprowadził w ustronny kąt dziedzińca, gdzie mógł mieć pewność, że nikt go przypadkiem nie podsłucha. - Nie chcę, żebyś zginęła tak jak moja siostra. Dlatego przyjechałem teraz, dopóki go nie ma.

- Mówisz o moim mężu, panie? - Alayne z trudem zapanowała nad drzeniem głosu. - Co to znaczy?

- Berenice padła ofiarą morderstwa. To sprawka twojego męża lub kogoś, kogo on wynajął.

- To ohydne kłamstwo! - zawołała Alayne. Tak się zdeenerwowała, że przez chwilę miała wrażenie, że zemdleje. - Jak możesz tak oczerniać sir Ralpha?

- Berenice napisała do mnie tuż przed śmiercią - odparł William. - Użalała się, że mąż jej nie kocha i że na pewno by się cieszył, gdyby umarła. Mam trzy listy, w których mi wyznaje, że obawia się o swoje życie. Bła-

gała, abym ją ratował, zanim będzie za późno. Niestety, przebywałem wówczas daleko od domu. Kiedy wróciłem, już nie żyła.

- Nie! Była chora, miała urojenia...

- To on chce, żebyś tak myślała - stwierdził William. - Znudził się nią i tak jej dokuczał, że w końcu się rozchorowała. Wreszcie zażyła podaną jej truciznę i zmarła.

- Co takiego?!

- Medyk podawał jej lekarstwo, po którym czuła się jeszcze gorzej - wyjaśnił William. - To w końcu ją zabiło. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że łotr działał na rozkaz Ralpha.

- Jak możesz tak mówić?! - wykrzyknęła Alayne, przeżona tymi oskarżeniami. - Ralph to dobry i łagodny człowiek. Boleśnie przeżył śmierć Berenice. Nigdy nie popełniłby tak ohydnej zbrodni. Mylisz się. On nie ma z tym nic wspólnego.

- Mnie też z początku zdawał się łagodny. Przekonałem się, że pod tym smutnym uśmiechem skrywa serce z kamienia. Dla nikogo nie ma litości. Moja siostra była dla niego zbyt młoda i niewinna. Musiał ją zabić, żeby ponownie się ożenić.

Alayne dygotała jak w febrze. Nie chciała uwierzyć, że Ralph z zimną krwią zamordował pierwszą żonę, że życzył jej śmierci. W tym momencie przypomniała sobie własny niedawny „wypadek”. A jeśli... Nie! - skarciła się w duchu. Nie daj się omamić temu człowiekowi. Ralph cię naprawdę kocha, nie jest potworem, nie zabił Berenice.

Spojrzała Williamowi prosto w oczy.

- Skoro tak, to wyjaśnij, dlaczego wcześniej się nie ożenił?

- Szukał bogatej żony - bez cienia wahania odparł William. - Poza tym bał się, że za szybko wyjdzie na jaw prawda o śmierci Berenice. *Szczęśliwym trafem spotkał ciebie.* Nie łudź się, że cię naprawdę kocha. To zimny, bezlitosny drań, o czym najlepiej przekonała się moja biedna siostra, i przypłaciła to życiem.

- Nie! Berenice była chora. Ty zaś wpadłeś w rozpacz i w pewnej chwili przestałeś odróżniać prawdę od kłamstwa. Gdyby sir Ralph tylko wiedział...

- ... to by mnie zabił - dokończył William. - Nie dbam o to. Wszystko mi jedno, skoro moja Berenice leży w grobie. Czepiam się życia jedynie po to, żeby dopełnić zemsty. A jest w zasięgu ręki...

- Co to znaczy? - z przerażeniem spytała Alayne. - Chcesz go zabić?

- Im szybciej umrze, tym dla ciebie lepiej, pani - odparł William. Odwrócił się, jakby chciał odejść, ale Alayne przytrzymała go za rękę. - Przyjechałem tu jedynie po to, by cię ostrzec. Teraz wybieram się do króla, żeby przedłożyć dowody zbrodni. Jeżeli wszystko pójdzie po mojej myśli, będziesz bezpieczna, pani. *Do tego czasu strzeż się i uważaj na siebie.*

- Nie możesz teraz odejść! - zawołała Alayne. Budził w niej strach swoim zachowaniem. Podejrzewała, że oszalał. - Okłamałeś mnie, panie! Wiem, że na pewno kłamiesz! Twoje oskarżenia są bezpodstawne!

- Pilnuj się - rzucił William. Spojrzał na nią groźnie,

chwycił wodze i zręcznie wspiął się na siodło. - Nie wierz nikomu; nawet tym, którzy się mieniają twoimi wiernymi przyjaciółmi.

Alayne patrzyła przez chwilę, jak odjeżdżał, a potem zrozpaczona wróciła do domu. Miała mdłości i zawroty głowy. Z trudem walczyła z sobą, by nie upaść. Przystanąła i wzięła kilka głębokich oddechów. Słabość wkrótce minęła. To nic, pomyślała, już mi się to zdarzało. Wciąż była pod wrażeniem wizyty Williama Foultona, ale próbowała wyrzucić to z pamięci. Brat Berenice już kiedyś próbował zniszczyć jej szczęście. Teraz, wiedząc o wyjeździe Ralpha, na nowo usiłował zasiać w niej ziarno nieufności.

- Źle się czujesz, milady?

Brat Harding podszedł do niej szybkim krokiem i popatrzył na nią z niepokojem. Alayne zmusiła się do uśmiechu i pokręciła głową.

- To nic, braciszku - powiedziała. - Zwykła chwilowa słabość. Zaraz przejdzie.

- Zdarzało ci się to już kiedyś, pani? Bierzesz jakieś lekarstwa?

- Tylko to, co mi przepisałeś.

- Może sporządziłem nieco za słabą dawkę. Odeślij ją do mnie. Spróbuję wymyślić coś innego.

Alayne przez chwilę patrzyła na niego bez słowa. W uszach dźwięczały jej wcześniejsze słowa barona. „Medyk podawał jej lekarstwo...” „Nie wierz nikomu...”

Nie. Żadne kłamstwa nie podważą jej zaufania do mieszkańców Banewulf. Ralph ją naprawdę kocha. Nie istniał żaden realny powód, dla którego chciałby zabić ją lub

Berenice. William Foulton oszalał z rozpaczy po śmierci ukochanej siostry. Od tamtej pory wszędzie widział wrogów.

- To nie lekarstwo - odpowiedziała i obdarzyła zakonnika promiennym uśmiechem. - Nic strasznego. Małeńka niemoc.

- Kilka dni temu straciłaś przytomność, lady Alayne.

- Nie. To nie tak. - Spojrzała mu prosto w oczy. Nagle poczuła wewnętrzną potrzebę, aby wyznać mu prawdę. Chyba powinien o tym wiedzieć. - Ktoś mnie uderzył i nieprzytomną zaciągnął pod schody, żeby upozorować wypadek.

- W imię Boga, kto byłby zdolny do czegoś takiego? - zapytał Harding. - Dlaczego nic do tej pory nam nie powiedziałaś, pani? Sir Ralph na pewno o tym nie wie.

- Nie chciałam go niczym martwić przed wyjazdem - odparła Alayne, znowu niepewna, czy jednak nie powinna milczeć. - Jechał przecież na wezwanie króla. A poza tym mogę się mylić...

- Nie. Pod tym względem na pewno się nie mylisz - stanowczo odpowiedział mnich. - Musisz bardzo uważać, milady. Zrobię wszystko, żeby cię chronić, ale...

- Nigdzie nie będę chodzić sama - obiecała Alayne. - Nie boję się o własne życie. Gdyby chciał, już by mnie zabił.

- Podejrzewasz kogoś, milady?

- Nie mam dowodów. Nie mogę nikogo oskarżyć.

- Jesteś naprawdę bardzo mądra, pani, lecz chyba nie muszę ci mówić, że powinnaś wystrzegać się jednego z tujejszych domowników.

Popatrzyła na niego z osłupieniem. Czuła, jak lodowate palce strachu chwytają ją za gardło.

- Co to znaczy?

- Lepiej uważaj na lekarstwa, które bierzesz, pani. Moje są proste i nie zaszkodzą, ale...

- Myślisz, że... - Alayne zbladła, gdy rozpoznała odpowiedź w oczach mnicha. - Zązywam tylko te, które dostałam od ciebie.

- Na przyszłość ograniczę się do dziennej dawki - odparł. - Każdą miksturę łatwo skazać lub podmienić. Nie podoba mi się ta twoja nagła słabość, pani. Z tego, co słyyszałem, choroba lady Berenice też zaczęła się od słabości.

Alayne na chwilę zamknęła oczy. A jeśli William Foulton nie kłamał? Jeśli Berenice rzeczywiście została otruta?

- Będę brała leki wyłącznie z twojej dłoni - obiecała bratu Hardingowi. - Dziękuję, że się o mnie troszczysz. Teraz najlepiej zrobię, jak pójdę do siebie i się położę.

Alayne powoli szła w stronę swojej komnaty. W głowie miała gonitwę myśli. Czy to możliwe, że Berenice rzeczywiście obawiała się o własne życie? Dlaczego po narodzinach dziecka nie wychodziła ze swego pokoju? Kogo się bała?

Ralph - jak wierzył William Foulton - czy może kogoś innego? Złośliwego potwora, który życzył jej rychłej śmierci? A może prawda była dużo prostsza? Może mistrz Brendon przez pomyłkę podał jej złe lekarstwo?

Była przekonana, że to właśnie Brendon odegrał rolę w tragedii Berenice. Skąd jednak wziąć na to dowód? Ralph zabrał kuferek z listami pierwszej żony, twierdząc, że nie ma w nich nic ważnego. A jeśli Ralph najzwyczajniej w świecie coś przegapił?

Och... Gdzie on teraz się podziewał? Dlaczego nawet nie napisał? Alayne co dzień na próżno wyglądała listu. Czemu tak uparcie milczał? Wciąż się gniewał?

Rozdział dwunasty

Ralph z mieszanymi uczuciami wyjeżdżał z Banewulf. Pismo od króla zostało skreślone suchym, formalnym stylem. Był to bardziej rozkaz niż zaproszenie. Musiał więc stawić się przed obliczem Henryka, chociaż niechętnie zostawiał żonę w ciąży.

Forsownym marszem dotarł do Londynu, ciągle nie wiedząc, co tam zastanie. Zmęczony i pokryty błotem po długiej jeździe, zatrzymał konia na dziedzińcu i ociężałym ruchem zsunął się z siodła. W tej samej chwili podszedł do niego niewielki oddział gwardii pałacowej. Dowódca oznajmił krótko, że sir Ralph de Banewulf jest aresztowany.

- Aresztowany? - Ralph z osłupieniem spojrzał na oficera. - Nic nie rozumiem. Pod jakim zarzutem?

- Oskarżono cię, panie, o zamordowanie pierwszej żony, lady Berenice - odparł dowódca i zerknął w bok, jakby niechętnie wykonywał swoją powinność.

- Bzdury! - wybuchnął Ralph. - Kto to powiedział?

- To nie należy do mnie, panie - odparł dowódca. Sam król rozkazał, żeby cię aresztować. To wszystko.

- Zaprowadź mnie natychmiast przed oblicze jego królewskiej mości!

- Król wezwie cię, kiedy uzna to za stosowne. - Oficer odwrócił się do swoich ludzi. - Zaprowadźcie tego rycerza do przygotowanej dla niego komnaty. Ma tam pozostać sam i nie wolno mu z nikim rozmawiać.

Ralph zdawał sobie sprawę, że wszelki opór jest bezcelowy. Jego ludzie spoglądali groźnie na gwardzistów, gotowi dobyć mieczy w obronie swojego pana. Ralph jednak pokręcił głową.

- Skoro to rozkaz króla, muszę się podporządkować. Nie podniosę ręki przeciwko najjaśniejszemu panu - powiedział. - Niech jeden z was jedzie do Banewulf i powiadomi wszystkich o tym, co tutaj zaszło. - Popatrzył na dowódcę gwardii. - Mogę pchnąć posłańca do mojego rządcy?

- Jego królewska mość zakazał ci wszelkich kontaktów z domem, panie. Przykro mi, ale twoi ludzie są także aresztowani.

Ralph smętnie pokiwał głową. Nic nie mógł zrobić, jeżeli nie chciał być okrzyczany zdrajcą.

- Niech i tak będzie - odparł. - Mam nadzieję, że król Henryk zechce mnie wysłuchać.

- Wkrótce odbędzie się przesłuchanie - przytaknął dowódca gwardii. - Najjaśniejszy pan czeka tylko na przyjazd barona Foultona. Potem zapadnie wyrok.

Ralph zmarszczył brwi, lecz nic nie powiedział. Od dawna domyślał się, że William Foulton oskarża go o śmierć siostry, lecz nie przypuszczał, że posunie się aż tak daleko.

Kilka lat temu z pokorą przyjąłby te zarzuty, lecz teraz miał po co żyć i dla kogo.

Ogarnął go strach, kiedy domyślił się, dlaczego William wybrał taki moment, żeby oskarżyć go przed królem. Baron Foulton kochał swoją siostrę niezdrowym uczuciem i oszalał ze smutku po jej zgonie. Kiedy zorientował się, że Ralph znalazł szczęście i miłość w małżeństwie z Alayne, postanowił go zniszczyć.

Król Henryk jest sprawiedliwy i zechce wysłuchać argumentów obu stron. Wprawdzie Ralph nie miał dowodów na to, że jest niewinny, lecz William Foulton także nie mógł dowieść ponad wszelką wątpliwość, że jego były szwagier zamordował własną żonę. Nie było zatem innego sposobu rozstrzygnięcia tej sprawy jak poprzez „sąd boży”, czyli pojedynek adwersarzy. Tak nakazywał honor i rycerski kodeks.

William nie mógł się mierzyć z Ralphem we władaniu mieczem. Musiał zatem wystawić swojego czempiona. Ale kto mógł podjąć się tego wyzwania? Tylko ktoś, kto szczerze nienawidził pana na Banewulf.

Dlaczego Ralph ciągle nie pisze? Alayne krążyła po komnacie. Minęły trzy tygodnie, odkąd wyjechał do Londynu i od tamtej pory nie dał znaku życia. Nawet pan Grey był zaniepokojony tak długim milczeniem.

- To niepodobne do sir Ralphi, żeby nie przysłał nawet krótkiego listu - powiedział w rozmowie z córką. - Coś mi się tu nie podoba, Morno. Wietrzę jakieś nieszczęście.

- Tylko nic nie mów naszej pani - przestrzegała go Morna. - I tak ma dość zmartwień.

Alayne niepokoiła się nie tylko o męża. Zauważyła, że mistrz Brendon coraz częściej ją śledzi, jakby nabrał większej śmiałości po wyjeździe sir Ralpha. A może to tylko złudzenie? Ciarki przebiegły jej po plecach. Co jednak będzie, jeśli Ralph nie wróci do dnia narodzin dziecka? Kto ją wtedy obroni? Wołała o tym nie myśleć.

Z biegiem czasu nabrała pewności, że mistrz Brendon przyczynił się do śmierci Berenice. Może wiedział, że podejrzewała go o szachrajstwa? - przemknęło jej przez głowę. Zabił Berenice, żeby na zawsze zamknąć jej usta.

Skąd te myśli? - zdumiała się Alayne. Nie, chyba zwariowałam. To przecież niemożliwe. A jednak... Gdyby znalazł się dowód...

Znów przypomniała sobie o kufierku Berenice. Wołała by poczekać z tym na powrót Ralpha, ale czas naglił. Musiała jak najszybciej przystąpić do działania. Jeżeli medyk był zdolny do morderstwa, to co mogło go powstrzymać od dalszych zbrodniczych czynów?

Może odnajdę klucz? - pomyślała. Poprzednim razem zaniechała dokładnych poszukiwań w obawie przed gniewem Ralpha. Teraz uznała za swój obowiązek, żeby do końca wyjaśnić tę zagadkę.

Postanowiła od razu zabrać się do dzieła. Gdyby Ralph dostał wyraźny dowód winy mistrza Brendona, mógłby go bez żadnych dalszych obaw wyrzucić z Banewulf.

- Ach, tu jesteś, milady - odezwała się Morna Grey. Weszła do komnaty w tej samej chwili, gdy Alayne zamierzała otworzyć tajne przejście do pokoju Ralpha. - Wyglądasz na zmęczoną. Powinnas się zdrzemnąć. Milord kazał mi

nad tobą czuwać. Jeśli nie będziesz się oszczędzać, dziecko przyjdzie na świat przedwcześnie.

- Dzięki za dobre słowo - orzekła Alayne. Pragnęła, żeby Morna jak najszybciej wyszła. - Wiem, że mam w tobie wierną przyjaciółkę. Zaraz się położę. Zostaw mnie samą, to może prędeej zasnąć.

Ledwie panna Grey zamknęła za sobą drzwi, Alayne natychmiast podeszła do ściany i uruchomiła ukryty mechanizm. Serce biło jej jak oszalałe. Miała poczucie winy, że jak złodziej wkrada się do pokoju męża, ale chciała z tym raz na zawsze skończyć.

- Szkoda, że cię tu nie ma, Ralphie - powiedziała pod nosem. - Wyjawiłabym ci, czego się boję.

Niemal na palcach weszła do jego komnaty. Wciąż pamiętała, że ów nieszczęsny kufer stał się przyczyną ich gwałtownej kłótni. Ralph wtedy okropnie się rozżłościł. Ciekawe, co by powiedział teraz, gdyby ją zobaczył? Jednak strach przed Brendonem był jeszcze silniejszy.

Mały kuferek, który Alayne kiedyś znalazła w komnacie Berenice, stał teraz zapomniany pod kamienną ścianą. Leżały na nim różne rzeczy, w nieładzie zostawione przez Ralpha. Czy w ten sposób chciał go usunąć sprzed oczu? - zadała sobie w duchu pytanie Alayne. Roztrzęsionymi dłońmi chwyciła kuferek i postawiła go na łóżku. Nie miała prawa grzebać w rzeczach zmarłej, ale usprawiedliwiały ją szczególne okoliczności.

Szarpnęła wieczko i ze zdziwieniem się przekonała, że otworzyło się bez trudu. Zamek był wyłamany. Widocznie Ralph za wszelką cenę też chciał zobaczyć, co jest w środ-

ku. Na samym wierzchu leżało kilka listów. Alayne wyjęła je ostrożnie. Ralph bez wątpienia je przeczytał, na pewno więc nie zawierały niczego ważnego. To, czego szukała, musiało być gdzieś ukryte. Uniosła kufel i lekko nim potrząsnęła. Zagrzechotał, chociaż na pozór wydawał się pusty. Jednak się nie pomyliła. Gdzieś była tajna skrytka. Ralph pewnie nawet o tym nie pomyślał.

Alayne dokładnie obmacała drewniane pudło. W pewnym momencie poczuła pod palcami niewielkie zgrubienie. Poczowała lekki dreszczyk podniecenia. Zawahała się, wzięła głębszy oddech i nacisnęła. Coś zgrzytnęło i w dnie kufelka otworzyła się mała klapka. Pod nią był taki sam schowek, jak w jej własnym puzderku z biżuterią. Alayne szybko zajrzała do środka. Znalazła fiolkę wypełnioną ciemnym płynem i list adresowany do Williama Foultona.

Zatem odkryła sekret Berenice. Przez krótką chwilę wahała się, co zrobić dalej. Z emocji aż jej zaschło w gardle. Miała przeczytać list? A może raczej poczekać do powrotu Ralpa i dopiero wtedy powiedzieć mu o swoich podejrzeniach? Z drugiej strony, jeżeli Brendon był złoczyńcą, to czas grał na jego korzyść. Dalsza zwłoka mogła okazać się niebezpieczna.

Alayne zatrzasnęła skrytkę, odstawiła kufel na miejsce i wróciła do siebie. Starannie zamknęła ukryte przejście, usiadła na łóżku i zastanawiała się, co począć. Ralph mógłby jej zarzucić, że jest Wścibska, lecz w tym momencie prawda była najważniejsza.

Nie mogę się teraz cofnąć! - pomyślała. Otworzyła fiolkę i ostrożnie powąchała jej zawartość. Woń była mocna

i nieprzyjemna, ale nie mogła jej rozpoznać. Zakorkowała fiolkę i na razie odłożyła ją na bok. Po chwili złamała pieczęć, rozwinęła list i zaczęła czytać.

Pierwsze słowa brzmiały: „Mój najdroższy braciszku”, a dalej:

„Już Ci mówiłam, że Ralph przestał mnie kochać. Teraz myślę, że chyba pragnie mojej śmierci. Podejrzewa, że to nie jego dziecko, chociaż przysięgałam przed nim, że jestem niewinna. Nie popełniłam cudzołóstwa, a mimo to odwrócił się ode mnie. Dzisiaj znów był medyk z tym ohydny m lekarstwem. Powiedział, że muszę je wypić, jeżeli chcę wyzdrowieć. Obiecałam mu, że to zrobię, ale nie zrobiłam. Później dałam trochę kotu, który wałęsał się po podwórku. Służąca powiedziała mi, że kot zachorował i szybko zdechł. Williamie, błagam Cię, przyjedź do mnie, bo obawiam się, że niedługo też umrę”.

List wypadł ze zdrtwiałych palców Alayne. Dygotała jak w febrze. Z kątów pokoju pełzły w jej stronę długie, mroczne cienie. Berenice niedwuznacznie oskarżała męża o próbę morderstwa. Bała się - i wkrótce po napisaniu tego listu rzeczywiście zmarła. Ale może to tylko zbieg okoliczności? Alayne przymknęła powieki. Przez chwilę myślała, że zemdleje. Nie wolno ci się poddać, myśl, Alayne!

Jeżeli Berenice wysłała do brata chociaż jeden taki list, to William Foulton miał wszelkie powody ku temu, żeby oskarżyć Ralpa o morderstwo. Jednak coś tutaj się nie zgadzało... Alayne zmusiła się, żeby przeczytać pismo od

początku. Na samym wstępie nie było żadnych podejrzeń o chęć mordu. „Przestał mnie kochać” - i to wszystko. A potem ta nieszczęsna fiolka...

Alayne nerwowym krokiem przechadzała się po komnacie. Dobrze zdawała sobie sprawę, że dla wielu ludzi ów list byłby wystarczającym dowodem zbrodni sir Ralpa. Nie kochał żony i podejrzewał, że zdradziła go z Christia-nem. Chciał się jej pozbyć. Ale on przecież był przekonany, że popełniła samobójstwo! Że utraciła wszelką chęć do ży-cia. Dręczyło go poczucie winy. Na całe lata po jej śmierci pograżył się w rozpacz. Czy tak zachowuje się zabójca?

Nie, nie... To niemożliwe!

Alayne natychmiast odrzuciła te podejrzewania. Owszem, Ralph bywał porywczy, nawet groźny, ale na pewno nie był mordercą. Mimo to zasadnicze pytanie pozostawało wciąż bez odpowiedzi.

Czyżby Berenice w końcu sama zażyła to lekarstwo? - zadawała sobie pytanie Alayne. Z jej listu jasno wynikało, że nie miała zaufania do medyka. W pierwszej chwili nie wypła podanej mikstury.

Dlaczego? W tym wypadku nasuwała się tylko jed-na odpowiedź. Uważała, że lekarstwo było przyczyną jej choroby.

A jeśli ktoś zmusił ją, by je wypła? Ale po co? Kto miałyby odpowiednią wiedzę, żeby przyrządzić truciznę? Wszystkie poszlaki wskazywały na mistrza Brendana. Tyl-ko dlaczego miałyby zabić żonę swego pana? Alayne wciąż biła się z myślami. Przecież nic by nie zyskał na śmierci Be-renice, chociaż...

- Boże, ty jeden możesz mu wybaczyć!

Alayne w mgnieniu oka domyśliła się prawdy. Mistrz Brendon nie był tym, za kogo się podawał. Jego lekarstwa nie pomagały chorym, przeciwnie, ich stan się pogarszał. Lady Berenice przypadkowo odkryła jego tajemnicę. Zamiast leczyć, wpędzał ją w chorobę. Jego mikstury były za silne! Arabski lekarz wciąż jej powtarzał, że z tych samych składników, tylko zmieszanych w innych proporcjach można sporządzić truciznę. Berenice sprawdziła to na kocie. Brendon poczuł się zagrożony.

- Oczywiście! - krzyknęła Alayne. - Popełnił błąd, bo po prostu nie zna się na leczeniu. To szarlatan!

Brendon nie chciał zabić lady Berenice przynajmniej na początku, póki mu nie powiedziała, że jego lekarstwa są trujące. Prawdopodobnie po wypadku z kotem zagrożiła, że o wszystkim opowie Ralphowi. Brendon mógł za to nawet trafić do więzienia. Kto wie, ilu swoich wcześniejszych pacjentów skutecznie „wyleczył” z życia?

- Złakł się, że Ralph pozbawi go wszelkich przywilejów i odda w ręce sprawiedliwości - mamrotała do siebie Alayne. Wydawało jej się, że znalazła ostatni fragment układanki. - Fałszywy lekarz cieszył się powszechnym szacunkiem w Banewulf.

Dlaczego wcześniej na to nie wpadła? Wprawdzie niewiele wiedziała o medycynie, ale jej proste środki skuteczniej zwalczały gorączkę niż wymyślne mikstury Brendona. Jego pacjenci na ogół umierali. Tyle nieszczęścia, tyle niepotrzebnych zgonów, znaczących kolejne lata jego oszukańczej kariery.

- Wszystko się zgadza - powiedziała na głos Alayne i zatrzymała się raptownie. - Już wiem, dlaczego tak mnie nienawidzi. Przestraszył się, zabił Berenice, a teraz uważa, że go zdemaskuję.

Lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach, kiedy odtworzyła w myślach wydarzenia tamtego wieczoru. Ralph kazał żonie iść na długi spacer. Berenice ze złości wybrała się na pustkowie, z dała od domu i od wszystkich ludzi, którzy w każdej chwili mogli ją obronić. Może chciała pomyśleć w ciszy i spokoju. Bała się, że medyk działa z polecenia męża.

Brendon widział ją, jak wychodziła. Poszedł za nią i gdy znaleźli się już dość daleko, zmusił ją, by wypła miksturę podobną do tej, która uśmierciła kota. Być może przedtem się kłócili. Może Berenice zagroziła, że go oskarży.

Na pewno bał się zasłużonej kary, ale na jego szczęście Ralph wziął winę na siebie. Zatuszowano domniemane samobójstwo i przyjęto oficjalną wersję o chorobie. Brendon mógł uważać się za szczęściarza, ale od tamtej pory żył w ustawicznym strachu, że jego zbrodnia w końcu wyjdzie na jaw.

Jest oszustem. Wiedział zaledwie tyle, aby mógł udawać uczonego medyka. Kłamał i oszukiwał. Na pewno nigdy nie studiował w Rzymie i w Weronie.

Alayne szybko ukryła fiolkę i list we własnym puzderku z biżuterią. Nigdy nie dowierzała Brendonowi, a on w zamian odpłacał jej niechęcią. Teraz znała już wszystkie odpowiedzi. Fałszywy lekarz obawiał się, że nawet mając tak niewielką wiedzę o medycynie, Alayne może zdemasko-

wać go jako szarlatana. Nie przyszło mu do głowy, że początkowo nie zwracała najmniejszej uwagi na jego niepowodzenia. W rzeczy samej, rzadko który lekarz mógł się pochwalić jakimś znaczącym sukcesem. Chorzy - leczeni, albo nieleczeni - tak samo umierali. A jeśli któryś już wyzdrowiał, widział w tym rękę Boga.

Teraz jednak, kiedy Alayne wiedziała, z kim ma do czynienia, za żadne skarby nie mogła mu pozwolić na dalsze praktyki. Musiała jak najszybciej powiadomić Ralpha o swoim odkryciu. Modliła się, żeby szybko wrócił. Zbliżał się termin porodu, a mistrz Brendon powinien zniknąć z Banewulf, zanim...

Postanowiła zaraz odszukać brata Hardinga i opowiedzieć mu o wszystkim. On już będzie wiedział, co dalej robić. Niech zadecyduje, czy wciąż czekać na Ralpha, czy przekazać sprawę w ręce pana Greya. Podeszła do drzwi, lecz w tej samej chwili złapały ją potworne bóle. Przycisnęła ręce do brzucha. Zaczęła rodzić!

- Nie - szepnęła ze strachem, chwiejąc się na nogach.
- To za wcześnie. Błagam, jeszcze nie teraz...

Zgięta w pół, czekała na kolejny atak bólu. Wydawało jej się, że dłużej nie wytrzyma. Jednym szarpnięciem otworzyła drzwi na oścież i zawołała o pomoc.

- Milady... - Morna Grey przybiegła na galerię. - Właśnie miałam ci powiedzieć... Och, milady! Dziecko...

- Pomóż mi - jęknęła Alayne. - Pomóż, Morno. To strasznie boli...

- A mówiłam, żebyś się nie przemęczała, pani - burknęła Morna, wzięła ją pod ramię i doprowadziła z powrotem

do łóżka. - Mimo to bądźmy dobrej myśli. Może gdzieś wkradł się błąd i dziecko rzeczywiście miało się urodzić dzisiaj?

Alayne przecząco pokręciła głową. Według jej wyliczeń do porodu pozostały jeszcze trzy tygodnie. To szok wywołany odkryciem ponurej tajemnicy mistrza Brendona wywołał u niej przedwczesne bóle. Nie poczekałam na przyjazd Ralpa, pomyślała z rozpaczą. To wszystko moja wina. Jeżeli teraz stracę dziecko, mąż znienawidzi mnie do końca życia.

- Moja wina... - wyszeptła do Morny. - Dziecko umrze...

- Bzdury! - ofuknęła ją panna Grey. - Ani ono nie umrze, ani ty, milady. To nie pierwszy wcześniak na tym świecie, który urodzi się cały i zdrowy. Czasem to nawet lepiej, bo jest mniejszy i łatwiej go wydostać.

Alayne próbowała się uśmiechnąć, ale następny atak bólu powalił ją na poduszki. Z trudem stłumiła krzyk i spojrzała na Mornę.

- Musimy jak najszybciej zawiadomić mojego męża. Chyba powinien o tym wiedzieć.

- Bez wątplenia - odparła Morna i zmarszczyła brwi. - Jak tylko wróci. - W głębi duszy była przekonana, że to nie widok dla sir Ralpa. Mężczyzn na ogół nie wpuszczano do izby położnicy. Odwróciła się w stronę nadbiegającej Bethel.

- Idź do mojego ojca i powiedz, że milady zaczęła rodzić. Każ służbie przynieść gorącej wody i dużo świeżych prześcieradeł!

Pochyliła się nad Alayne, delikatnie pogłaskała ją po głowie i powiedziała:

- Nie walcz z bólem, pani. Pomogę ci. Przyjmowałam już wiele dzieci. Przyj, kiedy bóle staną się trochę częstsze i oddychaj głęboko. To dla twojego dobra. Krzycz, ile chcesz. To też pomaga.

Alayne złapała ją za ręce, czując, że nadchodzi nowy atak bólu. W tym momencie jeszcze nie krzyczała, ale później, gdy zapadła noc, a dziecko jeszcze się nie urodziło, jej głos słyhać było niemal w każdym zakątku Banewulf.

- Muszę iść do niej! - zawołał Ralph, słysząc krzyki dochodzące z komnaty Alayne. Już w drodze do domu miał przeczucie, że dzieje się coś niedobrego. Bał się o żonę. - Chcę być teraz przy niej!

- Nie, milordzie. - Rządca uspokajającym ruchem położył mu dłoń na ramieniu. - To nie uchodzi. Jest tam moja córka i inne kobiety. Znają się na rzeczy. Ty byś tylko przeszkadzał.

- Ale... jeśli ona umrze... - Ralph nie potrafił ukryć przerażenia. - Jeśli ją stracę...

Uniósł głowę, bo w tej samej chwili ktoś wszedł do izby. Był to brat Harding. Ralph jak oparzony zerwał się na równe nogi.

- Co się tam dzieje?

- Milady słabnie z godziny na godzinę, panie - odparł mnich, kręcąc głową. - Myślę, że powinniśmy jej pomóc, ale to wiąże się z poważnym niebezpieczeństwem wobec dziecka. Musisz podjąć decyzję, sir Ralphie. Chcesz po-

święcić dziecko czy jeszcze przedłużyć cierpienia swojej żony?

- Żona jest dla mnie ważniejsza... - zaczął Ralph, lecz Brendon, który tuż za zakonnikiem wsunął się do izby, przerwał mu obcesowo:

- Nic takiego by się nie stało, gdyby wzięła lekarstwo, które jej dawałem - mruknął, z zawiścią spoglądając na mnicha. - Jeśli pozwolisz mu, żeby użył kleszczy, na pewno zmiażdży dziecku głowę. Pozwól, że sam zajmę się lady Alayne. Urodzi o własnych siłach.

Ralph popatrzył na niego niezdecydowany. Alayne błagała go, żeby nie dopuszczał Brendona do jej łóża. Ale jeśli był w stanie uratować ją i dziecko...

- Myślę... - zaczął, lecz jego dalsze słowa zagłuszył przerażający krzyk, dobiegający z piętra. Ralph natychmiast ruszył w stronę schodów wiodących na galerię.

- Chodźcie obaj - rzucił przez ramię. - Za wszelką cenę trzeba ratować Alayne.

- Milordzie... - wtrącił rządcą, lecz Ralph nie dał się powstrzymać.

Wbiegł po schodach. Harding i Brendon następowali mu na pięty. Boże spraw, żeby jeszcze nie było za późno! Zanim jednak dotarł do drzwi, w progu ukazała się zapłakana Bethel.

- Moja żona... - Ralph miał wrażenie, że serce zamarło mu w piersiach. - Czy... - Nie mógł dalej mówić. Bał się, że zaraz usłyszy wiadomość o jej śmierci.

- Lady Alayne jest bardzo osłabiona, ale żyje i wkrótce na pewno dojdzie do siebie - odpowiedziała Bethel. Do-

piero teraz zauważył, że płakała z radości. - Masz cudownego syna, panie. Jest maleńki, ale ma wszystkie paluszki i oddycha...

Jakby na potwierdzenie tych słów zza drzwi dobiegł głośny krzyk noworodka.

- Właśnie przedstawił się całemu światu.

- Chcę go zobaczyć - powiedział Ralph. - A moja żona...

Za Bethel ukazała się Morna Grey. Stanowczo zastąpiła drogę swemu panu.

- Milady jest jeszcze zbyt słaba, żeby cię zobaczyć, sir - oznajmiła. - Bethel za chwilę pokaże ci twojego syna. Lady Alayne musi teraz solidnie odpocząć. Najpierw sen, później powitania,

- Przekaż jej, że wkrótce do niej przyjdę. - Ralph dopiero teraz zdobył się na uśmiech. Alayne na pewno wiele wycierpiała, musiał więc uzbroić się w cierpliwość. - Powiedz, że ją bardzo kocham i że dziękuję jej za syna.

Odwrócił się, żeby przyjąć serdeczne gratulacje od rządcy i brata Hardinga. Uszczęśliwiony, nawet nie zauważył ponurego spojrzenia Brendona. Tymczasem medyk skorzystał z chwilowego zamieszania i po cichu wyniósł się z galerii.

-Lepiej się czujesz, pani? - zapytała Bethel. Alayne uśmiechnęła się do niej blado i nieznacznie skinęła głową. - Spałaś przez ładnych kilka godzin. Nie chciałam cię budzić, ale dziecko jest głodne. Posłaliśmy po mamkę, lecz jeszcze nie przyszła.

- Sama go nakarmię - odparła Alayne i poprawiła się na poduszkach, żeby łatwiej wziąć syna w ramiona. Popatrzyła na pokrytą ciemnym meshkiem główkę. Pogłaskała ją lekko.

- Mam syna - zamruczała bardziej do siebie niż do pokojówki. - Ojciec będzie zadowolony.

- Już jest - wtrąciła Bethel. - Pokazałam mu dziecko, kiedy spałaś, pani. Na wieczór zarządził wspianiałą ucztę. Kazał nawet do wsi wysłać wozy z prowiantem.

- Mój mąż? - Alayne spojrzała na nią ze zdziwieniem. - Kiedy wrócił do Banewulf?

- Wczoraj wieczorem - odpowiedziała Bethel. - Jakaś godzinę po tym, kiedy zaczęłaś rodzić, pani.

Był tutaj i słyszał moje krzyki, a nie przyszedł?

Alayne z rozpaczą przymknęła oczy. Z trudem powstrzymywała łzy. Ralph wydał ucztę na cześć syna, a nawet na maleńką chwilę nie zajrzał do jej komnaty. Nie dbał o to, co się z nią działo.

- Źle się czujesz, milady? - zapytała Bethel, widząc łzę płynącą po policzku Alayne. - Mam wezwać pannę Grey?

- Nie, jestem po prostu zmęczona - odparła Alayne. Pocałowała synka w czubek główki. Nie chciała, żeby niechęć Ralpha zmieniła jej stosunek do dziecka. To przecież całkiem naturalne, że mężczyzna cieszy się z potomka, który ma w przyszłości zająć jego miejsce i wyrosnąć na równie dzielnego rycerza. Ale z drugiej strony...

Po chwili niemowlę zasnęło. Bethel wyjęła je z rąk Alayne i położyła do kołyski. Alayne z zamkniętymi oczami wsparła głowę na poduszkach. Jeszcze nie opad-

ły z niej resztki zmęczenia, ale za wszelką cenę chciała zobaczyć Ralpa. Była jednak zbyt dumna, żeby go tu zawołać. Jak zechce, to sam przyjdzie, pomyślała. Jeżeli mnie naprawdę kocha...

- Możesz już odejść, Bethel - powiedziała. - Pośpij jeszcze trochę. Wróć za jakąś godzinę.

- Tak jest, milady.

Pokojówka dygnęła krótko i wyszła z komnaty. Na schodach spotkała sir Ralpa. Spojrzał na nią z nadzieją.

- Pani już nie śpi?

- Obudziła się tylko na chwilę, milordzie. Nakarmiła dziecko, a potem powiedziała, że jest bardzo zmęczona i chyba znów zasnęła. Kazała mi odejść i wrócić dopiero za godzinę.

- Nic jej nie jest? - zapytał z nagłym niepokojem. Tak mocno chwycił Bethel za rękę, że aż syknęła z bólu. - Coś przede mną ukrywasz?

- Ależ nie, milordzie! Lady Alayne musi odzyskać siły. Wiele wycierpiała.

Ralph dopiero teraz zauważył, że ściska jej przedramię. Natychmiast cofnął rękę i przeprosił.

- Nie pytała o mnie?

- Powiedziała, że będziesz rad, ale się zdziwiła, kiedy usłyszała o twoim powrocie... - Biedna Bethel zająknęła się pod groźnym spojrzeniem swego pana. - Chyba jeszcze nie wszystko do niej dobrze dociera...

- W takim razie poczekam odrobinę dłużej - zdecydował Ralph i wrócił do własnej komnaty.

Był w ponurym nastroju. Miał wrażenie, że w ostatnich

tygodniach ciąży Alayne jakby oddaliła się od niego. Teraz nie chciała go nawet widzieć.., A może tak jak Berenice poczuła nagłą niechęć? Co sobie o nim pomyśli, gdy się dowie, że został oskarżony o zamordowanie pierwszej żony? I że w Londynie zabił człowieka, aby udowodnić swą niewinność?

Z goryczą wspominał moment, kiedy w obecności króla i dostojnych sędziów przebił mieczem swojego przeciwnika, walczącego w imieniu barona Foultona. W ogóle nie czuł się zwycięzcą. Nie miał wyboru, musiał zabić w majestacie prawa... Wszak nigdy nie był „rycerzem bez skazy” z marzeń Alayne.

Spraw, Boże, abym jej nie stracił, pomyślał z rozpaczą.

Rozdział trzynasty

Był już wieczór, kiedy Alayne poruszyła się, otworzyła oczy i... napotkała wzrok Ralpha. Mąż patrzył na nią w milczeniu. Wydawał się odległy i zamknięty w sobie. Alayne poczuła znajomy ucisk w piersiach. No cóż... Przeszedł ją zobaczyć, lecz znów pomiędzy nimi wyrósł mur obojętności.

Alayne uniosła się na poduszkach i uśmiechnęła do męża. Postanowiła w duchu, że nie da po sobie poznać, co ją gryzie. Może zresztą była trochę przewrażliwiona po cierpieniach związanych z porodem?

- Wypoczęłaś trochę, milady? - łagodnie zapytał Ralph. Jego twarz wydawała się wyciosana z kamienia, oczy patrzyły całkiem nieruchomo. Gdzieś zniknął śmiech, który gościł w nich jeszcze tak niedawno. - Powiedziano mi, że jesteś bardzo zmęczona, więc nie chciałem ci przeszkadzać. Przepraszam, jeśli cię obudziłem.

- Nie obudziłeś mnie - odpowiedziała, wyciągając do niego rękę. - Naprawdę byłam nieco wyczerpana, ale czu-

ję się już dużo lepiej. Widziałeś już swojego syna. Jak damy mu na imię?

- Jak tylko zechcesz, Alayne. - Policzek zadrgał mu nerwowo.

- Może po ojcu: Ralph?

- Albo Alain, po matce? - Dziecko nie powinno nosić imienia człowieka, który nie dorósł do miana rycerza.

- Nie, będą się z niego śmiali - odparła. - A jak twój ojciec miał na imię?

- Sir Guy de Banewulf.

- To mi się podoba - powiedziała. - Nasz syn otrzyma imię Guy, milordzie. Jesteś zadowolony?

- Oczywiście, Alayne. Jeśli chcesz, może być Guy, ale na drugie imię. Pierwsze będzie nosił po matce. Alain de Banewulf. Brzmi bardzo dumnie, ukochana.

Wiedziała, że go nie przekona, więc z uśmiechem pokiwała głową.

-Zatem postanowione - oznajmiła. - Czego chciał król?

- Chyba jeszcze nie pora, żeby roztrząsać takie sprawy.

- Powiedz mi wszystko, co się wydarzyło w Londynie, milordzie. Bardzo się o ciebie bałam. Myślałam, że masz kłopoty...

- Wiedziałaś o tym? - Ralph zmarszczył brwi i usiadł na brzegu łóżka. - Król wezwał mnie do siebie ze względu na śmierć Berenice - powiedział, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z Alayne. - Jej brat oskarżył mnie o morderstwo. Niestety, nie miał na to żadnych dowodów, z wyjątkiem kilku listów, w których wspominała, że traktuję ją obojętnie.

Ja z kolei nie mogłem mu udowodnić kłamstwa. Jego królewska mość wezwał nas na sąd boży...

- Niemożliwe! - Alayne miała wrażenie, że serce podeszło jej do gardła. - Musiałeś walczyć na śmierć i życie, żeby udowodnić swoją niewinność? - Ralph z powagą pokiwał głową. - Ale... z kim? Baron Foulton nie miał najmniejszych szans na wygraną...

- Nie - odpowiedział Ralph i zacisnął usta w wąską linię, żeby nie dać się ponieść emocjom. - Pozwolono mu wyznaczyć zastępcę.

- Kto?... - Alayne drgnęła gwałtownie. - Wiesz, że Foulton przyjechał tu, do Banewulf? Najpierw ostrzegał mnie przed tobą, a potem wspomniał, że ma zamiar postawić cię przed sądem.

- Wiem. Mówił o tym po skończonej walce, kiedy uznano mnie za niewinnego. Wpadł w szal. Próbował dźgnąć mnie w plecy. Henryk kazał go aresztować. Oj, długo posiedzi w lochu, zanim król wypuści go na wolność.

- Biedak... - Alayne westchnęła. - Podejrzewam, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Ból po utracie siostry zmienił go w szaleńca.

To samo stało się podczas turnieju, na dworze królowej Eleonory. Chociaż może niezupełnie to samo, bo William Foulton był obłąkany, a de Bracey doskonale wiedział, co chce zrobić.

- Masz rację - powiedział Ralph. - Nie czuję do niego żalu, Alayne. Prosiłem Henryka o łaskę, ale się nie zgodził. Był zły, że William kwestionuje królewskie wyroki.

- Pokonałeś jego czempiona, ale jeszcze nie wiem... -

Popatrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami. Domyśliła się, co chciał powiedzieć. - To był Renaldo de Bracey, prawda? Marguerite mówiła mi, że widziano go ostatnio w Anglii. Oczywiście, że on. Nienawidził cię nie mniej niż Foulton. Zapewne spiskowali razem... To dlatego Foulton zdecydował się na ostateczne posunięcie. Miał kogoś, kto mógł podjąć się tego wyzwania. Ciekawe, czy od razu się umówili, że w przypadku przegranej de Braceya, William zabije cię ciosem w plecy?

Ralph przecząco pokręcił głową, ale widać było, że też nad tym się zastanawiał.

- Bez względu na to, co było przedtem, de Bracey już nie będzie więcej bruździł - powiedział i nagle jego oczy stały się wąskie jak szparki. - To była walka na śmierć i życie, Alayne. Nie miałem wyboru. Musiałem zabić albo sam zginąć... ale ta krew będzie na moich rękach.

- Nie chciałeś tej walki - odparła Alayne i delikatnie pogłaskała go po dłoni. Teraz już rozumiała, skąd wziął się wyraz jego twarzy. Nie był zły ani zdenerwowany. Czuł się winny za to, że zabił człowieka. - Nie obwiniaj się o śmierć de Braceya ani o uwięzienie Foultona. To przecież nie twoja wina.

- Nie odepchniesz mnie ze wstrętem?

- Jakże bym mogła? Przecież wiem, ile cię to kosztowało, milordzie. Zrobiłeś tylko to, co musiałeś zrobić, zgodnie z tradycją, prawem i nakazem kodeksu rycerskiego. Okrutnym prawem, lecz na to już nic nie poradzisz. Nie jesteś winien żadnej zbrodni, za którą musiałbyś zapłacić.

- Trzeba zapomnieć o przeszłości - powiedział Ralph

i delikatnie ucałował dłoń żony. Zimny cień zniknął z jego oczu, zastąpiony żarem miłości. - Żal mi tylko, że w tej najważniejszej chwili nie mogłem być z tobą. Co się stało, że urodziłaś wcześniej? Znowu upadłaś?

- Nie - odparła i głęboko zaczerpnęła tchu. Nadeszła pora, żeby dowiedział się o wszystkim. - Mam ci coś ważnego do powiedzenia...

W tej samej chwili skrzypnęły drzwi i do komnaty weszła Morna z płaczącym dzieckiem na ręku.

- Och, przepraszam, milordzie - zawołała na widok siedzącego na łożku Ralpa. - Niestety, teraz jest czas karmienia.

- W takim razie zostawiam cię na chwilę, ukochana - rzekł Ralph i pocałował żonę w czoło. - Ten młodzieniec ma tutaj pierwszeństwo.

Roześmiał się, gdy to mówił. Alayne także z uśmiechem przystawiła dziecko do piersi. To normalne, że Ralph w ten sposób traktował swojego syna. Każdy rycerz musiał mieć dziedzica, który mógł po nim przejąć majątek i nazwisko. Jej mąż miał ich już dwóch, bo przecież był jeszcze Stefan. Ralph kochał pierworodnego i tylko głęboko zakorzenione poczucie obowiązku kazało mu odesłać go do kuzynów. Lecz obaj byli jednakowo ważni. Kobiety zawsze zajmowały nieco późniejsze miejsce,

Alayne mogła uważać się za szczęśliwą, że urodziła zdrowe i silne dziecko. Wiele noworodków umierało w pierwszych godzinach życia. Alain nie wyglądał jednak na słabeusza, chociaż rzeczywiście był maleńki.

Morna krzątała się po pokoju, układając na miejscu

różne potrzebne rzeczy. Alayne uśmiechnęła się do siebie. Wiedziała, że Ralph ją kocha, chociaż może nieco inaczej niż dotychczas.

Minęły aż trzy tygodnie, zanim brat Harding pozwolił Alayne wstać z łóżka, chociaż codziennie zaręczała, że czuje się już zupełnie dobrze. Ralph odwiedzał ją co najmniej dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Ciągłe przynosił różne prezenty, dla niej i dla dziecka, ale wciąż zachowywał się z pewnym dystansem. Alayne nie mogła go do końca rozgryźć. Wydawało jej się, że czymś się martwił. Ale czym? Przecież chyba nie tym, co zaszło w Londynie?

Nie powiedziała mu o Brendonie. Nie miała na to dość odwagi. W swojej komnacie była bezpieczna, medyk w ogóle się nie zjawiał, a brat Harding zapewniał jej najlepszą opiekę.

Wreszcie z błogosławieństwem zakonnika, rodziny i domowników, mogła opuścić pokój. Był piękny styczniowy dzień. Promienie słońca złociły lód, który nocą osiadł na nagich gałęziach drzew. Alayne z radością odetchnęła zimowym powietrzem.

Z ukontentowaniem wyszła na pierwszy spacer po blisko miesiącu spędzonym w zamknięciu. Oddała dziecko mamce, którą sprowadzono ze wsi - młodej dziewczynie, o dużych piersiach, pełnych tłustego mleka. Alayne miała za mało pokarmu, ale starała się jak najczęściej karmić swojego synka. Sprawiało jej to dużą radość.

Zatopiona w myślach nie zauważyła, że ktoś jej się pilnie przypatruje. Dopiero kiedy usłyszała głośny okrzyk, zatrzymała się i odwróciła głowę.

- Robert! - zawołała z radością na widok młodego człowieka, idącego szybkim krokiem w jej stronę. - Och, jak dobrze, że cię znów widzę! - Wyciągnęła do niego rękę. - Kiedy przyjechałeś i co cię sprowadza do Banewulf?

- Przybyłem, żeby się zobaczyć z sir Ralphem i powiedzieć mu że zdobyłem rycerskie ostrogi - odparł z wyraźną dumą. Ujął jej obie dłonie. - Król wysłał mnie na zachód, gdzie mam objąć zamek na granicy z Walią. Walijczycy ciągle sprawiają nam kłopoty, więc trzeba ich trzymać w ryzach. Na szczęście najjaśniejszy pan pozwolił mi po drodze zajechać do Banewulf i pozostać tu przez parę dni, milady. - Uśmiechnął się. - Słyszałem, że masz wspaniałego syna?

- Owszem - odpowiedziała. - Urodził się trochę za wcześnie, ale przeżył, dziękować Bogu.

- I za twoje wyzdrowienie, pani - dodał Robert z takim uczuciem, że aż się zaczerwieniła. - Wyglądasz piękniej niż kiedykolwiek.

- Och, nie pochlebiaj mi - odparła Alayne i skromnie spuściła oczy. Dobrze zdawała sobie sprawę, że jeszcze nie do końca schudła po porodzie.

- To nie pochlebstwa - żywo zaprotestował Robert. - Jesteś żoną innego, więc mogę mienić się jedynie twoim przyjacielem... ale pamiętaj, że do końca życia będę cię i szanował. Żadna inna niewiasta tyle dla mnie nie znaczy.

- Przestań. - Alayne cofnęła ręce. - Obiecałeś mi, że więcej do tego nie wrócisz.

- Za chwilę rozstaniemy się na bardzo długo - powiedział. - Chciałem, żebyś wiedziała o mojej miłości. Daj znać, gdybym kiedyś był ci potrzebny. Jestem na twoje rozkazy.

- Błagam... - szepnęła i uśmiechnęła się łagodnie. - Wiem, że masz czyste intencje, ale gdyby ktoś przypadkiem to usłyszał...

- Wybacz - rzekł z głębokim ukłonem. - Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Znam swoje miejsce, pani.

- Niech Bóg cię strzeże, panie - wyszeptwała Alayne, gdy odchodził. Wysyłano go w niebezpieczną misję, bo Walijczycy byli barbarzyńskim i groźnym narodem. Młody rycerz mógł nawet zginąć za sprawę króla.

Alayne zawróciła powoli w stronę domu. Zdołała jednak ująć zaledwie parę kroków, kiedy zobaczyła nadchodzącego z przeciwka medyka. W pierwszej chwili próbowała go ominąć, ale dość szybko zrozumiała, że jej się to nie uda. Kiedyś przecież musieli się spotkać. Dumnie uniosła głowę i postanowiła nie okazywać strachu.

- Widzę, że wreszcie wyszłaś na mały spacer, lady Alayne - zaczął zjadliwym tonem mistrz Brendon. - Sir Robert nie musiał cię długo szukać. Pewnie pytał o zdrowie dziecka...

Alayne popatrzyła na niego z obrzydzeniem. W lot wyczuła jego intencje. Sugerował, że miała romans z młodym Robertem Greavesem, zanim chłopak wyjechał na służbę do króla.

- Chyba się zapominasz, mistrzu - powiedziała i chciała dalej pójść w swoją stronę. Brendon pochwycił ją za rękę i energicznie szarpnął ku sobie. - Puść mnie.

- Nie wcześniej niż z tobą skończę, ladacznico - mruknął i spojrzał na nią nienawistnym wzrokiem..- Wiem, co robisz... Rzucasz zaklęcia... Odzierasz mężczyzn z czci i wiary... Czynisz z nich swoich niewolników...

- Co to za bzdury? Nie chcę tego słuchać!

- Omamiłaś tego młodego głupca i omamiłaś sir Ralpha - wysyczał gniewnie. - Gdzie się nie ruszysz, tam siejesz zło... Ale ja wcześniej poznałem się na tobie. Ciekawe, co powie sir Ralph, kiedy usłyszy, że dziecko nie jest jego...

- Jak śmiesz! - Alayne wyrwała mu się, ale on znów wyciągnął po nią zakrzywione łapy. Niemal na oślep uderzyła go w głowę. - To ty jesteś oszustem, Brendon. Nie zaprzeczaj. Wiem, że mam do czynienia z kłamcą i szarlatanem. Zabiłeś kilku naszych ludzi, gdy leżeli złożeni gorączką. A dlaczego? Bo ich nie, umiałeś leczyć. Zatrueś lady Berenice. .. Nawet kot zdechł, gdy zjadł twoją miksturę. Potem zamordowałeś tę biedną dziewczynę, bo bałeś się, że cię zdemaskuje.

Twarz Brendona zrobiła się biała jak kreda. Zatem to wszystko prawda... - pomyślała Alayne.

- Zmusiłeś ją, żeby wypła sporządzoną przez ciebie truciznę...

- Milcz, wiedźmo! - ryknął Brendon, nie panując dłużej nad wściekłością. - Nic nie wiesz! Nie możesz wiedzieć! Chyba że przywołałaś jej udręczoną duszę z samego dna

piekieł... - Trząśł się jak oszalały, pluł, szczyrzył zęby i nagle rzucił się na Alayne. Poczuła jego kościste palce na swojej szyi. - Nie zdradzisz mnie. Jesteś czarownicą i umrzesz za swoje grzechy!

Alayne resztką sił walczyła o życie. Usiłowała go odepchnąć, ale okazał się silniejszy. Pociemniało jej przed oczami. Staczała się w nieznaną otchłań... Umierała... Mistrz Brendon odniósł ostateczne zwycięstwo.

Nid wiedziała, jak długo leci w bezdenną przepaść. Wokół niej rozciągała się smolista pustka. Coś ją dławiło w gardle - a potem, gdzieś daleko, usłyszała czyjś okrzyk i tupot biegnących nóg. Ucisk zelżał i jak przez mgłę ujrzała skłębione postacie. Zachwiała się i upadła.

- Zabić go! - ktoś krzyknął, ale to nie miało dla niej żadnego znaczenia. - Skończ z nim, sir Robercie.

- Nie! - odezwał się inny głos, nawykły do rozkazów. - Trzeba go osądzić i skazać zgodnie z prawem.

- To czarownica! - darł się Brendon. - Wszystkich was opętała! Wiedźma! Pod sąd z nią! Rzuciła na mnie urok...

- Zabierzcie go stąd. Później się nim zajmę.

Alayne otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą zatroskaną twarz sir Ralphi. Powoli wziął ją na ręce i skierował się w stronę domu.

- Wybacz - szepnął. - Wybacz, że pozwoliłem tu żyć temu szaleńcowi. Mógł cię skrzywdzić. To moja wina...

Alayne milczała. Nie mogła wykrztusić słowa przez obojętne gardło. Wciąż jej się kręciło w głowie.

- Ralphi... - wychrypiała, ale z jej ust wydarł się tylko zduszony jęk.

- Nic nie mów, kochanie - wyszeptał czułym tonem. - Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby ci się coś stało. Nigdy...

Zamknęła oczy. Ralph zaniósł ją do komnaty i ostrożnie położył na łóżku. Zaraz zjawiła się Morna, gotowa pomóc swej pani. Ralph chciał odejść, ale Alayne chwyciła go za rękę.

- Zostań - wymamrotała. - Proszę...

- Powinna nieco wypocząć, panie... - zaczęła Morna, lecz Alayne uczepliła się go z całej siły i zmusiła, żeby usiadł. - Milordzie?

- Zostaw to mnie, panno Grey - odparł. - Wiem, że chcesz jak najlepiej, ale w tej chwili to ja jestem jej bardziej potrzebny.

- Tak, milordzie.

Alayne uśmiechnęła się słabo. Ralph wstał z łóżka. Próbowwała znowu go powstrzymać, ale on spokojnie pokręcił głową.

- Przyniosę ci trochę miodu pitnego, zmieszanego z wodą. Jest w pokoju obok. To ci zwilży gardło.

Otworzył sekretne przejście, zniknął gdzieś na chwilę i wrócił z pełnym dzbankiem.

- Wypij... Na początek tylko parę kropel.

Alayne posłuchała go bez protestu. Potem oparła bolącą głowę na poduszkach. Ralph delikatnie odgarnął jej włosy z czoła.

- Leż, kochanie - powiedział. - Odpoczywaj i nie mów. Zaraz poczujesz się lepiej, ale nie nadwerężaj gardła.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Ralph ucałował jej

koniuszki palców. Był tak czuły, że prawie zapomniała o bólu.

- Powinienem już dawno go stąd oddalić - rzekł. - Nie wiem, czy kiedyś mi wybaczysz...

Alayne potrząsnęła głową i wskazała na swój kuferek z biżuterią.

- Proszę... - wyszeptała z trudem.

- O co chodzi? - zapytał Ralph. - Mam ci go podać?

Kiwnęła głową. Wyjęła ze skrytki list i fiolkę. Podała je mężowi.

- Chcesz, żebym to przeczytał? - Rozwinął list i szybko przebiegł pismo wzrokiem. Zmarszczył brwi i uniósł wzrok na żonę. - Kiedy to znalazłaś?

- Gdy cię nie było... - wycharczała i wypła łyk miodu. - Chciałam... ci powiedzieć...

-Wiem... pamiętam, ale nam przerwano. Mogłaś to jednak zrobić później... Nie, nic nie mów. Niech sam zgadnę. Wydawałem ci się jakby... trochę chłodny? - Alayne poczuła, że się czerwieni, ale lekko skinęła głową. - Nie wiedziałem, co mam zrobić, kochanie. Bałem się, że jak będę zbyt natarczywy, to uciekniesz ode mnie tak jak Berenice. .. Nie chciałem cię do niczego zmuszać...

-Nie... - powiedziała, chociaż każde słowo było dla niej prawdziwą torturą. - Nie... boję się... twojej miłości... A Berenice... była po prostu chora... Ten szarlatan... zatrzymał ją swoimi lekarstwami...

- Tak, rozumiem. Uwierzyła, że robił to na moje polecenie.

- Była młoda. Nie znała świata. Wybacz jej, milordzie.

- Świeć Panie nad jej duszą. Nie mam czego wybaczać. Chociaż sam też będę teraz sypiał o wiele spokojniej... Ale nie mówmy już o przeszłości. Powiedz mi, Alayne... Nie żałujesz, że za mnie wyszłaś?

- Nie! - krzyknęła i zaczęła kasłać. Przeszło jej dopiero po następnym łyku miodu z wodą.

Ralph popatrzył na nią z wyrzutem.

- Nie męcz się. Spróbuj teraz zasnąć. Będę nad tobą czuwał.

- I to wszystko? - wychrypiała Alayne. - Połóż się koło mnie.

- Jak sobie życzysz - odparł i ułożył się wygodnie. Alayne wsparła głowę na jego piersi. - Jesteś już bezpieczna, ukochana. Nikt nigdy cię nie skrzywdzi.

Zamknęła oczy. Po chwili już głęboko spała. Ralph leżał przy niej jeszcze przez długą chwilę, a potem podniósł się ostrożnie.

- Niech Bóg czuwa nad tobą - szepnął, wychodząc z komnaty. - Muszę jeszcze coś zrobić...

Zamierzał wrócić, jak tylko to skończy.

Alayne obudziła się dopiero rano. Obok siebie poczuła ciepłe ciało Ralpha. Odwróciła się i spojrzała mu prosto w twarz.

- Już nie śpisz, kochanie? - spytał z uśmiechem i pocałował ją w czoło. Popatrzyła na niego wciąż zaspanym wzrokiem.

- Nie... i czuję się dużo lepiej - odparła. Wsparta na łokciu, palcem drugiej ręki powiodła po jego twarzy. - Pit-

ny miód z wodą mnie uśpił, milordzie - powiedziała - ale wyleczył gardło.

- Prawdę mówiąc, dodałem tam nieco ziół nasennych - wyznał jej Ralph. - Ostatnio wiele rozmawiałem na temat medycyny z nieocenionym bratem Hardingiem. Myślę, że przy naszych zdolnościach leczenia, przez najbliższe tygodnie obejdziemy się w Banewulf bez medyka. Brat Harding musi wracać do opactwa, ale obiecał, że nam znajdzie kogoś dobrego.

- Zatem mistrz Brendon odszedł?

- Tak, odszedł - odparł Ralph stanowczym tonem.

Alayne wołała o nic więcej w tej sprawie go nie pytać. Sprawiedliwość nie była domeną kobiet.

- Już nam nie sprawi kłopotu - dodał Ralph.

- Dzięki Bogu. - Położyła głowę na jego ramieniu. - Uważał mnie za czarownicę. Gdyby tylko mógł, za jego sprawą spłonęłabym na stosie. Wygadywał okropne rzeczy. Uderzyłam go, a on wtedy skoczył na mnie...

- Innym też opowiadał niestworzone bzdury - zauważył Ralph.

Doraźnie zwołany sąd nie miał litości dla mistrza Brendona. Obito go, wyrwano język i półnagięgo wygnano w głąb lasu, na żer wygłodniałych wilków.

- Ale nikomu tego nie powtórz.

- Dość o nim - szepnęła Alayne. - Pomówmy o weselszych sprawach. Kiedy wyprawimy chrzciny?

- Jak tylko wydobrzejesz.

- Już jestem zdrowa - powiedziała, trącąc go nosem na znak, że czeka na pierwszy pocałunek. - Ogromnie stęsk-

niłam się za tobą, panie. Od wieków nie leżeliśmy razem... w tym samym łożu...

Ralph parsknął śmiechem i pocałował ją namiętnie.

- A jednak jesteś czarodziejką, mój aniele. Przecież wiesz dobrze, że nie miałem najmniejszej śmiałości przyjść wcześniej do ciebie. Alain sprawił ci wiele bólu. Musiałaś trochę odpocząć. Uwierz mi, że bardzo trudno podziwiać cię z daleka, ale co mogłem innego zrobić?...

- Już nie krwawię - odpowiedziała z zapłonioną twarzą. - Bóg nam pobłogosławił, panie... Teraz już nic nas nie rozdzieli.

- Jesteś gotowa na nową miłość? - zaśmiał się Ralph, spoglądając na nią ze zdziwieniem.

- Tak, panie... A jeśli cierpiałam przy porodzie, to wiem, że jest to przywilejem wszystkich kobiet. Wcale nie boję się miłości. Jeżeli trzeba, dam ci nowych synów.

- Mam już dwóch, ale nie szkodzi - odparł Ralph i pocałował ją ponownie. - Za to ty jesteś moim największym darem. Bez ciebie moje życie byłoby bez znaczenia.

- Tak jak moje bez ciebie - odpowiedziała Alayne. - Kocham cię, rycerzu bez skazy...

Ralph roześmiał się na całe gardło.

- I ja ciebie, słodka czarodziejko - rzekł namiętym tonem. - Wiem, że daleko mi do doskonałości, ale to w niczym nie zmienia moich uczuć. Pewnie się czasem pokłócimy, niewykluczone, że wyjadę w służbie króla i możliwe, że spadną na nas jakieś troski, jednak pamiętaj, że w moim sercu będziesz zajmowała wciąż to samo miejsce.

Alayne uśmiechnęła się czule.

- To wszystko, o czym kobieta może marzyć - powiedziała, rozchylając usta do pocałunku.

Potem zaś żadne słowa nie były już potrzebne.